



SIECI

WYDANIE ŚWIĄTECZNE Z EKSTRA DODATKIEM

BĘDZIE WOJNA?
CO ROBI **PUTIN** PO „WYBORACH”?

WYBÓR FRANCUZA:
WOLĘ ŻYĆ W POLSCE

HISZPAŃSKIE ŻYCIE
LEWANDOWSKICH

„RZEŹNICKA ROBOTA”
MINISTRA SIENKIEWICZA

CZY NAPRAWDĘ TRZEBA SŁUCHAĆ NAUKOWCÓW?

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

13 (591) 2024
25 marca - 1 kwietnia 2024
CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

GRZEGORZ GÓRNY

WIELKANOC OCZAMI MISTYKÓW

**WSPÓŁDCZUWALI I WSPÓŁCIERPIELI
RAZEM Z JEZUSEM. OTO ICH
WYJĄTKOWE RELACJE**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
13
9 772544 269403

polsat box 

plus 

TV + Światłowód

19_{zł} /mies.

przez pierwszy rok po rabatach

Od 13. mies. 70 zł/mies. z rabatami, od 25. mies. 99 zł/mies. z rabatem.
Telewizja Pakiet S – 57 kanałów, Światłowód S – do 300 Mb/s.



Pobierz ulotkę

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowód Plusa S** z rabatami (e-faktura, smartDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w Regulaminie „Plus internet stacjonarny – oferta łączona” na plus.pl. **Telewizja Polsat Box Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. „Bez opłat” nie obejmuje pakietów dodatkowych, usług technicznych i opłaty jednorazowej za aktywację dekodera. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkość 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. **Warunkiem skorzystania z rabatu smartDOM** jest zachowanie warunków tego programu i zgoda na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon” na polsatbox.pl i plus.pl. Oferta ważna na dzień 24.03.2024 r.



Niech ze Zmartwychwstałym Chrystusem
zatriumfują prawda i dobro.
Radosnych, rodzinnych i błogosławionych
Świąt Wielkanocnych
naszym Czytelnikom życzy
Redakcja



Pogarda i samozachwyt

Niewiele udało się zrealizować ze 100 konkretów zapowiedzianych przez Donalda Tuska na pierwsze 100 dni rządów, ale premier koalicji 13 grudnia ma już gotowe uzasadnienie. Ogłosił, że to wina Prawa i Sprawiedliwości, które zostawiło państwo w kompletnej rozsypce, dlatego całą energię pochłonęło „sprzątanie” zastanego bałaganu. Zapowiada też kolejne akty „zaprowadzania porządku” i przyspieszenie działań. Na dniach ma zostać skierowany wniosek o postawienie prezesa NBP przed Trybunałem Stanu. Zdumiewająca forma pałkarskiego infantylizmu. A samozadowolenie rośnie.

Porozumienia z rolnikami nadal nie ma, siłowe zduśnienie protestów nie zdołało ich przestraszyć, społeczne poparcie dla strajkujących nie słabnie, a unijni dygnitarze nie są skorzy do realnego wycofania się z ideologicznych założeń Zielonego Ładu. Donald Tusk już wie, że za moment zaczną się poważne problemy. A to dopiero początek. Drożyzna dopadnie Polaków łada dzień, a likwidacja w lipcu tarczy energetycznej wprowadzonej przez PiS wywoła gigantyczne tąpnięcie finansowe. Na razie karmi swój elektorat ogłaszaniem kolejnych aktów politycznej zemsty, ale i ona może się za chwilę okazać niewystarczająca. Bo jednak hejtem wyborca się nie wyżywi, a oczekiwania

zagranicy za pomoc w przejęciu władzy są coraz bardziej wyraziste.

Koalicja 13 grudnia ruszyła więc z nową taktyką. Doprowadzając państwo do załamań, siłowo przejmując instytucje, alarmuje o fatalnej kondycji kraju przejętego po poprzednikach. Niemoc sprawcza jest maskowana hejtem, a kluczowe przedsięwzięcia są zastępowane pozorną aktywnością. Nieprawdopodobna jest natomiast determinacja w procesie dewastacji struktur społecznych. In vitro, pigułka „dzień po”, niszczenie edukacji, aborcja na żądanie, związki partnerskie dla homoseksualistów – oto ambicje rządu Tuska.

Pogarda i samozachwyt przeplatają się w histerycznym kontredansie. I jak dotąd największym osiągnięciem Donalda Tuska jest srebrny guzik YouTube, którym pochwalił się z infantylną radością. Aż żal, że nie ogranicza swojej aktywności do influencerskich wystąpień w sieci. Jego hejt ma kształt konkretnych decyzji, uchwał i rozporządzeń. Siłowe przejęcie mediów publicznych, likwidacja rozgłośni radiowych, rozwiązywanie ważnych instytucji kultury, wycofanie się z reparacji, zrywanie istotnych kontraktów, rezygnacja z inwestycji, topienie suwerenności. Wszystko to w niespełna 100 dni. Aż strach pomyśleć, co będzie dalej. Bo pogarda dla przeciwnika i narcystyczny samozachwyt to u wpływowego polityka mieszanka najbardziej niebezpieczna.

Marzena Nykiel

SIECI

spis treści



24

Przełom
Stanisław Janicki



38

PRL skończył się w Krakowie
Jakub Augustyn Maciejewski



47-
-90

Dodatek
na Wielkanoc

NA POCZĄTEK

- 6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 **JAJA Z POLSKI**
Krzysztof Feusette
- 9 **OBIECANKI CACANKI**
Dorota Łosiewicz
- 10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 **ZIELONY ŁĄD I BYCZY KARK**
Jan Pietrzak
- 12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 **ZNISZCZYĆ KATOLICYZM**
Bronisław Wildstein
- 14 **WALIZKA RADOŚLAWA SOSNOWSKIEGO**
Michał Korsun
- 16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 **ZIELONE WYWŁASZCZENIE**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 19 **KRÓL MEMÓW**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

- 20 **MISTERIUM PASCHALNE OCZAMI MISTYKÓW**
Grzegorz Górny

KRAJ

- 24 **PRZEŁOM**
Stanisław Janicki
- 27 **„RZEŹNICKA PRACA” MINISTRA SIENKIEWICZA**
Z prof. Piotrem Glińskim rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy
- 32 **KIT WAM W OKO**
Marek Pyza
- 35 **LEWICA NA SMYCZY**
Konrad Kołodziejski
- 38 **PRL SKOŃCZYŁ SIĘ W KRAKOWIE**
Jakub Augustyn Maciejewski

ŚWIAT

- 41 **WSZYSTKO SŁUŻY WOJNIE**
Marek Budzisz
- 44 **NAUKA W SŁUŻBIE EKSPERTOZY**
Dariusz Matuszak

NA WIELKANOC

- 48 **ZAPOMNIANA PANORAMA**
Wojciech Łada

- 54 **DLACZEGO BARANEK?**
Przemysław Barszcz
- 57 **MOJA I NIE MOJA WARSZAWA**
Konrad Kołodziejski
- 61 **PRACOHOLIZM TO CIĘŻKA CHOROBA**
Z Karoliną Zowczak rozmawia Dorota Łosiewicz
- 64 **WOLĘ ŻYĆ W POLSCE**
Z Olivierem Baultem rozmawia Goran Andrijanić
- 67 **HISZPAŃSKIE ŻYCIE LEWANDOWSKICH**
Małgorzata Wołczyńska
- 70 **WŚRÓD KWIATÓW I WIERZB**
Andrzej Skwarczyński
- 74 **GDAŃSKIE DZWONY WRACAJĄ DO DOMU**
Artur Ceyrowski
- 76 **ZOFIA, MATKA KRÓLÓW**
Z Marią Pawłowską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna
- 78 **BRYLL NASZ, NARODOWY**
Maciej Walaszczyk
- 82 **REALNOŚĆ DUCHOWOŚCI**
Robert Tekieli
- 83 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 84 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk
- 86 **SŁODKI KOBIERZEC**
Anna Monicka
- 88 **OPOWIEŚĆ O FOSSANOVIE: NA 750-LECIE ŚMIERCI ŚW. TOMASZA Z AKWINU**
Jan Rokita

NA KONIEC

- 89 **WYBIERZMY POLSKĘ**
Wojciech Reszczyński
- 94 **PRZEDSIÓNEK KLĘSKI**
Aleksander Nalaskowski
- 95 **GŁOSY WIELKANOCNE**
Leszek Długosz
- 98 **AI JAK „OBCY”**
Katarzyna Zybortowicz



100. ROCZNICA UTWORZENIA BANKU POLSKIEGO SA

Srebrna moneta kolekcjonerska NBP



W tym roku obchodzimy
100. rocznicę utworzenia Banku Polskiego SA – banku
emisyjnego II Rzeczypospolitej, który wprowadził
do obiegu nową polską walutę – złotego.

Z tej okazji Narodowy Bank Polski emituje
srebrną monetę kolekcjonerską o nominale 10 zł –
100. rocznica utworzenia Banku Polskiego SA.



STULECIE UTWORZENIA
BANKU POLSKIEGO SA
I WPROWADZENIA
ZŁOTEGO DO OBIEGU

Emisja wartości kolekcjonerskich stanowi okazję do upamiętniania ważnych historycznych rocznic
i postaci oraz do rozwijania zainteresowań polską kulturą, nauką i tradycją.

Moneta kolekcjonerska do nabycia od 11 kwietnia br. w Oddziałach Okręgowych NBP
oraz w sklepie internetowym: [KOLEKCJONER.NBP.PL](https://kolekcjoner.nbp.pl)

Sygnalista nadaaje

🔊 Ciekawie przebiegał proces dochodzenia do siebie obozu koalicji 13 grudnia po ciosie, który zadał im Jarosław Kaczyński podczas obrad komisji ds. Pegasus. Reżimowa propaganda najpierw odtrąbiła wielki sukces, potem próbowała zgasić wewnętrzne głosy dowodzące, iż jednak nie poszło to jak trzeba. Wreszcie ogłoszono, i to na łamach gazety *Adama Michnika*, że komisja była „bezzadna wobec Kaczyńskiego”, a precyzyjniej, jej „członkowie nie byli w stanie wiele wyciągnąć” z prezesa PiS. Nikomu tam najwyraźniej nie przyszło do głowy, że nie ma czego wyciągać, a cała sprawa jest dętą hucpą. Kombinują więc kolejny etap – zmiana przewodniczącego komisji.

🔊 Dziś jest nim posłanka Magdalena Sroka, która dostała się do Sejmu z Trzeciej Drogi. Wcześniej działała w Porozumieniu i złośliwcy wyciągają jej dawne plakaty z logo PiS. W kontekście kompletnej klapy prowadzonego przez nią przesłuchania uwagę przyciągnęła jej jeszcze wcześniejsza kariera – jest nadkomisarzem policji. Jak ktoś z takim tytułem może tak chaotycznie prowadzić sejmowe, ale jednak śledztwo? Jak może dopytywać, hipotetycznie, o zgodę na poddanie się badaniu na wariografie? Wyjaśnieniem tajemnicy może być miejsce policyjnej pracy pani poseł Sroki – Komenda Wojewódzka Policji w Gdańsku. To przecież miasto wielu zadziwiających wydarzeń, nie tylko z powodu swojego uroku zwane „polską Sycylią”.

🔊 Wspomniana Trzecia Droga coraz bardziej odsłania swoją twarz. *Szymon Hołownia* posunął się do na-

grania hejterskiego w naszej ocenie filmiku. „Czy wiecie, że przez osiem lat rządów PiS instytucje związane z ojcem dyrektorem Tadeuszem Rydzykiem otrzymały z państwa i jego różnych agend ponad 400 mln zł?” – pyta rotacyjny marszałek, rzucając nieprawdziwą kwotę wziętą z sufitu. Ale hejt poszedł w świat. Co to zresztą znaczy „otrzymały”? Czy katolickie dzieła nie mogą brać udziału w konkursach? Nie mogą prowadzić doskonałej uczelni? Zorganizować konferencji? Wspólnie z państwem zbudować pięknego muzeum? I pomyśleć, że ten polityk jeździł kiedyś po parafiach i promował się na plecach Kościoła. Obrzydliwe.

🔊 Posmak perwersji mają też apele księgarzy i wydawców do władzy, w tym pplk. *Bartłomiej Sienkiewicz*, by ratowała branżę przez ustalenie sztywnej ceny książki, a także prośby wydawców prasy, by rząd zajął się kurczącym się systemem dystrybucji, co wynika z problemów Ruchu. Po pierwsze, czasy, gdy pisowscy premier, wicepremier i ministrowie pędzili na każde wezwanie z pieniędzmi na kulturę w przekonaniu, że to naprawdę ważne, właśnie minęły, w sporę mierze dzięki wysiłkowi samych ludzi kultury. Mają więc, co chcieli. Po drugie, pplk Sienkiewicz rusza palcem w swoim bucie i policyjną pałką tylko wtedy, gdy gdzieś może obsadzić likwidatora. Radzimy więc uważać z zaproszeniami dla tej postaci.

🔊 Ostrożnie także z traktowaniem serio porad wszystkich ekspertów. Niegłupi w ogóle i chyba lubiący wzbudzać kontrowersje prof. Grzegorz W. Kołodko orzekł w serii wypowiedzi,

że czas skończyć z wydatkami na zbrojenia, bo ważniejsza jest walka z nędzą. „Gdyby tylko połowę środków wydawanych na wojsko przeznaczyć na walkę ze skrajną biedą, w której wciąż żyje aż 630 mln ludzi, można by ją było prawie wyeliminować” – orzekł w tygodniku „Przegląd”. Cóż, w Polsce do wyeliminowania skrajnej biedy wystarczyło kilka lat dobrych rządów obozu Jarosława Kaczyńskiego. Był to pod tym względem najlepszy czas w III RP, a może i przez setki lat. Poza tym, niestety, nawet gdy zajęlibyśmy się budową bogactwa sposobem prof. Kołodki, czyli przez rezygnację ze zbrojeń, to jaki będzie efekt? Przyjdzie rusek lub inny najeźdźca i wszystko zniszczy. Lepiej zachować zdrowy rozsądek.

❗ Ciarki przechodzą po plecach na myśl o tym, co tam kombinują za berlińsko-brukselskimi kulisami. Jak twierdzi „Rzeczpospolita”, „nawet bez Donalda Trumpa Stany Zjednoczone chcą ograniczyć zaangażowanie w ukraińską wojnę. Polska, Francja i Niemcy mają plan, jak przejąć rolę Ameryki”. Już widzimy, jak Niemcy ochoczo dostarczą konieczne miliony sztuk amunicji, Francuzi przetrzucą setki samolotów i czołgów, a Polska pod rządami **Donalda Tuska** stawia czoło hybrydowemu atakowi na granice i będzie naciskać na sojuszników, by robili więcej. Cena za te złudzenia i niemieckie ambicje zbudowania „strategicznej autonomii”, czyli *de facto* wypchnięcia USA z Europy, będzie straszna.

❗ Na razie Komisja Europejska podzieliła 500 mln euro na zwiększenie produkcji amunicji dużych kalibrów. My dostaliśmy ochłap. „Dla czego do Polski trafi zaledwie tylko 2 mln euro?” – zapytał były szef MON Mariusz Błaszczak. W odpowiedzi usłyszał od władzy, że to... wina PiS, bo firmy złożyły za mało wniosków. Przepraszamy, ile miesięcy już rządzą? Ci ludzie dalej zachowują się tak, jakby ich jedynym zadaniem było wymyślanie kampanijnych kłamstw i przeprowadzanie czystek. Określenie „królowie kłamstwa” celnie oddaje istotę tej ekipy. Nikt nigdy aż tyle nie naobiecował, aż tak bezczelnie nie mając zamiaru realizować żadnej z obietnic. Z amunicją zaś naprawdę jest tak: skoro dla Tuska i jego klakierów liczą się tylko poklepywania po plecach, to niczego więcej nie będą im dawać.

❗ Niesławna spółka **Janusza Palikota** i Jakuba Wojewódzkiego coraz bliżej upadłości. Sąd nie zgodził się na ponowne otwarcie przyspieszonego postępowania układowego spółki Tenczynek Dystrybucja, należącej do Manufaktury Piwa Wódki i Wina, której akcjonariuszami są m.in.



Palikot i Wojewódzki. Tenczynek Dystrybucja ma obecnie 79,7 mln zł wierzytelności bezspornych wobec 3729 osób i podmiotów, natomiast majątek spółki wynosi jedynie 2,89 mln zł. Uważamy, że to zarówno symboliczne podsumowanie, jak i ponura prognoza na przyszłość Polski pod obecną władzą. Ku temu idziemy.

❗ Są już pierwsze jaskółki. Wiceminister klimatu Paulina Henning-Kłoska w rozmowie z „Faktem” przyznała, że w lipcu ceny prądu będą odmrożone, ale przekonywała, że to dla naszego dobra! „Ostatnio z budżetu państwa rokrocznie dopłacaliśmy ponad 30 mld zł z naszych podatków. I to też są nasze pieniądze, które nie były wydawane na opiekę zdrowotną, szkolnictwo, edukację naszych dzieci, pomoc dla seniorów” – zatroskała się. W tej logice całkowite zwinięcie państwa będzie wręcz zbawienne i chyba do tego wracamy. Pani ministra, jak się do niej zwracają, twierdzi, iż rząd będzie „przywracał równowagę na rynku cen energii”, w zamian oferując jakieś „bony energetyczne dla najuboższych”. To oczywisty bełkot. O jakiej równowadze można mówić, gdy duża część ceny to ideologiczny, szaleńczy podatek od klimatu? Przypomina to czasy komuny, gdy podwyżki nazywano „regulacją cen”. Te będą drakońskie. Jak się z tego nie wycofają, miliony ludzi stracą życiową równowagę.

❗ Rachunki za prąd poszybują, ale za to będzie więcej więźniów na wolności. Konkretnie 20 tys.! „Wyjdą wcześniej” – zapowiedziała w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” wiceminister sprawiedliwości Maria Ejchart. Więzienia są przeludnione – oceniła i dodała, że pierwsze przedterminowe zwolnienia już nastąpiły. Decyzji bronił też Tusk, sugerując w swoim stylu, że z Polakami jest coś nie tak, bo w innych krajach jest mniej osadzonych w zakładach karnych. Nie dodał, co zauważają przyjeżdżający do nas cudzoziemcy, iż znacznie częściej można tam też paść ofiarą przestępstwa. „To jest taki ukłon w stronę tego środowiska, które zawsze popierało tych, którzy dzisiaj akurat rządzą” – skomentował poseł Suwerennej Polski Michał Wójcik na antenie telewizji w Polsce.pl. Tak, to ważny element. Ale tak naprawdę to oni po prostu się Polakami nie przejmują. Zwalniać będą z powodów ideologicznych, ofiarom tej decyzji nie poświęcą nawet minuty.

❗ Dyktatura w Rosji zorganizowała pseudowybory, przykręcając przy okazji społeczeństwu śrubę nawet ostrzej niż to było za Sowietów. Polskie media rządowe i zaprzyjaźnione zmartwiły się przy tej okazji, że wszystkie główne rosyjskie media sprzyjają władzy, a jak ktoś nie sprzyja, nie dostaje reklam. Lustra nie mają?

Jaja z Polski



Krzysztof Feusette

Tusk: Zebraliśmy się, kurczaczki wy moje, nieopierzone żółtodzióbki polityczne, na tzw. jajeczku, nie po to, rzecz jasna, by zająć się nabiałem, choć wielu przydałby się on chociaż w takiej wersji. Zanim ogłócie stoły, chciałbym wam zadać jedno pytanie. Brzmi ono: co my, w sensie obecna władza, mamy dla ludzi na te, no, jak one się nazywają... święta?

Sienkiewicz: To jednak obchodzimy? Przecież ja już opiliwałem pisma katolickie.

Gawłowski: My nie obchodzimy. To znaczy ja tak, ale jako ruch lewicowy, to raczej nie.

Kierwiński: Ale o jakie święta chodzi konkretnie? 100 dni mieliśmy nie obchodzić.

Nowacka: Może powitanie wiosny?

Tusk: Sosny chyba. O Wielkanoc mi chodzi. Co mamy dla ludzi z tej okazji?

Budka: Jak Wielkanoc, to chyba... jaja?

Tusk: Z kogo? Z wyborców?

Budka: Nie, no z kur...

Kierwiński: Wyrażaj się.

Tusk: Kurskiego?

Budka: Od normalnej kury!

Tusk: A po co im jaja?

Kierwiński: Bo jest tradycja, że się jaja maluje.

Nowacka: Słucham?

Tusk: Ojej, to mówicie od razu, że o pisanki chodzi.

Kierwiński: Pomalujemy i rozdamy.

Tusk: Powiedzą, że jaja to sobie z nich robimy. Ludzie chcą konkretów. Czyli tego, co obiecaliśmy na pierwszych 100 dni rządu.

Lubnauer: To były przenośnie.

Kidawa-Błońska: I na cztery lata.

Nowacka: No, więc na polu edukacji chcemy sprostać, jak ja to mówię, „współczesnemu światowi” i tniemy w pień klasykę literatury polskiej.

Tusk: To też są jaja?

Kierwiński: Nie, konkrety.

Budka: Mam! Wypiszmy na tych jajach nasze nowe hasła, żeby ludzie bardziej zajęli się nimi niż tymi, które miały być realizowane. Genialne!

Tusk: Tobie od tych aktywów państwowych zupełnie się w głowie pomieszało. A propos – żonę na prezydenta wstawiasz?

Trzaskowski: Zdrajca!

Budka: Spokojnie, tylko w Gliwicach. A co mam kobitę na lodzie zostawić? Żeby mi potem książkę wysmażyła, jak... jak...

Tusk: No, komu? Dokończ...

Budka: Jak... Wałęsie.

Tusk: Masz szczęście, że święta idą, a my nie rzucim ziemi. Właśnie, a Konopnicką, pani Basiu, czemu pani usuwa?

Nowacka: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz ni dzieci nam germanił”.

Tusk: To trzeba było wykreślić kawalek. Nawet u mnie w domu jednak Mickiewicz z Sienkiewiczem byli.

Sienkiewicz: Osobiście? Pradziad odwiedzał?

Tusk: Zagryziecie czymś, ministrze, bo wyście chyba sobie za dużo na barki wzięli. Tu barek, tam barek...

Kierwiński: A może byśmy na tych jajach napisali, co zrobiliśmy. Tak naprawdę.

Tusk: To ile jaj wyjdzie?

Kierwiński: Z tuzin?

Tusk: Powinna być kopa...

Budka: W te jaja?

Tusk: Kopa, czyli 60, ćwoku.

Nowacka: A nie mówiłam, że program jest przeładowany?

Tusk: Ktoś ma coś poza jajami?

Domański: Owszem, i to jest akurat konkret jak dzwon, choć nie był zapisany. VAT na żywność podnosimy. Tzn. przywracamy do 5 proc. Także jaja szybko pójdą w górę. Zwłaszcza, jak ktoś pierwszy raz widzi nowe ceny zobaczy.

Dziemianowicz-Bąk: I bardzo dobrze. Jajeczka to są małe kurczaczki, które, jak wszystkie zwierzęta, powinny same decydować o swoim ciecie.

Kierwiński: Mam pomysł! Jest jeszcze jeden zwyczaj, a w zasadzie dwa, które możemy wykorzystać w kampanii na temat 100 przenośni zwanych obietnicami.

Trzaskowski: Czy chodzi może o tłuczenie się jajami? Dzięki, stoję.

Kierwiński: Nakręćmy filmik: KO kontra PiS. Tłuczemy się jajami z partyjnym logo, ale z ich jaj wycieka żółtko, bo są surowe. Wiem, że odważne. Ale kampania musi być brudna. I co?

Tusk: Raczej jajco. A ten drugi pomysł?

Kierwiński: Lany poniedziałek.

Tusk: Mamy ich z działek wodnych polewać? Jak rolników?

Kierwiński: No to nie wiem. Za zajączki się przeberzemy?

Tusk: Ty to raczej za kurczaczka.

Budka: Może rzeczywiście nie celebруем. Udawajmy, że nic się nie dzieje, a przede wszystkim ani słowa o cenach.

Tusk: Do czego oni to państwo doprowadzili? Żeby człowiek nie mógł świat normalnie obchodzić.

Schetyna: Powiedzmy tak – z okazji świąt Wielkiej Nocy zrezygnowaliśmy z 90 proc. naszego programu wyborczego, mając na uwadze, iż jego realizacja nie jest możliwa. Wszystkiego dobrego życzy na święta, Platforma totalnie...

Tusk: Nie kończ, Grzesiu.

Schetyna:...o was pamięta.

Tusk: Totalnie?

Schetyna: Byliśmy opozycją totalną, jesteśmy władzą totalną, wszystko musimy robić totalnie.

Kierwiński: Czyli ostatecznie co z tymi jajami, panie premierze? Malować?

Tusk: Malujcie, malujcie. Też kiedyś malowałem, ale potem człowiek wyjechał do Europy Zachodniej i jakoś głupio by wyglądało. No, chyba że z wolnego wybiegu.

Kierwiński: Był pan premier na takim?

Tusk: O jajach mówię!

Bieńkowska: Ale jaja... ale jaja... Sorry, bo się spóźniłam i nie wiem, z czego się śmiejemy.

Same problemy z tymi przedwyborczymi obietnicami. Jak już się pojawiają, to później ci, którzy je składali, są z nich rozliczani.

Z perspektywy 100 dni rządu koalicji 13 grudnia łatwiej zrozumieć, dlaczego w kampanii wyborczej Donald Tusk tak się bronił przed ogłoszeniem programu Koalicji Obywatelskiej. Jest program, są rozliczenia z jego realizacji. I dlatego przez większość kampanii parlamentarnej głównym postulatem KO było odsunięcie PiS od władzy i królowała narracja o pokonaniu zła, którym miała być poprzednia ekipa. A ta dzisiejsza miała być emanacją samego dobra. Jednak dziennikarze uparcie zadawali pytania: „Kiedy będzie program” lub „Gdzie jest program wyborczy” i z uporem maniaka powtarzano wypowiedź Małgorzaty Kidawy-Błońskiej z konferencji, która pytała: „Gdzie jest program?”. Dociskani w studiach radiowych i telewizyjnych o program politycy KO, twierdzili, że wciąż aktualny jest ten z poprzednich wyborów lub opowiadali, że to, co zostało dane, nie będzie zabrane. Jednak na ostatniej przedwyborczej prostej ulegli presji.

„Dzień po wygranych wyborach przystąpimy do realizacji 100 konkretów na pierwsze 100 dni” – zapowiedział Donald Tusk na konwencji wyborczej. „Polacy będą mieli więcej w kieszeni, będzie taniej w polskich sklepach i będzie lepiej w każdym polskim domu” – mówił urzędujący dziś premier. Skoro rzutem na taśmę pojawiły się konkrety, trudno się dziwić, że dziś politycy i dziennikarze chcą z tych konkretów rozliczać rząd.

I tak portal skrotpolityczny.pl podliczył, że w pełni udało się zrealizować 8 ze 100 konkretów: wprowadzono finansowanie procedury in vitro z budżetu państwa, powstała ustawa o dostępie do antykoncepcji awaryjnej, wyłączono najcenniejsze przyrodniczo obszary lasów z wycinki i przeznaczono je na funkcje przyrodnicze oraz społeczne, przywrócono finansowanie Telefonu Zaufania dla Dzieci i Młodzieży 116 111, odwołano Mikołaja Pawlaka z funkcji Rzecznika Praw Dziecka. Portal uznał za zrealizowany konkret 67: „Przedstawimy akt oskar-

Obiecanki cacanki

Niestety przez 100 dni obecnego rządu pojawiły się także „konkrety”, których nikt nie zapowiadał

działności karnej konkretnych polityków, zamrożenie cen gazu w 2024 r. oraz odpolitycznienie mediów publicznych.

Trudno się więc dziwić, że politycy rządzącej koalicji, widząc, że realizacja konkretów idzie jak przysłowiowa krew z nosa, zaczęli się odżegnywać od 100 konkretów Tuska.

Dariusz Wieczorek, minister nauki i szkolnictwa wyższego, stwierdził, że on traktuje te 100 konkretów jako przenosińnię, marszałek Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska zapewniła, że 100 konkretów miało być na 4 lata, a nie na 100 dni, a współprzewodniczący Nowej Lewicy w ogóle się od tych zapowiedzi odciął. „Pragnę podkreślić, iż nie bierzemy odpowiedzialności za »100 konkretów«, bo to jest program Platformy Obywatelskiej. Bierzemy odpowiedzialność za program, który wnieśliśmy oraz za umowę koalicyjną.

Każda partia musi się rozliczać za wszystkie te rzeczy, które mówiła i proponowała przed własnym elektoratem” – stwierdził Włodzimierz Czarzasty. Marszałek Sejmu Szymon Hołownia stwierdził zaś, że on dawał 12 gwarancji na 4 lata, a nie 100 konkretów na 100 dni. Przecież już w 2015 r. Radosław Sikorski i Jacek Rostowski na „taśmach prawdy PO” kpili z wyborców, mówiąc: „Obietnice polityczne wiążą tylko tych, którzy w nie wierzą”, „Dwa razy obiecać to jak raz dotrzymać”.

Niestety przez 100 dni obecnego rządu pojawiły się także „konkrety”, których nikt nie zapowiadał. Wzrosły opłata paliwowa oraz VAT na żywność, a zamrożenie cen energii będzie trwało tylko pół roku. Być może gdyby o tych konkretnych wyborcy wiedzieli wcześniej, wówczas inaczej by głosowali. 

Dorota Łosiewicz





Kobiety do wojska

Dania

Władze Danii podjęły decyzję o wydłużeniu obowiązkowej służby wojskowej z obecnych 4 do 11 miesięcy. Drugą zmianą będzie wprowadzenie poboru kobiet. Nowe zasady, które wejdą w życie w 2026 r., są odpowiedzią na rosnące zagrożenie ze strony Rosji.

W tej chwili w Danii obowiązkowy pobór do wojska obejmuje wyłącznie mężczyzn. Nie oznacza to jednak, że każdy z nich odbywa służbę. Młodzi ludzie najpierw przechodzą przez komisję wojskową, która ustala stopień ich przydatności do służby, a następnie spośród wszystkich zakwalifiko-

wanych co roku losuje się niewielką liczbę tych, którzy ostatecznie trafią do wojska.

Do tej pory w Danii służba w armii trwała zaledwie 4 miesiące. Od 2026 r. zostanie jednak wydłużona do 11 – ma się na nią składać 5 miesięcy szkolenia i kolejne 6 regularnej służby. Nowością będzie również wprowadzenie obowiązkowego poboru kobiet. „Proponujemy pełną równość płci” – tłumaczyła tę decyzję premier Danii Mette Frederiksen.

Pani premier uzasadnia zmiany napiętą sytuacją międzynarodową. Wprawdzie rząd zapewnia, że Dania nie jest w tej chwili bezpośrednio zagrożona przez Rosję, ale w przyszłości może być inaczej. Wzmocnienie armii ma więc zapobiec najgorszym scenariuszom.

Duńscy wojskowi mają jednak wątpliwości, czy po zmianach armia rzeczywiście będzie silniejsza. Liczba żołnierzy zostanie bowiem utrzymana na podobnym poziomie co do tej pory. Wynika to z braku zaplecza szkoleniowego: koszar, baz i sprzętu. Armia w obecnym kształcie nie jest w stanie wchłonąć więcej poborowych, choć jednocześnie zbyt duży pobór mógłby wzbudzić protesty.

Osobnym problemem jest przygotowanie wojska na regularną służbę kobiet. Duńczycy chcą się tu odwołać do doświadczeń swoich skandynawskich sąsiadów, którzy wprowadzili już obowiązkowy pobór dla kobiet – Norwegia w 2013 r. (jako pierwsze państwo członkowskie NATO) oraz Szwecja cztery lata później. W Szwecji funkcjonuje zresztą podobny system co w Danii – o pójściu do wojska również decyduje loteria wśród poborowych.

Niewykluczone, że taki właśnie system – z loterią i służbą kobiet – będzie się rozpowszechniał wśród pozostałych członków NATO. Jego zaletą są niższe koszty, nie wymaga bowiem ogromnych inwestycji w powiększenie bazy szkoleniowej. Nie budzi też dużego oporu wśród potencjalnych poborowych. W tej chwili z uwagą przyglądają mu się Niemcy, które w 2011 r. zawiesiły obowiązkową służbę wojskową, ale rozważają przywrócenie poboru. Zdaniem niemieckiego ministra obrony Borisa Pistoriusa także w Niemczech mógłby obowiązywać model skandynawski, w którym wszyscy młodzi ludzie są zobowiązani do służby, ale tylko garstka z nich otrzymuje powołanie do wojska.

Konrad Kolodziejcki



Portugalia

WPortugalii rozpadł się istniejący od półwiecza centrolewicowy układ dwupartyjny, w ławach Zgromadzenia Republiki zasiadają bowiem deputowani konserwatywnej prawicy z partii Chega.

Przyczyną zmian jest wielki skandal na szczytach władzy, który w listopadzie 2023 r. skończył się złożeniem dymisji przez socjalistycznego premiera António Costy, po tym jak prokuratura objęła go – wraz z jego 12 ministrami – śledztwem dotyczącym nadużyć i korupcji, m.in. defraudacji pieniędzy na tzw. zieloną energię. Podczas marcowych, przedterminowych wyborów parlamentarnych kierowany przez Luísa Montenegro Sojusz Demokratyczny oraz rządząca od niemal dekady Partia Socjalistyczna (PS) uzyskały nieco ponad 28 proc. poparcia. Na trzecim miejscu uplasowała się natomiast partia Chega, która otrzymała aż 48 mandatów (18,1 proc.) i to ona wydaje się prawdziwym zwycięzcą tych wyborów. To jednak tylko pozorny sukces, ponieważ portugalska prawica – podobnie jak dawny Front Narodowy we

Powiew zmian

Francji i AfD w Niemczech – jest otoczona przez pozostałe partie kordonem sanitarnym, który ma uniemożliwić jej współudział we władzy.

Chega to formacja antyestablishmentowa.

Partia sprzeciwia się rewolucji obyczajowej i ideologicznej, a także masowej imigracji, głównie z krajów muzułmańskich. Ku zaskoczeniu wielu otrzymała poparcie ludzi młodych, którzy są najbardziej sfrustrowani kryzysem gospodarczym i brakiem perspektyw na przyszłość. Rdzeniem dotychczasowego modelu rządzenia jest bowiem zbudowany wokół transferu unijnych środków korupcjogenny system oligarchiczny. Zdaniem ekonomistów stanowi on główną przyczynę marazmu, w którym od lat tkwi portugalska gospodarka.

Wynik wyborów w Portugalii to także kolejny sygnał nadchodzących zmian w europejskiej polityce, choć na razie nikt nie potrafi ocenić, na ile będą one głębokie i czy realnie zrewolucjonizują układ sił w przyszłym Parlamencie Europejskim.

Maciej Walaszczyk



Powrót reparaacji

Namibia

Przestawiciele namibijskich ludów Nama i Herero wezwali rząd w Berlinie do wznowienia rozmów w sprawie odszkodowań za masakry z lat 1904–1908. W wyniku zorganizowanej akcji państwa niemieckiego, określanej też mianem pierwszego ludobójstwa w XX w., zamordowanych zostało wtedy 100 tys. ludzi – odpowiednio 50 i 80 proc. obywateli populacji.

Zdaniem potomków ofiar, porozumienie osiągnięte w 2021 r., w którym Berlin zobowiązał się wpłacić 1,1 mld euro na namibijskie projekty społeczne, skrzętnie dbając, aby nie było w nim mowy o odszkodowaniach lub reparaacjach, nie może zostać uznane za satysfakcjonujące. Przede wszystkim dlatego, że zostało zawarte między rządami Niemiec i Namibii, a w czasie, gdy doszło do ludobójstwa, państwo namibijskie jeszcze nie istniało. Tego rodzaju formuła oznacza więc wykluczenie potomków poszkodowanych. Potomkowie ofiar nie tylko nie dostali odszkodowań, lecz także Niemcy nie zapłacili im za skonfiskowane wówczas tereny rolnicze, które pozostają własnością potomków białych osadników. Przedstawiciele Nama i Herero zarzucają też Berlinowi hipokryzję, argumentując, że państwo niemieckie zgodziło się zapłacić 82 mld euro Izraelowi, w tym indywidualne odszkodowania na rzecz potomków zamordowanych Żydów, ale nie bierze odpowiedzialności za podobne zbrodnie popełnione 40 lat wcześniej.

W tle tych żądań są kwestie związane z deficytem ziemi uprawnej w Namibii. Tutejszy rząd planował przeznaczyć pieniądze pozyskane od Berlina na wykup farm od białych osadników. Biali farmerzy – w sporej części niemieckiego pochodzenia – mają dziś 70 proc. terenów rolniczych kraju. Produkują oni głównie bydło na eksport i w efekcie tej monokultury rolniczej 80 proc. żywności konsumowanej w Namibii pochodzi z importu. Plany namibijskiego rządu związane z wykupem ziemi doprowadziły jedynie do wzrostu jej cen, co postawiło na uprzywilejowanej pozycji próbujący przejąć tutejsze grunty kapitał zagraniczny, w tym rosyjskich oligarchów. Przedstawiciele ludów Nama i Herero czują się w tej sytuacji oszukani i domagają się realnego zadośćuczynienia od Berlina. **///**

Marek Budzisz

Jedno państwo – jeden system

Kiedy w 1997 r. Hongkong przestał być dzierzawiony przez Wielką Brytanię i powrócił do Chin, władze w Pekinie zobowiązały się, że zostawią tej enklawie dużą autonomię, nieobjmującą jedynie polityki zagranicznej i sił zbrojnych. Obowiązywać miała formuła: jedno państwo – dwa systemy (w Chinach kontynentalnych – komunizm, w Hongkongu – kapitalizm).

Początkowo porozumienie było respektowane, jednak sytuacja się zmieniła, kiedy w 2012 r. władzę w Państwie Środka objął Xi Jinping. Zaczęło się ograniczanie swobód obywatelskich, protesty społeczne, aresztowania, procesy pokazowe i surowe wyroki.

Obecnie obserwujemy kolejny etap wprowadzania zamordyzmu. Przykładem jest art. 23 nowej ustawy o bezpieczeństwie narodowym. Na jego podstawie policja będzie mogła zatrzymać bez nakazu aresztowania każdego mieszkańca Hongkongu nie na 48 godzin, jak do tej pory, ale na 16 dni. W ciągu pierwszych 48 go-

dzin zatrzymanemu nie będzie też przysługiwało prawo do adwokata. Nowe prawo przewiduje również karę do 14 lat więzienia za „zdradę przez zaniedbanie” dla każdego, kto dowie się o planach lub czynach „zagrożających bezpieczeństwu państwa”, a nie zgłosi tego odpowiednim służbom (katolicy boją się, że jest to zagrożenie dla tajemnicy spowiedzi). Przestępstwem będzie nawet posiadanie „bez uzasadnionego powodu” publikacji „o charakterze wywrotowym”, np. przechowywanie w domu archiwalnych egzemplarzy dziennika „Apple Daily”, który ukazywał się oficjalnie w Hongkongu do 2021 r.

W tym samym czasie, gdy władze procedowały wprowadzenie nowej ustawy, sąd wydał wyrok w sprawie uczestników demokratycznych protestów, które odbyły się w 2019 r. – 12 mieszkańców Hongkongu skazano na kary po 7 lat więzienia. Eksperyment z demokracją dobiega końca. Dziś obowiązuje model: jedno państwo – jeden system. **///**

Grzegorz Górny

☆ Hongkong



Fot. 2630ben/Shutterstock.com

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Zielony Ład i byczy kark



**Jan
Pietrzak**

Przypadkowo w hotelu obejrzałem fragment przesłuchania prezesa Kaczyńskiego przed sejmową komisją. Zebraniem zarządzała pani ubrana na zielono. No, myślę sobie – zielony ład dobrał się do ważnego gościa. Trzeba mieć odwagę. Jej głównym pomocnikiem „po linii rządowej” okazał się byczy kark. Zachowywał się jak rzeźnik na kacu. A to podobno naleśnikarz, jednak pozory mylą... Ta parka narzuciła urzędowemu spotkaniu karczemny ton pod dostojną egidą Sejmu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Biedna ta nasza Rzeczpospolita, oj biedna!

Spokojny prezes starał się wyjaśnić, czym jest obowiązująca go klauzula tajności, ale proste umysły oskarżycieli nie były w stanie przekroczyć bariery ignorancji, więc reagowali, jak umieli – coraz większą agresją. Zaprawdę, powiadam wam, cierpliwość prezesa godna jest uznania. Z dobrotliwym uśmiechem wyjaśniał istotę problemu, co tym bardziej pobudzało do wrzasku Zielony Ład i Byczy Kark.

Przepraszam czytelników, że będąc w trasie, nie wytrwałem długo w roli obserwatora hucpy rządowej jaczki. Natomiast jeżeli miałbym w tej tajnej materii zgłaszać jakieś obiekcje, do-

tyczyłyby lenistwa Pegasusa. Zapewne znowu się komuś narażam, taki mój los, ale uważam, że Pegasus jest zbyt leniwy. Podobno odkrył jedną rosyjską siatkę szpiegowską. Bardzo dobrze, ale dlaczego tylko jedną? A inne nacje nie mają swoich agencji? Taki sprytny i kosztowny aparat nie może tego wyczuć?

Słysząc plotki, że szykuje się skok na całe złoto narodowego banku. Pegasusie, do roboty, tropić, łapać złodziei! A co z dyplomami Collegium Humanum? Czy Pegasus nie zauważył wylegarni fałszowanych wykształciuchów? W tej jakże skomplikowanej sytuacji speckomisja Byczego Karku i Zielonego Ładu ma państwowy obowiązek ujawnić obywatelom, jak pod nowym rządem działa ta maszyna, czyli kto aktualnie nas wszystkich podgląda, w jakim celu i od której strony.

W ostatnich dniach pojawiła się zagadka: dlaczego Niemcy na produkcję amunicji otrzymali z UE 85 mln, a Polska jedynie 2,1 mln. Czy to nie pomyłka? Jak wiemy, Niemcom w branży militariów udaje się jedynie produkcja hełmów. Pegasusie, do roboty! Algorytmy w ruch!



**Dominik
Zdort**

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Wygibasy na scenie

Od idealizmu do cynizmu droga jest niedługa. Pokazuje nam to „niby” spór o aborcję – nomen omen – łonie obecnej koalicji rządzącej. Liderzy tego obozu, populi-

styczni spryciarze, bez skrupułów wykorzystują najbardziej prymitywne oczekiwania swoich wyborców, aby utrzymać popularność. Doskonale wiedzą, co jest dobre, a co złe, co służy Polsce i Polakom, a co im szkodzi, ale przecież nie uczynią tego, co korzystne dla narodu, jeśli przez to mieliby utracić głosy.

Tu jest okazja, żebym w końcu napisał coś dobrego o PiS, partii jeszcze niewiele lat temu nazbyt pragmatycznej, pozbawionej fundamentów w postaci głębszych wartości. Otóż obóz Jarosława Kaczyńskiego po latach cynizmu, zwalczania chrześcijańskich sił w polityce (niech sobie czytelnicy wyogolują, gdzie jego lider szukał źródeł dechrystianizacji Polski) w końcu dokonał wielkiego zwrotu: za pomocą „swojego” Trybunału Konstytucyjnego wystąpił w obronie życia dzieci nie-narodzonych. Z pełną świadomością – jak sądzę – wyborczych konsekwencji. Jakby prezes pojął, że władza, którą mogą mu dać głosy kilku tysięcy barbarzyńców, to pikus w porównaniu do spraw naprawdę ważnych.

To, co nazywamy uniwersalnymi wartościami, jest nieporównanie więcej warte niż sejmowa większość. Każdy kolejny dzień, każdy tydzień, każdy miesiąc, gdy ochronione są choć niektóre dzieciaki, których państwo nie pozwala zamordować, to zasługa dla cywilizacji i będzie nią także w oczach Opatrzności – zasługą obywateli, prawników i polityków, którzy takie prawo wywalczyli, niezależnie od tego, z jakich pobudek to czynili i jak długo te przepisy będą istniały.

Wracając do rządzących: przeczytałem właśnie w mojej ulubionej gazecie, że sojusz Tuska, Czarzastego i Hołowni nie rozpadnie się przez spór o aborcję. Bo, jak skomentował z satysfakcją prominentny komentator, demokracja i polityka to teatr.

Może i tak bywa, ale robienie symbolicznych wygibasów na scenie (politycznej) przed publiką w sprawie, która – jak deklarują wszyscy uczestnicy debaty – jest kluczowa dla ochrony praw człowieka w Polsce (jedni walczą o prawo kobiet do komfortu, inni o prawo ich dzieci do życia) jest niegodne. Jeżeli większość parlamentarna kłóci się w tej dziedzinie tylko na pokaz, a i tak po wyborach samorządowych zamierza zrobić swoje, to jak tu liczyć na powagę i odpowiedzialność w innych sprawach?

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zniszczyć katolicyzm

Wojciech Kaczmarczyk został odwołany ze stanowiska dyrektora Narodowego Instytutu Wolności. Wątpliwości ministerialnych kontrolerów wywołało to, że był on również koordynatorem orszaków Trzech Króli oraz papieskich konkursów.

Jedną z pierwszych decyzji nowego resortu kultury było sprawdzenie wcześniejszych jego dotacji dla „nieprawomyślnych” przedsięwzięć, do których zaliczony został m.in. Caritas, największa w Polsce inicjatywa charytatywna, bez porównania przekraczająca wymiar przedsiębiorstwa Jerzego Owsiańskiego. O ile jednak temu ostatniemu rządy Tuska rozścielać będą pod nogami kobierce, w przypadku katolickich działań oczekiwać możemy czegoś przeciwnego, co deklarowane jest nieomal oficjalnie. „Nie będzie dotacji dla pism wyznaniowych” – oświadczył ostatnio minister Sienkiewicz.

Jakiś czas temu z biuletynu donosów, czyli „Wyborczej”, wyłowilem mniej typowy. Mimo że objętością dorównywał dzielom podpisanym przez wyrobników proskrypcyjnego dziennikarstwa, był sygnowany przez „Czytelnika”. Donosił, że w tygodnikach katolickich ukazują się reklamy NBP i wzywał do położenia kresu temu skandalowi, tak jak – co odnotował z satysfakcją – wycofano reklamy państwowych firm z prawicowych pism.

Nie wiem, czy list ów napisany został redakcyjnymi siłami, czy jest efektem pedagogiki organu Michnika. Eksponując go, pismo dało do zrozumienia, że porusza istotny problem, a wprawdzie sama redakcja nie chce się jeszcze oficjalnie podpisać pod jego tezami, ale swoją sympatię demonstruje poprzez sposób ich prezentacji.

Wstrzemięźliwość nie dziwi. Tekst wzywa do dyskryminacji obywateli polskich za wiarę i wskazuje, jak blokować ich funkcjonowanie w sferze publicznej. Apel wprost uderza w polską konstytucję, ale do tego niestety zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Opiera się na naiwnym utożsamieniu państwa z władzą, naturalnie tą właściwą, czyli „liberalną”, która ma mieć nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek użycia ekonomicznych środków dla pognębienia swoich konkurentów. Reklamy państwa okazują się nie informacją i zachętą rynkową, ale systemem wspierania popleczników. Podejście takie redakcja aprobuje, eksponując ów „list” i nie dystansując się do niego. Przy okazji zapomina o miecie apolitycznego rynku, który z lubością prezentuje w innych wypadkach.

Na razie „Wyborcza” nie podpisuje się pod tego typu działaniami w stosunku do Kościoła katolickiego. Do niedawna deklarowała się przeciw, zwłaszcza jej naczelny, jako jego przyjaciel. Wprawdzie zgodnie ze znanym powiedzeniem był to

przyjaciel, którego należy się bardziej wystrzegać niż wroga, a troska Michnika o Kościół polegała na próbie doprowadzenia go do stanu, który z katolicyzmem miałby tyle wspólnego, co demokracja liberalna z demokracją, niemniej oficjalnie religijne zaangażowanie „Wyborczej” było wręcz nachalne. Toteż wezwanie tego samego organu do represji wobec Kościoła mogłoby wywołać jeszcze dysonans. Nie ludźmy się jednak, to jedynie kwestia czasu.

Skąd jednak agresja zwycięzców ostatnich wyborów wobec katolicyzmu? Lewica zdobyła w nich niecałe 6 proc. głosów i stanowi najmniejszy element rządzącej koalicji, a pozostałe partie oficjalnie deklarują jeśli nie sympatię, to co najmniej neutralność wobec Kościoła. Wszelako czym innym oficjalne deklaracje, a czym innym głębiej rozumiana polityka. Bez względu na szyldy koalicja 13 grudnia to emanacja establishmentu, który dominuje dziś na Zachodzie. Coraz głębiej przesiąknięty ideologią, która stanowi uzasadnienie jego panowania, musi zniszczyć swojego ideowego konkurenta, którym jest chrześcijaństwo. Nie powinno więc dziwić, że wyznanie to i organizująca je instytucja, czyli Kościół katolicki, pomimo swojego malejącego znaczenia, jest coraz ostrzej zwalczana przez dominujące ośrodki opiniotwórcze i media – kościoły protestanckie, za wyjątkiem niektórych ich odłamów w USA, zasadniczo zatraciły swój religijny fundament.

Regularnie organizowane są kampanie, których celem jest kompromitacja Kościoła. Niedawno mieliśmy do czynienia z tego typu akcją w Polsce. Zainicjowana została przez TVN, ale wspierały ją wszystkie duże media prywatne, a przedstawiała Kościół jako siedlisko pedofilii, przy okazji usiłując zrujnować wizerunek polskiego papieża.

Rządzący obecnie w Polsce politycy są skrajnymi oportunistami. Religia ma dla nich znaczenie wyłącznie w kontekście władzy. Ponieważ reprezentują establishment, działali będą przeciw Kościołowi, nawet jeśli prezentował on będzie daleko idącą uległość, ale ponieważ funkcjonują w społeczeństwie ciągle jeszcze katolickim i przywiązany do tej tradycji, nie będą robić tego ostentacyjnie. Możemy być pewni nawet proureligijnych demonstracji ze strony koalicji 13 grudnia. Zwłaszcza obecnie, w trakcie świąt. Nic nowego. Po wojnie komunistyczni przywódcy gorliwie uczestniczyli w religijnych ceremoniach.

Niedługo. ➤





Walizka Radostawa Sosnowskiego

eksperta w biurze prasowym Kancelarii Prezydenta,
Radnego PiS Rady Dzielnicy Mokotów, absolwenta
Nauk Politycznych na UW

Podróżę w moim życiu to pewne przeznaczenie. Wciąż wspominam wyjazdy z moim Tatą, dzięki którym samodzielne rozłożenie namiotu albo narażanie drewna nie są dla mnie wyzwaniem. Znacznie później w Biurze Prasowym Kancelarii Prezydenta RP jednym z moich podstawowych zadań była obsługa medialna wyjazdów krajowych Prezydenta. Zgodnie z obietnicą Andrzeja Dudy objechaliśmy całą Polskę. Mój Tata uczył mnie biwakowania, a także przywiązania do miejsca, w którym się żyje. Podstawą było „Boso, ale w ostrogach” Stanisława Grzesiuka. To zapada w serce, dlatego na dłużej nie ruszam się z Mokotowa. W 1998 r. po raz pierwszy zdobyłem mandat radnego dzielnicy. Potem u boku śp. Lecha Kaczyńskiego przyszło zwycięstwo 2002 r. 7 kwietnia 2024 r. zawalczę ponownie. Możliwość pomocy m.in. szkole, do której kiedyś chodziłem (pozdrawiam SP 190 im. Orła Białego i X LO im. Królowej Jadwigi) jest super. A ponieważ byłem uczniem z przygodami, zaproszenie na rozmowę do gabinetu dyrektora wciąż budzi dreszcz emocji.



KASZKIET

To nie „Peaky
Blinders”
– to Czerniaków
i przedwojenna
Warszawa.



PIŁSUDSKI

Jestem piłsudczykiem. Jako młody człowiek wstąpiłem do Konfederacji Polski Niepodległej. Powinniśmy się stale wzorować na Marszałku.



DZIADKOWIE

Andrzej i Władysław, dla mnie bardzo ważni. We wrześniu 1939 r. żołnierze Wojska Polskiego. Zwykli ludzie – obywatele, którzy stanęli w szeregu, gdy było trzeba. Przeżyli wojnę, niewolę, wrócili do domu i pozakładali tradycyjne rodziny.



WYKŁĘCI

To polscy żołnierze przysiędzą wierni do końca. Należy im się pamięć i szacunek.



FILM „SZPIEG”

Genialny Gary Oldman. Główny bohater nie ma urody ani gadżetów James’a Bonda. Używa inteligencji i z pewnością jest patriotą. Polecam wszystkim politykom.



MAREK HŁASKO

„Piękni dwudziestoletni” to książka mojej młodości. Mogłem ją czytać bez końca. Po prostu otwierałem ją na dowolnej stronie.

Mój pierwszy egzemplarz się rozpadł. Ostatnio kupiłem nowy.



SOUNDTRACK „BLADE RUNNER”

„Łowcę androidów” z 1982 r. można oglądać co kilka lat i odkrywać na nowo. Muzyka Vangelisa uspokaja i świetnie działa na sen.



HERBATA EARL GREY

Uwielbiam. Gdy Anglicy pili earl greya oraz tonik z dodatkiem, nad ich imperium nie zachodziło słońce. Dziś piją caffè latte z mlekiem sojowym.



FLAGA

Jeden z dwóch najważniejszych symboli państwowych. W 2015 r. kandydat Andrzej Duda nosił małą flagę w klapie marynarki. Wzorem tego wszyscy je wpieśliśmy i to było dodatkowe spoivo drużyny

Dudabusa. Po zwycięstwie wielu starych pracowników kancelarii szybko wpieło flagi w klapy swoich marynarek.



BUTY

Przeszedłem w nich niejedną kampanię.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

KRAWATY

Wielu mężczyzn przeklina Chorwatów za wymyślenie krawata, ale ja jestem krawaciarzem z urodzenia, a w Kancelarii Prezydenta dobry krawat jest nieodłącznym elementem wizerunku. Wiecie, że krawat to pierwsza część męskiej garderoby, którą się dostrzeżę?



PAPRYKARZ SZCZECIŃSKI I MLEKO W TUBCE

Smaki dzieciństwa. Każdy, kto jeździł pod namiot, wie, że podstawą prowiantu był paprykarz szczeciński. Mleko skondensowane było słodkim dodatkiem do realiów PRL.



SZALIK LEGII

Jestem z Mokotowa, Czerniakowska, róg Gagarina. Legia to moja drużyna.



SPORT

Uprawiałem pływanie i sztuki walki. Grałem w mokotowskiej drużynie samorządowej na pozycji bramkarza. Sport daje wytchnienie od codzienności i pomaga przełamywać własne ograniczenia.



OGNIEM NA WPROST

Ptaki w służbie wywiadu



Andrzej Rafał Potocki

Wybory, wybory i po wyborach. Rzecz jasna w Kacapii. Bolesna prawda o głosowaniu wybrzmiewa na okupowanych terenach Ukrainy. Jeden z mieszkańców opowiada: „Nie powiem, żeby wyważali drzwi do domu. Tego nie było. Chociaż czy można mówić o wyborach, gdy w dłoniach są trzymane karabiny? Czy to demokracja? Rzecznik Kremla Pieskow mówił, że Rosja to najbardziej demokratyczne państwo świata. Dawno się tak nie śmiałem”. Ulicami okupowanych ukraińskich miast i wsi chodzili rosyjscy kolaboranci z urnami na karty do głosowania. Kolaborantom towarzyszyli żołnierze z bronią. I jedni, i drudzy szukali wyborców. „Szanowni wyborcy, martwimy się o państwa bezpieczeństwo! Nie musicie nigdzie iść głosować. Przyjdziemy do was do domu z kartami do głosowania i urnami” – informowała w mediach społecznościowych tzw. komisja wyborcza utworzona przez Rosję w obwodzie zaporoskim. W okupowanym Doniecku te słowa zostały zamienione w slogan: „Nie wyborca idzie do lokalu wyborczego – to lokal wyborczy idzie do wyborcy”. Na zdjęciach opublikowanych na Telegramie można było zobaczyć, jak ludzie oddawali głosy na placach zabaw, siedząc na ławeczce przed domem czy też kładąc kartę do głosowania na maskę samochodu. Kilkoro mieszkańców południa Ukrainy opowiedziało BBC, że w dniach wyborów starali się nie wychodzić z domu, żeby ich nikt nie zobaczył i nie zmusił do głosowania na Putina. Jak nasza nowa władza straci w sondażach, a strach będzie przegrać następne wybory, to mają wzór, niczym wzorzec metra w Sèvres pod Paryżem, jak robić, żeby nie trafić za kratki.

Biuro Służby Wywiadu Ukrainy (SBU) poinformowało o „likwidacji kolaborantki”, która pomagała przy organizacji „wyborów” w okupowanym Berdiańsku. 6 marca samochód kobiety został wysadzony w powietrze. Odpowiadając na pytanie BBC o to, kto tego dokonał, Iwan Fedorow, przewodniczący Zaporoskiej Obwodowej Administracji Wojskowej, odparł: „To zrobił ktoś. Ktoś, kto wyrażał duży sprzeciw”. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że nawet bardzo duży.

Wobwodzie iwanowskim (na wschód od Moskwy) roztrzaskał się wielki samolot transportowy Il-76. Zginęło 16 osób wraz z załogą. Kanał Mash Telegram (czytaj: ruska propaganda) twierdzi, że wypadek spowodowało jakieś ptaszysko, które rzekomo wleciało do jednego z czterech silników. Na filmie widać, że pilot stracił panowanie nad maszyną, która mimo trzech pracujących jeszcze silników (ich ciąg absolutnie powinien wystarczyć do bezpiecznej kontynuacji lotu) nie była w stanie się wznieść, tylko szybko kierowała się ku ziemi. Za samolotem ciągnął się warkocz i widać wyraźnie, jak na wysokości jakichś 100 m odpada od niego niezidentyfikowana, duża część. Zdarzenie miało miejsce tuż po starcie. Lot trwał niecałe 7 minut i skończył się uderzeniem połączonym z eksplozją paliwa na pobliskim cmentarzu. Z filmiku oraz informacji podanych na kanale 112 Telegramu wynikają dwie rzeczy. Po pierwsze, dzięki właściwej postawie pilota, który trafił akurat w cmentarz, można było oszczędzić na kosztach pochówku. Po drugie, wydało się, że wywiad wojskowy Ukrainy zatrudnia do sabotażowych misji również tresowane ptaki.

Ciekawe komentarze i opinie pojawiły się na Ukrainie po ostatniej kontrowersyjnej wypowiedzi papieża Franciszka, w której podjęcie negocjacji z Kremlem przez Ukrainę nazwał „aktem odwagi”. Przypomnijmy sobie jego wypowiedzi o „wielkiej Rosji”, „wielkiej kulturze”, Piotrze I i Katarzynie II. Papież uważa, że te osoby są wielkimi postaciami historycznymi, mającymi wyłącznie pozytywne cechy. Wygląda na to, że Franciszek nie ma pojęcia o niczym złym, co czyniły owe postaci historyczne, a także o popełnionych przez nie zbrodniach. Politolog Ihor Reiterowicz ocenił w Radiu NV: „Myślę, że przyczyna jest aż nadto banalna i bardzo cyniczna. Chodzi o podział stref wpływów poczyniony między Kościołem katolickim i rosyjską Cerkwią prawosławną. Papież spotkał się z osobą, którą uznaje się za patriarchę Cerkwi [chodzi o spotkanie papieża Franciszka i patriarchy Cyryla na lotnisku w Hawanie na Kubie w lipcu 2016 r. – przyp. red.]. Oni dwaj podzielili świat – a przynajmniej Kościół – na prawosławny i katolicki”. Natomiast jedna z użytkowników ukraińskich portali społecznościowych o nicku Melanie Podolyak skomentowała wypowiedź Franciszka w ten oto sposób: „Przegapiłam moment, w którym Lucyfer wysoko awansował w hierarchii kościelnej”.

Współpraca: „Skipper”

Zielone wywłaszczenie



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Kryjącą się pod płaszczykiem ochrony środowiska dyrektywę przymuszającą do zmiany efektywności energetycznej budynków, Zielony Ład uderzający w rolników oraz przepisy wykluczające z użytkowania samochody spalinowe i przymuszające do elektromobilności łączy skutek w postaci przymusowego wywłaszczenia ogromnej części europejskich społeczeństw.

Dostosowanie domu o powierzchni 150 m² do wymogów niskoemisyjności w postaci zakupu pompy ciepła, instalacji fotowoltaiki i modernizacji systemu grzewczego, wymiany okien, docieplenia elewacji budynku to, według aktualnych cen, koszt przekraczający 300 tys. zł. Inwestycja zwróci się po... 50–80 latach. Ceną spełnienia wymogów dyrektywy wdrożenie jednak wraz ze wzrostem kosztów energii, które zmieniają się na niekorzyść po uwolnieniu jej cen w lipcu br.

Ogromna część właścicieli nieruchomości będzie zmuszona się zadłużyć lub sprzedać swoje mieszkania, decydując się na mniejsze lokale lub wynajem. Popularność zyska zapewne tzw. odwrócona hipoteka, umożliwiająca przejmowanie przez instytucje finansowe nierzadko doskonale zlokalizowanych nieruchomości za nierynkowe ceny, skutkująca zerwaniem międzypokoleniowych łańcuchów dziedziczenia.

Ceny nowych mieszkań w budynkach wzniesionych zgodnie z ideą zeroemisyjności będą wysokie, a zakup lokalu w starym budownictwie będzie obciążony przymusem partycypacji w kosztach ich dostosowania do odpowiedniej efektywności elektroenergetycznej. Nieruchomości przejdą w ręce wąskiej grupy najbogatszych lub funduszy inwestycyjnych, a przeciętnemu zjadaczowi chleba pozostanie najem, bez złudzeń na posiadanie własnych czterech kątów.

Ograniczenia nakładane przez eurokratów na rolnictwo, sprzężone z zalewem polskiego rynku przez tanie produkty rolne spoza UE, sprawią, że prowadzenie gospodarstw rolnych stanie się nieopłacalne, a wielu gospodarzy będzie zmuszonych pozbyć się ziemi często uprawianej od pokoleń.

Wielu właścicieli samochodów spalinowych nie będzie stać na zakup drogich aut elektrycznych, więc pozostanie im zrezygnować z przemieszczania się autami lub co najwyżej okazjonalny carsharing.

Własność nieruchomości, czy to mieszkaniowych, czy to rolnych (lub niegdyś rolnych, bo przecież UE ma sprowadzać żywność nawet zza oceanu) pozostanie dla najzamożniejszych i funduszy zarejestrowanych w rajach podatkowych.

Własność prywatna jest filarem europejskiej i polskiej gospodarki. Konstytucja RP w art. 20 stanowi, że społeczna gospodarka rynkowa oparta na wolności działalności gospodarczej, własności prywatnej oraz solidarności, dialogu i współpracy partnerów społecznych stanowi podstawę ustroju gospodarczego Rzeczypospolitej Polskiej. Podstawowe elementy rynku to wolność gospodarcza i własność prywatna, funkcjonujące w ramach określonych przez solidarność, dialog i współpracę partnerów społecznych. Zgodnie z przepisem art. 64 konstytucji każdy ma prawo do własności

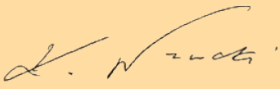
i innych praw majątkowych oraz prawo dziedziczenia, zaś art. 21 stanowi, że RP chroni własność i prawo dziedziczenia. Własność prywatna może być ograniczona tylko w drodze ustawy i tylko w zakresie, w jakim nie narusza istoty prawa własności. Zgodnie z zapisami konstytucji RP, co do zasady państwo powinno chronić swoich obywateli przed wywłaszczeniem.

Wywłaszczenie na szeroką skalę oznacza dewastację aktualnego porządku społecznego, pozbawienie perspektywy zdolności akumulacji kapitału, zwiększenie zależności od kapitału zewnętrznego kosztem ograniczenia wolności i możliwości samostanowienia poszczególnych obywateli. Wdrożenie narzędzi, które w istocie służą wywłaszczeniu obywateli (bo przecież wiemy, że poziom emisji CO₂ przez Europę stanowi zaledwie 7 proc. w skali świata, a kosztowne inwestycje w ekologiczne rozwiązania nie zwrócą się za naszego życia) wspólnie z koncepcjami promującymi wynaradawianie i rozerwanie więzi rodzinnych budzą najgorsze skojarzenia z czasami komunizmu oraz ideami marksizmu, w których pozbycie się własności prywatnej miało być kluczem do powstania idealnego społeczeństwa, a w istocie służyło jego zniewoleniu. 

REKLAMA



Pogodnych i spokojnych
Świąt Wielkanocnych
spędzonych w gronie
najbliższych oraz wielu
łask Bożych.



dr Karol Nawrocki
Prezes Instytutu Pamięci Narodowej
wraz z pracownikami

15/0324/F

Po drugiej stronie sceny

Z aktorką **Grażyną Szapołowską** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Przed chwilą byłam świadkiem, jak mężczyzna proszący o wspólne selfie, wyznał: „Od dawna panią kocham, pani Grażyno”. Często zdarzają się takie deklaracje?

Grażyna Szapołowska: Często. Szczególnie podczas spotkań z publicznością, na których nadal promuję swoją książkę „Ścigając pamięć”, albo po koncercie „Wisławie – Grażyna”, który powstał w 100-lecie urodzin noblistki. To wspaniały spektakl. Opowiada o Wisławie Szymborskiej i jej twórczości.

I pani, gwiazda filmowa, odnajduje się w tej kameralnej poezji?

Oczywiście. Bo to poezja mówiąca o najbardziej intymnych miłościach do świata. Chociaż przyznaję, początkowo nie byłam zachwycona utworami Szymborskiej. Potem jednak zapoznałam się z nimi głębiej. Za sprawą mojej córki [Kata-



rzyny Jungowskiej], która ma w sobie wnikliwość oraz umiejętność docierania do sedna spraw i napisała scenariusz, a potem wyreżyserowała spektakl. Właściwie dla mnie. I dla pani Wisławy.

Poezja jest dziś w stanie przyciągnąć publiczność?

Jeśli powstaje tak piękne widowisko, dopełnione jeszcze muzyką Karoliny Glazer i multimedialnymi wizualizacjami Hektora Weriosa. Występuję teraz tylko z tym spektaklem. Poza tym wolę stawać po drugiej stronie kamery i sceny. Po „Halce” i „Traviacie” chciałabym znów wyreżyserować operę.

Podpisuje się pani pod hasłem: „Zmiana jest kobietą”. Nie boi się pani zmian?

Ani zmian w życiu osobistym, ani w poznawaniu świata i ludzi. Trzeba tylko mieć w sobie pozytywną energię. 

Fot. Iris szewczyk/Shutterstock.com



80
stron

PRENUMERATA
CYFROWA **SIECI**
już od 5,90 zł

*e-book
w prezencie*

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ



Zamów już dziś na

siec.wpolityce.pl/oferta

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

PREMIER TUSK ZARZĄDZIŁ WYGASZANIE CENTRALNEGO BIURA ANTYKORUPCYJNEGO, PONIEWAŻ „INTENCJĄ RZĄDU JEST JESZCZE BARDZIEJ WALCZYĆ Z KORUPCJĄ...”.



KORSUN

TRENDY I OWĘDY

Król memów

Prezes Kaczyński zrobił furorę przed komisją śledczą

Sejmowe komisje śledcze powołane przez koalicję 13 grudnia mają zapewnić widowisko tak dynamiczne jak niegdyś pręgierz na rynku. Politycy Zjednoczonej Prawicy są wzywani po to, by w świetle kamer inkwizytorzy mogli ich demaskować, przeświećlać, przygwoździć czy wzorem por. Duba doprowadzić do placzu.

Punktem kulminacyjnym miało być postawienie przed komisją ds. Pegasusa prezesa Kaczyńskiego. Wywołało to medialne trzęsienie ziemi. Teoretycznie skazany na porażkę starszy jegomość ciętymi ripostami

zapędzał szarżujących w rozjuszeniu członków komisji w kozi róg, obnażając ich „deficyt kulturowy”. Ten sam prezes, z którego w sieci kpiono w niemiłosierny sposób, niespodziewanie zaczął być wielbiony przez internet. Memy oparte na jego potyczkach z komisją zdominowały portale. Prezes okazał się szefem wszystkich szefów, jak pan Jarzyna ze Szczecina. W zamian za nazywanie go w sposób nonszalancki świadkiem, zwracał się do arogantów per „panie członku”. „Proszę powiedzieć, kto panu powiedział?”, „Nie odpowiem panu na to pytanie”, „Proszę powiedzieć, kto panu powiedział?”, „No, to może sobie pan prosić” plus śmiech. Z tego dialogu powstało mnóstwo memów. Np. „Gdy kierownik pyta, kto puścił plotkę, że będą podwyżki”.

PiS słabo gra w internety i jest ironią losu, że osobiście musiał to zmienić boomer, czyli prezes Kaczyński. Szkoda, że specem od PR zatrudnianym przez PiS przez ostatnie osiem lat nie udało się pokazać, jakim sympatycznym, dowcipnym i merytorycznym politykiem jest Jarosław Kaczyński.



Ryszard Makowski

SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYŻA, MARGIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ,
MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOŚ,
KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA,
GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI,
MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI,
KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI,
JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI,

RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,
JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, ROBERT TEKIELI,
MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN,
MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLĄT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTUŁIE WPLĄTY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ, JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.



FOT. NA OKŁADCE: A. WIKTOR, FINE-ART IMAGES/HERITAGE IMAGES/GETTY IMAGES,
W. OULSINK/FAESTNEWS, A. ZEMLANICHENKO/AP, IMAGO/UBAUTTSER/FAESTNEWS, M. KORSUN



Św. Teresa zapisała
słowa, które skierował
do niej Jezus. Znalazły
się one na obrazie
w Alba de Tormes:
Filia iam tota mea es,
et ego totus tuus (Córko,
teraz jesteś cała moja,
a ja jestem cały Twój)

Filia iam tota mea es et ego totus tuus.

Misterium paschalne oczami mistyków

*Wielu mistyków chrześcijańskich tak mocno utożsamiało się z Chrystusem,
że współodczuwali i współcierpieli razem z nim podczas najważniejszych
chwil jego ziemskiej wędrówki*



GRZEGORZ GÓRNY

W czasie Triduum Paschalnego chrześcijanie wspominają mękę, śmierć i zmartwychwstanie Jezusa. Wielki Piątek to dzień męki – drogi krzyżowej, która kończy się na Golgocie ukrzyżowaniem, agonią i zgonem Chrystusa w niewysłownych męczarniach. To czas, w którym w Kościele rzymskokatolickim nie odbywa się żadna msza święta. Wielka Sobota to dzień śmierci – smutku, żałoby i czuwania przy grobie Jezusa, który zstępuje do otchłani. To drugi dzień w roku, w którym nie odprawia się mszy, a także – w odróżnieniu od Wielkiego Piątku – nie udziela się komunii (jedyne wyjątek robi się dla umierających, którzy przechodzą na tamten świat). W końcu Niedziela Wielkanocna to dzień zmartwychwstania – wskrzeszenia Chrystusa z martwych, czyli świętowania najważniejszego wydarzenia w historii zbawienia. Liturgia paschalna może rozpocząć się już w sobotę po zapadnięciu zmroku (trwa wtedy zazwyczaj kilka godzin, a niekiedy nawet do samego rana) lub w niedzielny poranek jako msza rezurekcyjna.

Wspomniane wydarzenia z życia Jezusa przez całe wieki były przedmiotem kontemplacji i rozważań duchowych niezliczonych chrześcijan. Niektórym z nich została dana łaska tak głębokiego uwewnętrznienia owych przeżyć, iż doznawali stanów mistycznych, które były rodzajem poznania rzeczywistości nadprzyrodzonej. Jest niezwykle znamienne, że w Kościołach wschodnim i zachodnim wykształciły się odmienne rodzaje doświadczeń duchowych związanych z misterium paschalnym.

OGRÓJEC, CZYLI NOC CIEMNA

Męka Chrystusa zaczęła się po Ostatniej Wieczerzy, którą spędził wspólnie z apostołami. Zapadł już zmrok,

a więc zaczął się Wielki Piątek. Jezus modlił się nocą w Ogrodzie Oliwnym w samotności i strachu. Wiedział, jakie męczarnie czekają go nazajutrz, dlatego straszliwie się bał. Ewangelista Łukasz pisze, że z przerażenia pocił się krwią: „Pogrążony w udręce jeszcze usilniej się modlił, a jego pot był jak gęste krople krwi, sączące się na ziemię”.

Medycyna zna pojęcie hematohydroidzi. To rzadko spotykany objaw kliniczny występujący u ludzi, którzy przeżywają potworny lęk związany



Stygmaty u ojca Pio pojawiły się, gdy zakonnik miał 23 lata – w lipcu 1918 r.

takiego zjawiska, m.in. u mężczyzn oczekujących na egzekucję.

W ciemnościach Ogrójca samotny Jezus cierpiał, mając poczucie opuszczenia zarówno przez swych uczniów, którzy zasnęli, jak i ojca, który nie uczynił nic, by go ratować. To wtedy wypowiedział pamiętne zdanie: „Ojcze, jeśli chcesz, zabierz ode Mnie ten kielich!”, by zaraz potem dodać: „Jednak nie moja wola, lecz Twoja niech się stanie!”. Dopiero po tych słowach, które oznaczały całkowite zjednoczenie z wolą Bożą, przestał być samotny, ponieważ – jak pisze św. Łukasz – „ukazał mu się anioł z nieba i umacniał go”.

W życiu niektórych mistyków bywały takie doświadczenia życia wewnętrznego, które można porównać do ciemności Ogrójca. Mowa o „nocy ciemnej”, która jest symbolem stanu duchowego związanego z poczuciem pustki, udręki,

W odróżnieniu od wielu innych stygmatyków rany u Natuzzy Evolo pojawiały się na jej nadgarstkach, co odpowiada rzeczywistemu ich umiejscowieniu na ciele Jezusa



To, co pozostaje niewytłumaczalne w świetle nauki, staje się jednak zrozumiałe w świetle wiary. Stygmaty są bowiem niezwykle rzadkim doświadczeniem mistycznym, będącym widzialnym znakiem szczególnego, bardzo osobistego związku z Bogiem

z traumatycznym przeżyciem, np. oczekiwaniem na nieuchronne tortury lub śmierć. Przejawia się on patologiczną reakcją, jaką jest pękanie naczyń włosowatych, które zaopatrują gruczoły potowe. Skutkiem tego jest wydzielanie krwawego potu. Leonardo da Vinci zostawił nam opis kilku przypadków

a nawet rozpacz. Celem tego przeżycia jest wejście na drogę oczyszczenia i uwolnienie się od pożądań, namiętności, przywiązań i zniewoleń, by ostatecznie poddać się woli Bożej. Opis swojej „nocy ciemnej” pozostawili nam tacy mistycy, jak np. św. Jan od Krzyża, św. Róża z Limy czy św. Teresa z Ávili.

Ta ostatnia często utożsamiała się z Jezusem cierpiącym w Getsemani. Pisała: „Miałam taki sposób modlitwy – ponieważ nie mogłam rozważać rozumem, starałam się uobecnić Chrystusa wewnątrz mnie obecnego i łatwiej było mi się odnaleźć – moim zdaniem – w tych miejscach, gdzie widziałam go bardziej osamotnionego. Wydawało mi się, że będąc tam osamotniony i strapiiony jako osoba potrzebująca pomocy, łatwiej dopuści mnie do siebie. Takich prostodusznych myśli miałam wiele. A zwłaszcza najłatwiej było mi odnaleźć się podczas jego modlitwy w Ogrójcu. Tam dotrzymywałam mu towarzystwa. Myślałam – o ile byłam w stanie – o tym pocie i przygnębieniu, które tam odczuwał. Pragnęłam otrzeć go z tego tak bolesnego potu, ale pamiętam, że nigdy nie ośmieliłam się zdecydować, aby to uczynić, gdyż uobecniały mi się tak ciężkie moje grzechy. Pozostawiałam tam z nim, dopóki pozwalały mi na to moje myśli, albowiem wiele było tych, które mnie zadრęczały”.

Wielce znamienne jest to, że przeżycie „nocy ciemnej” spotykamy jedynie u mistyków Kościoła zachodniego, natomiast nie pojawia się ono u mistyków na Wschodzie. Podobnie jest z innym fenomenem duchowym, który również jest obecny tylko u katolików, a nie występuje u prawosławnych. Mowa o stygmatach.

GOLGOTA, CZYLI STYGMATY

Pierwszym stygmatykiem w historii chrześcijaństwa był św. Franciszek z Asyżu. Założyciel zakonu franciszkanów otrzymał stygmaty, czyli rany Chrystusowe na własnym ciele, między 15 a 29 września 1224 r. na górze La Verna w Italii. Było to podczas modlitwy, w której doświadczył mistycznej wizji. W kolejnych stuleciach analogiczne ślady pojawiły się na ciałach kilkuset osób, m.in. św. Katarzyny ze Sieny, św. Rity z Cascii, św. Teresy z Ávili, św. Jana od Krzyża czy bł. Anny Katarzyny Emmerich. Dużą część z nich została zbadana przez lekarzy.

Najbardziej obszerna dokumentacja medyczna pozostała po takich postaciach, jak Louise Lateau, Teresa Neumann, św. o. Pio czy Natuzza Evolo.



Fot. Shutterstock

We wszystkich tych przypadkach badacze potwierdzali autentyczność stygmatów (czyli ran, które pojawiały się samoczynnie, nie znikwały i nie zabiłniały się, ale też nie ropiały i nie gnily), lecz nie byli w stanie naukowo wyjaśnić tego zjawiska.

To, co pozostaje niewytłumaczalne w świetle nauki, staje się jednak zrozumiałe w świetle wiary. Stygmaty są bowiem niezwykle rzadkim doświadczeniem mistycznym, będącym widzialnym znakiem szczególnego, bardzo osobistego związku z Bogiem. Ta intymna więź z Jezusem wyraża się we współodczuwaniu razem z nim męki na krzyżu oraz przyjmowaniu na swym ciele jego ran. Jest to wyjątkowe świadectwo bezinteresownej miłości. Nie ma bowiem intymniejszej relacji z Bogiem niż wówczas, gdy zaprasza on niektóre osoby, by współuczestniczyły wraz z nim w akcie stanowiącym największy przejaw jego miłości, czyli oddania życia za innych. Być może ten miłosny charakter stygmatów wyjaśnia, dlaczego wśród osób obdarowanych nimi było do tej pory osiem razy więcej kobiet niż mężczyzn.

Jedną z nich to bawarska mistyczka Teresa Neumann, żyjąca w latach 1898–1962. W czasie Wielkiego Postu 1926 r. otrzymała na rękach, nogach i boku pięć stygmatów odpowiadających ranom Jezusa na krzyżu. Od tamtej pory w każdy piątek przeżywała w swoim ciele cier-

pienia Chrystusa na Golgocie: łącznie 725 razy przez 36 lat. Świadcami tego zjawiska było kilka tysięcy osób, które w tym czasie odwiedzały jej dom. Wpuszczano ich do środka szóstkami, by pomodlili się przez chwilę przy jej łóżku. Lekarze wielokrotnie badali jej stygmaty, lecz nigdy nie stwierdzili mistyfikacji.

Podobny był przypadek żyjącej w latach 1924–2009 Włoszki Natuzzy Evolo, która w każdy Wielki Piątek przeżywała męki podobne do tych, jakie były udziałem Chrystusa podczas drogi krzyżowej. Opisywali to lekarze, którzy byli świadkami tych ekstaz pasyjnych. Dr Mario Cortese: „Skarżyła się przede wszystkim na trudności w oddychaniu, szczególnie podczas wydechu, dokładnie tak jak Chrystus na krzyżu i wszyscy skazani na ukrzyżowanie. Gdy cierpiała, nie mogłem jej zadać żadnego pytania”. Dr Isolina Mantelli: „Prawie niemożliwe jest opisanie tego, co można było ujrzeć w tej kobiecie podczas Wielkiego Piątku. To było jak obserwowanie, mówię to jako lekarz, osoby, która umiera z powodu zamartwicy, z ewidentnymi i narastającymi trudnościami w oddychaniu i przeszywającymi bólami obejmującymi całe ciało, ponieważ wielokrotnie łapała się za ręce i barki. Kto na nią patrzył, odczuwał głębokie współczucie dla jej stanu, nawet jeśli dobrze wiedział, że wczesnym popołudniem wszystko się zakończy, o tej go-

dzinie, w której umarł Chrystus”. I znów dr Cortese: „Zarówno z punktu widzenia historycznego, jak i teologicznego, doświadczenia Natuzzy okazywały się całkowicie zbieżne z przeżyciami samego Jezusa podczas Męki”.

ZMARTWYCHWSTANIE, CZYLI ŚWIATŁO GÓRY TABOR

Zwieńczeniem Triduum Paschalnego jest Niedziela Wielkanocna, gdy po czasie trwogi i smutku przychodzi radość z powodu triumfu Chrystusa nad śmiercią. Jezus, gdy powstał z grobu, miał ciało, które teologia nazywa uwielbionym, przemienionym bądź przebóstwionym. Nie podlegało ono prawom materii, np. pozwalało Chrystusowi wchodzić do pomieszczeń mimo zamkniętych drzwi. Z jednej strony w jego organizmie istniała pewna identyczność i kontynuacja, z drugiej zaś radykalna przemiana. Podobnej metamorfozy doświadczą ci, którzy w przyszłości zmartwychwstaną. Ich ziemskie ciała, zmysłowe, poniżone i śmiertelne zamieniają się – jak pisał św. Paweł Apostoł – w ciała niebieskie, duchowe, chwalebne i nieśmiertelne.

Podczas swej ziemskiej wędrówki Jezus raz dał się poznać swoim uczniom w takiej właśnie postaci. Było to na górze Tabor, gdy przemienił się w obecności Piotra, Jakuba i Jana: „Twarz jego zajaśniała jak słońce, odzienie zaś stało się białe jak światło”, jak pisał św. Mateusz. Jak naucza Kościół, celem życia człowieka, wręcz jego przeznaczeniem gatunkowym, jest osiągnięcie takiego właśnie stanu po śmierci.

W Kościele wschodnim wykształciła się jednak tradycja duchowa (nieobecna w Kościele zachodnim) twierdząca, iż tego rodzaju stanu można doświadczyć już podczas ziemskiego żywota. Ta tradycja jest związana z nurtem mistyczno-ascetycznym, który pojawił się w średniowiecznym Bizancjum i został nazwany hezychazmem (od greckiego słowa „hesychia” oznaczającego odpoczynek, wytchnienie, spokój, ciszę). Zwolenników owej duchowości określano również mianem palamitów, od imienia najwybitniejszego przedstawiciela tej szkoły mistycznej Grzegorza Palamasa, greckiego mnicha z góry At-

hos. Hezychasci nauczali, że drogą do poznania Boga jest modlitwa kontemplacyjna, w której człowiek nieustannie przyzywa w myślach imię Pańskie. Zanurzony w medytacji odrywa się od wszelkich ziemskich przywiązań, stopniowo odkrywając w sobie obraz Boga oraz własne podobieństwo do niego. Doznaje oczyszczenia, zaś oczom jego ukazuje się Boża światłość.

Najwyższym stopniem owej hezychastycznej modlitwy jest wejście we wspólnotę z Bogiem i doznanie przemienienia analogicznego do tego, którego doświadczył Jezus na górze Tabor.

Najbardziej znany przypadek takiego zjawiska dotyczył rosyjskiego pustelnika św. Serafina z Sarowa. Opis wspomnianego wydarzenia pozostawił nam uczeń owego prawosławnego mistyka Mikołaj Motowilow, który zimą 1831 r. odwiedził świątobliwego starca. Na jego oczach św. Serafin przemienił się. Jego rozmówca opisał to następująco: „Proszę sobie wyobrazić twarz człowieka rozmawiającego z wami w błyszczącej jasności promieni słońca. Widać ruchy jego ust, zmieniający się wyraz jego oczu, słysząc jego głos, wyraźnie odczuwa się, że ktoś trzyma was rękami za ramiona, ale nie tylko nie widzicie tych rąk ani też samych siebie, ani jego postaci, a tylko oślepiającą światłość, rozciągającą się daleko, na kilka sążni dookoła i rozświetlającą swym jasnym blaskiem śnieg pokrywający polanę i śnieżne płaty osypujące się z góry na mnie i na wielkiego Starca”.

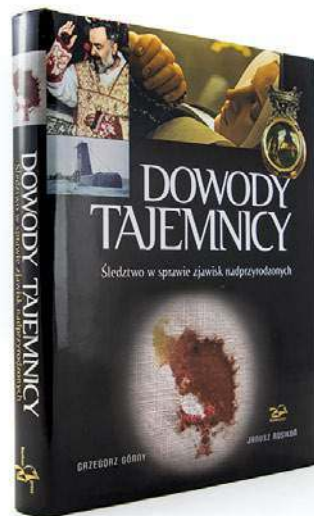
JEDNOŚĆ WSCHODU I ZACHODU?

Istnieją też mistyczne doświadczenia paschalne, które łączą chrześcijański Wschód z Zachodem. Jedno z nich dotyczy żyjącej dziś i mieszkającej w Damaszku 60-letniej Myrny Nazzour. Jest ona wierną Kościoła melchickiego, a więc jednego z Kościołów wschodnich uznających zwierzchnictwo papieża. Ta syryjska chrześcijanka od 1984 r. doświadcza stygmatyzacji, gdy na jej ciele pojawiają się rany analogiczne do tych, które miał Jezus na krzyżu. Zjawisko to powtarza się w Wielki Piątek, jednak tylko w latach, gdy Kościół katolicki

i prawosławny obchodzą Wielkanoc w tym samym czasie.

Ponieważ data pojawienia się jej stygmatów jest znana wcześniej, dlatego fenomen mógł zostać przebadany przez licznych naukowców. W latach 1987, 1990, 2001 i 2004 do Damaszku przybywały ekipy lekarzy z Francji, Norwegii, Szwecji, Niemiec i USA, dysponujące najnowocześniejszym sprzętem badawczym. Wszystkie przeprowadzone przez nich obserwacje wykazały, że mamy do czynienia ze zjawiskiem, wobec którego medycyna pozostaje bezradna, ponieważ nie jest w stanie wyjaśnić jego natury. Za każdym razem dochodziło bowiem do samoistnego pojawienia się stygmatów, które później znikwały, nie pozostawiając żadnych śladów, co zostało zresztą zarejestrowane przez kamery.

Powstaje pytanie: dlaczego stygmaty pojawiały się tylko w określonych latach? Otóż podczas jednego z objawień Myrny Nazzour usłyszała słowa Jezusa, że olbrzymim źródłem cierpienia pozostaje dla niego rozłam wewnątrz chrześcijaństwa. Skutkiem tego podziału jest obchodzenie Wielkanocy w różnych terminach przez katolików i prawosławnych. Dlatego w orędziach skierowanych do syryjskiej mistyczki pojawia się wezwanie do jedności chrześcijan, którego przejawem powinno być ujednolicenie daty świąt paschalnych. Czy doczekamy się tego za naszego życia?



Zdjęcia pochodzą z książki „Dowody Tajemnicy. Śledztwo w sprawie zjawisk nadprzyrodzonych” Rosikon Press 2024



Przełom

Jarosław Kaczyński wygrał pojedynek z sejmową komisją ds. Pegasus, a właściwie z całym obozem rządzącym. Nie ma wątpliwości, że przyniesie to owoce Zjednoczonej Prawicy



STANISŁAW JANECKI

W 2024 r. ze Zjednoczoną Prawicą (ZP) i Jarosławem Kaczyńskim miało stać się tak, jak z Akcją Wyborczą „Solidarność” i jej liderem Marianem Krzaklewskim w 2001 r. ZP, a przede wszystkim Prawo i Sprawiedliwość, miała zostać zmiażdżona w wyborach parlamentarnych 15 października 2023 r., tak jak AWS przez Sojusz Lewicy Demokratycznej w 2001 r. Tylko że 23 lata temu inny był kalendarz wyborczy: najpierw odbyły się wybory prezydenckie (8 paździer-

nika 2000 r.), a potem parlamentarne (23 września 2001 r.).

Plan zemsty, wdrażany jeszcze przed objęciem władzy przez koalicję 13 grudnia 2023 r., obejmował procesy liderów ZP (a także prezydenta Andrzeja Dudy i prezesa Narodowego Banku Polskiego prof. Adama Głapińskiego) przed Trybunałem Stanu, zaś politycy PiS mieli stanąć przed sądami powszechnymi w postępowaniach karnych. Rozgrzewką przed wielką akcją odwetu i zemsty miały być postępowania przed sejmowymi komisjami śledczymi: do spraw wyborów korespondencyjnych, Pegasus oraz tzw. afery wizowej. Najważniejszym świadkiem, a właściwie oskarżonym, przed wszystkimi tymi komisjami miał być lider PiS Jarosław Kaczyński.

15 marca 2024 r. Jarosław Kaczyński stanął przed pierwszą komisją – ds. Pe-

gasusa i już po tym przesłuchaniu cały misterny plan znalazł się tam, gdzie akcja niejakiego Siary Siarzewskiego w filmie „Kiler-ów 2-óch”. To nie była klęska, jak zakładano, tylko triumf prezesa PiS. Członkowie komisji wywodzący się z koalicji rządowej z przewodniczącą Magdaleną Sroką na czele zostali zapędzeni w kozi róg, a wręcz ośmieszeni. Wysłała na jaw ich kompletna ignorancja – nie tylko w kwestiach prawnych, ale ogólnie państwowych. Nawet najtwardsi żołnierze propagandowego frontu rządzących uznali, że Jarosław Kaczyński zadał nokautujący cios ich ulubieńcom, że byli przy nim jak małe dzieci, które dodatkowo zachowywały się tak, jakby znalazły się we mgle.

Prysnęło też mocno pielęgnowane złudzenie, że Kaczyński nie jest już w stanie być liderem, że realnie nie ma

już na nic wpływu, że jego trwanie na czele obozu ZP oznacza tylko porażki i jej schyłek.

Potwierdziło się też, że przełomy najczęściej następują wtedy, gdy towarzyszy im spektakl. Przesłuchanie Jarosława Kaczyńskiego przed komisją ds. Pegasusa miało być spektaklem pokazującym jego koniec, a okazało się nowym początkiem.

NIE MA POWTÓRKI

Przesłuchania Jarosława Kaczyńskiego przed komisjami śledczymi miały być wstępem do ostatecznego rozwiązania problemu PiS, czyli do anihilacji tej partii oraz trwałego rozpadu obozu patriotycznego i niepodległościowego. Wystarczyło jedno przesłuchanie, by zaczął się przełom, ale w drugą stronę. I następuje on znacznie szybciej, niż wielu się spodziewało (a równie wielu na przełom wcale nie liczyło, a przynajmniej nie w 2024 r.), choć oczywiście to dopiero początek.

Partia Jarosława Kaczyńskiego przerywa powyborczą kanonadę rządzących, a jej lider już trzy miesiące po wyborach wygrywa politycznie, moralnie, a nawet medialnie. Szczególnie to ostatnie wprowało wielu w zdumienie, przede wszystkim tych, którzy twierdzili, że były premier „nie umie w media”. A rządzący, zamiast pocucia triumfu i uśmiechu (osobnej analizy wymagałaby koncepcja „uśmiechniętej Polski”), wpadli w dygot. Ze zdeenerwowania, a wręcz przerażenia, bo zakładano, że anihilacja PiS i rozprawa z liderem tej partii będzie szybka, łatwa i prosta. Przecież ZP miała już nigdy nie być w stanie wygrywać wyborów, zaś Jarosław Kaczyński miał być wysłany na polityczną emeryturę.

Donald Tusk prawdopodobnie założył, że Zjednoczona Prawica znacznie mocno tracić, a potem się rozpadnie, tak jak to się stało z Akcją Wyborczą „Solidarność” i koalicją rządzącą w latach 1997–2000. Właśnie w 2000 r. (w czerwcu) koalicję z AWS zerwała Unia Wolności, ale sam Donald Tusk w grudniu tamtego roku przegrał walkę o przywództwo w partii z Bronisławem Geremekiem, a wybory prezydenckie już w pierwszej turze

wygrał urzędujący prezydent Aleksander Kwaśniewski. Lider AWS Marian Krzaklewski był dopiero trzeci. Wybory parlamentarne 23 września 2001 r. były dla AWS klęską (podobnie jak dla Unii Wolności) – ugrupowanie nie przekroczyło progu wyborczego dla koalicji. Absolutnym zwycięzcą okazał się Sojusz Lewicy Demokratycznej, z imponującym poparciem 41,04 proc. głosów, choć nie wystarczyło to do samodzielnych rządów.

Przed wyborami 15 października 2023 r. Tusk liczył na podobny wynik jego Koalicji Obywatelskiej (KO), który w 2001 r. uzyskali postkomuniści, i na klęskę PiS, choć nie w takich rozmiarach, jak w przypadku AWS. Tak się jednak nie stało: KO uzyskała 30,70 proc. poparcia i nie mogła stworzyć większości z jednym koalicjantem. Zaś Prawo i Sprawiedliwość te wybory wygrało, choć przy 35,38 proc. poparcia i 194 mandatach nie było w stanie stworzyć większości. Tusk uznał jednak, że rządząca większość (trzy ugrupowania mające łącznie 248 mandatów) może, a wręcz musi dokonać dzieła zniszczenia ZP i jej lidera. I powinna być to zemsta także za relatywnie słaby wynik samej partii obecnego premiera. Przesłuchanie Jarosława Kaczyńskiego przed komisją ds. Pegasusa miało rozpocząć ten odwet.

OBNAŻENIE WIELKIEGO KŁAMSTWA

Tym, co najważniejsze podczas przesłuchania Jarosława Kaczyńskiego przed komisją ds. Pegasusa, to obnażenie wielkiego kłamstwa. Obnażają je też politycy PiS stający przed komisjami ds. tzw. wyborów kopertowych i tzw. afery wizowej. Bo przecież Prawo i Sprawiedliwość miały przygwoździć ponoć wielkie afery, które są systematycznie demaskowane jako wiele wprowadzanych do publicznego obiegu (także międzynarodowego) kłamstw zmierzających ku temu, by zdyskredytować i zohydzić obóz patriotyczny. Mających ukazać go jako złodziei i ludzi skorumpowanych. Oskarżyć PiS o powszechne stosowanie inwigilacji, i to nielegalnej, a wręcz o prześladowanie przeciwników politycznych. Mających

udowodnić intencję sfalszowania wyborów. Te kłamstwa okazały się skuteczne w kampanii wyborczej i wpłynęły na wynik wyborów, ale miały też „ustawić” rządy koalicji 13 grudnia, czyli przede wszystkim zrelatywizować, a wręcz przykryć oszukańcze obietnice i zobowiązania.

Podczas przesłuchania Jarosław Kaczyński zaczął na chłodno rozmontowywać mechanizmy wielkiego kłamstwa, a przy okazji obnażać niekompetencję i nieudolność samych kłamców. A oni poculi się opuszczeni przez tych, którzy ich osłaniali. Publiczna dekonstrukcja wielkiego kłamstwa była ciosem w samo serce systemu polityki i władzy Tuska. Obnażyła mechanizmy manipulacji i zatruwania umysłów Polaków seryjnymi kłamstwami. Zapewne dlatego żalany spot Platformy Obywatelskiej, jakoby po trzech miesiącach rządów zdusiła inflację do 2,8 proc., został powszechnie odebrany jako wyjątkowo nachalny, zuchwały i beczelny kłamstwo, a wręcz oszustwo.

To, co się dzieje po 15 marca 2024 r., czyli po przesłuchaniu Jarosława Kaczyńskiego, wywołało wielkie zdeenerwowanie, a wręcz atak paniki u samego Donalda Tuska. 20 marca 2024 r. napisał on na platformie X (d. Twitter): „Zostawili nam rekordowy dług, wszechobecną korupcję, zdeprawowane media, partyjną prokuraturę, chaos w sądach, tysiące krewnych i znajomych w spółkach, bałagan w rolnictwie, skompromitowaną dyplomację, wetującego prezydenta i partyjniaka w NBP. Kończymy porządki i przyspieszamy!”.

W tym krótkim wpisie zawiera się cały schemat wielkiego kłamstwa, rozpaczliwie bronionego w momencie, gdy jego gmach zaczął się sypać. Tusk chce to kłamstwo podtrzymać dzięki swoim zasięgom, ale to będzie bardzo trudne. Nawet gdy w sukurs przychodzą mu dziennikarze rozpowszechniający mrozący krew w żyłach scenariusz rozpadu PiS i tworzenia trątki ratunkowej w postaci nowej partii Mateusza Morawieckiego, popieranej rzekomo przez prezydenta Andrzeja Dudę. Ta wrzutka miała odwrócić uwagę od kłopotów obozu rządzącego. Ale najwidoczniej nie zadziałała, skoro sam Donald Tusk

musiał ratować sytuację. Tyle że zrobił to w fatalnym stylu, co sprawia, iż taki przekaz nie trafia już nawet do jego twardogłowych zwolenników.

WIELKA FRUSTRACJA WŁADZY

15 marca 2024 r. padło wielkie złudzenie, że Jarosław Kaczyński nie jest już w stanie poprowadzić swego obozu do kolejnych zwycięstw. Wcześniej przypisywano mu „gębę” polityka wypalonego, coraz mniej sprawnego i błyskotliwego, smutnego. I liczone na to, że także coraz mniej odpornego na prowokacje. Przesłuchanie przed komisją ds. Pegasusa dowiodło, że prezesa PiS nie da się sprowokować, choćby stosowano wobec niego najbardziej chamskie metody. Kaczyński potwierdził, że w obozie ZP nie ma drugiej osoby tak celnie i błyskotliwie analizującej i rozumiejącej politykę oraz rządzenie. Że opowieści o zniechęconym staruszkowi to bardzo pobożne życzenia. Że Kaczyńskiego nie da się usunąć ani zastąpić, choćby rządowe i prorządowe media codziennie opisywały spiski i rozłamy wewnątrz ZP i w samym PiS. Że prezes PiS nic nie stracił ze swego kąśliwego poczucia humoru. Że doskonale się orientuje w mechanizmach prawa i metodach oraz zasadach działania tajnych służb: bo jako premier i wicepremier ds. bezpieczeństwa czytał wszystkie raporty i analizy, co na szczytach władzy jest rzadkością, a w przypadku Donalda Tuska nawet bajką o żelaznym wilku. Że bez trudu wytrzymuje wielogodzinne nie tyle przesłuchanie, ile nękanie, szczególnie wymagające wobec elementarnych braków kultury u przesłuchujących (vide Witold Zembaczyński) i wyraźnie postawionego celu, by przesłuchiwanego nieustannie prowokować oraz obrażać. I ku zawodowi wielu, Jarosław Kaczyński doskonale pamięta istotne szczegóły oraz dane, nawet sprzed wielu lat.

Lider PiS nie chował się za kruczkami czy niepamięcią, tylko wręcz za-

chęcał przesłuchujących, by się wysilili. Zwolennicy PiS zobaczyli swego lidera w pełni formy, a nawet wigoru i dobrego humoru, zaś jego przeciwnicy musieli się obejść smakiem, jeśli uwierzyli, że Jarosław Kaczyńskiego mają już z głowy. Nie mają i jeszcze długo mieć nie będą.

W PO można usłyszeć, że Jarosław Kaczyński nic nie stracił z tego, co demonstrował przed i po zwycięskich

15 marca 2024 r. padło wielkie złudzenie, że Jarosław Kaczyński nie jest już w stanie poprowadzić swego obozu do kolejnych zwycięstw. Wcześniej przypisywano mu „gębę” polityka wypalonego, coraz mniej sprawnego i błyskotliwego. I liczone na to, że także coraz mniej odpornego na prowokacje. Przesłuchanie przed komisją ds. Pegasusa dowiodło, że prezesa PiS nie da się sprowokować, choćby stosowano wobec niego najbardziej chamskie metody

wyborach parlamentarnych w 2015 i 2019 r. A polityków PO najbardziej martwi fakt, że Kaczyński „zdobył media”. Po raz pierwszy od wielu lat nie miał tak dobrej prasy, jak po 15 marca. I zdobył sympatię odbiorców mediów jako osoba, która bez szwanku, a wręcz z zyskiem wyszła z nagonki i polowania. Pojawiły się nawet opinie, że jeśli ktoś jest „dziadersem” w dwójce Kaczyński – Tusk, to na pewno nie prezes PiS. I to mimo całej „młodzieżowej” formy funkcjonowania obecnego premiera.

Nie dziwi zatem skrajna frustracja Romana Giertycha, mającego być swego rodzaju prokuratorem od „zbrodni” Jarosława Kaczyńskiego, który bąknął żenującą groźbę o „ścieraniu uśmiechu” z twarzy lidera opozycji. Groźbę wynikającą z bezsilności i rozczarowania, że Jarosław Kaczyński nie tylko nie wybiera się na emeryturę, lecz także jest w stanie wygrać pojedynek z wieloma przeciwnikami, i to stosującymi wobec niego chamskie metody.

Po stronie obozu rządzącego widać dygot i strach, że ich główny wróg ma się świetnie, a z formalno-prawnego punktu widzenia właściwie niczego nie mogą mu zrobić, nawet postawić przed Trybunałem Stanu, choć bardzo by tego chcieli. Po stronie obozu patriotycznej opozycji widać wyraźny przełom. Przypada on w momencie kompletnego nieradzenia sobie rządzących ze „100 konkretnymi na 100 dni”, na krótko przed dwoma falami wzrostu cen i kosztów utrzymania: od 1 kwietnia wzrostu cen żywności, a od 1 lipca dużego wzrostu cen energii. Te pierwsze praktyczne testy dla rządzących zapowiadają katastrofę, a Jarosław Kaczyński może ich precyzyjnie punktować, przypominając, że dla rządu PiS to nie był żaden problem. Podobnie jak wzięcie na siebie przez rząd prawicy pomocy dla rolników (20 marca 2024 r. odbyła kolejna wielka fala rolniczych protestów), gdy Komisja Europejska nie chciała jej przyznać.

Im bardziej rząd Tuska sobie nie radzi i im precyzyjniej jest demaskowany mechanizm wielkiego kłamstwa, który obecnie rządzących wyniósł do władzy, tym lepiej i szerzej widać osiągnięcia oraz zasługi poprzedniej władzy. Przełom nastąpił w bardzo ważnym momencie, bo przed wyborami samorządowymi i europejskimi. W momencie, gdy obecna władza zawodzi na całej linii, a przywództwo Tuska opiera się na nagiej sile i łamaniu prawa.

Najbliższe wybory mają szansę być takim pojedyńkiem, jaki Jarosław Kaczyński stoczył z komisją ds. Pegasusa, a właściwie z całym obozem rządzącym. I wygrał ten pojedynek.

„Rzeźnicka praca” ministra Sienkiewicza

*Nie znaleźli w audytach nic, więc atakują za takie „zbrodnie”,
jak dotacje na organizację Orszaku Trzech Króli czy film Filipa Bajona.
A sam dokument, co typowe dla bufonady ministra Sienkiewicza,
zatytułowano „Interregnum”. Polecam lekturę, choć łatwo tego nie znajdziecie*

**Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z *prof. Piotrem Glińskim*,
posłem Prawa i Sprawiedliwości, byłym ministrem kultury i dziedzictwa narodowego**

Minęło już pięć miesięcy od wyborów, które przyniosły PiS „samotne zwycięstwo”, a w efekcie utratę władzy. Jak pan ocenia ten trudny okres?

Piotr Gliński: Mamy do czynienia z degradacją polskiej demokracji, która przechodzi w autokratyzm, a w niektórych obszarach w stan bezprawnej dyktatury. Obecna władza przejmując – siłowo i bezprawnie – kolejne instytucje, w tym media publiczne, sądy, prokuraturę, instytucje kultury, atakuje Trybunał Konstytucyjny, Narodowy Bank Polski, Sąd Najwyższy, także urząd prezydenta RP. Łamane jest prawo – celowo, świadomie, otwarcie. Ale chodzi także o zastraszenie społeczeństwa, o pewien efekt psychospołeczny, aby było łatwiej nim manipulować.

Pobiliśmy rolników, możemy pobić każdego?

Tak. Ten powrót do traktowania demonstracji w brutalny sposób nie jest przypadkiem. Po drodze byli także więźniowie polityczni. To wszystko jest testowaniem wytrzymałości społecznej. Skoro sondaże im na razie nie spadają i skoro poparcie zagranicy dla tych działań jest tak ostentacyjne, to brnąć dalej. Ta władza przyjechała tu przecież nie na ruskich czołgach, jak kiedyś, ale na niemieckich pieniądzach. Do tego doszła siła owego postkomunistycznego „deep state”, głębokiego państwa, którego po 1989 r. nie udało się złamać.

Dlaczego PiS tego nie zrobiło?

PiS wiele zrobiło w tym obszarze, ale w demokracji bardzo trudno jest złamać coś, co jest oparte na uwłaszczonej prywatnej własności i także na wielu opanowanych instytucjach. Te środowiska wciągnęły za sobą drabinę, a jednocześnie zadbały o sferę symboliczną, czyli medialną. Teraz mamy sojusz postkomuny z pseudoliberalami, wspierany przez

zagranicę. Tę z Zachodu, jak i pośrednio przez Berlin tę ze Wschodu. Dla zagranicy wszystko jest lepsze niż opcja suwerennościowa. W tle mamy duży kryzys społeczny i polityczny na Zachodzie, a jeszcze szerzej patrząc, wielki kryzys kultury globalnej.

Co ma pan na myśli?

Spójrzmy choćby na projekty przebudowy Europy w stronę centrali-

Sytuacja jest o tyle paradoksalna, że nawet przy ich gorliwości wykazywania się – jak to określa Sienkiewicz – „rzeźnicką pracą” nie są w stanie zniszczyć wszystkiego. Za dużo zbudowaliśmy

styczną. Zmienia się znaczenie podstawowych pojęć: wolności, praw człowieka, demokracji, pluralizmu. Sztandary zostały, ale treść jest odwrócona o 180 st. Społeczeństwa zachodnie powoli akceptują coraz większe ograniczenie wolności, fakt, że przeciętni ludzie nie mogą się publicznie swobodnie wypowiadać. Nawet nominalni konserwatyści w Unii Europejskiej boją się walczyć o podstawowe sprawy. Widziałem to dobrze w czasie spotkań unijnych ministrów, gdzie często jako jedyny sprzeciwiałem się różnym szaleństwom. Reszta kiwała głowami, akceptując to, co zaproponowali urzędnicy KE.

Nie ma nadziei?

Sytuacja jest bardzo niebezpieczna, ale jednocześnie niestabilna. Bo czy rzeczywiście Polacy, ale także oby-

watele innych państw, są tak znieczuleni, że nie staną w obronie swoich interesów i wartości? Czy może jednak pojawi się jakiś bunt albo przynajmniej refleksja przy urnie wyborczej? W październiku takiej refleksji zabrakło; miliony wyborców podjęły decyzję, którą oceniam jako tragiczną. Dla Polski.

To była w istocie katastrofa narodowa.

Tak i potrzeba czasu, by mechanizmy, które jakoś uzasadniają, racjonalizują tę decyzję wyborców, przestały działać. Z pewnością łatwiej być „fajnopolakiem” niż wspierać ambitny program PiS. Suwerenność oznacza obowiązki, często jest trudna. Wreszcie przyszło nam się mierzyć z ludźmi, którzy zło potraktowali jak towar polityczny. Nie znaleźliśmy na to recepty. Ale to wszystko nie może nas paraliżować.

Czy droga do zwycięstwa będzie podobna jak w latach 2007–2015?

Wciąż mamy możliwość walki o Polskę. Są miliony ludzi gotowe działać. Jest bardzo wiele środowisk świadomych, że znaleźliśmy się w skrajnie drastycznej sytuacji. Takiego łamania prawa i konstytucji – brutalnego i ostentacyjnego – po 1989 r. nie było. I coraz więcej ludzi to widzi.

A co się dzieje w kulturze zarządzanej przez pplk. Bartłomieja Sienkiewicza?

Nowa władza dewastuje instytucje i projekty. Czasami przejmując nasz dorobek i przypisując sobie zasługi. A „trochę” zrobiliśmy dla kultury, bo budżet kultury w naszych czasach wzrósł o 112 proc., a liczba instytucji, które prowadziliśmy, podwoiła się. Stworzyliśmy nową rzeczywistość.

Drugą kulturę narodową?

W jakiejś mierze tak. To było przecież związane z przesunięciem aktywności

w stronę suwerenności, tożsamości narodowej. Chodziło o wzmocnienie tego, co jest tak mocno atakowane w kulturze światowej.

Następcy tego nie szanują?

Ogólnie – nie. Ale sytuacja jest o tyle paradoksalna, że nawet przy ich gorliwości wykazywania się – jak to określa Sienkiewicz – „rzeźnicką pracą” nie są w stanie zniszczyć wszystkiego. Za dużo zbudowaliśmy [śmiech]. Tam jest oczywiście sporo ideologii, lecz także sporo zwykłej niekompetencji. Widać też, że władzę przejmują urzędnicy niższych szczebli, jak zawsze w urzędzie, w którym brakuje myśli i woli. Jest szukanie naszych „zbrodni” i bardzo niewiele jakichkolwiek działań pozytywnych, rozwojowych. No i tak jak wszędzie: wielkie bezprawie. Łamanie prawa, łamanie konstytucji.

Chodzi o media publiczne?

To było na początku i służyło również przesłonięciu wielu innych decyzji. Bo odwołano już – całkowicie bezprawnie – kilkunastu dyrektorów instytucji kultury, uzasadniając to np. faktem, że dyrektor nie zgodził się z „linią partii”, nie chciał „identyfikować się z polityką i działaniami MKiDN”. Jak w komunie – kierowniczka partii. Wszystko jest robione ostentacyjnie, bezwstydnie. Chodzi o wywołanie efektu „mrożenia” wobec różnych środowisk polskiej kultury i szerzej – opinii publicznej.

Pan nieraz czekał latami z odwołaniem.

Tak było, bo my przestrzegaliśmy prawa. Do tego łączenie instytucji, w sumie sześciu, co oznacza, że trzy są likwidowane, a wszyscy dyrektorzy odwołani. Bez jakiegos sensownego uzasadnienia. W przypadku Instytutu Literatury chodzi o zniszczenie całego dorobku instytucji wydającej wyjątkowe biografie wielkich poetów: Wierzyńskiego, Lechonia, Balińskiego. Zostało już zniszczonych w sumie osiem instytucji. Niszczy się nawet rady doradcze przy muzeach,

czego nigdy przedtem nie robiono. Już pięć takich rad zostało rozgłoszonych, przerwano ich kadencje, które przecież miały gwarantować stabilność.

Co z inwestycjami, nowymi muzeami, które budowano za pana kadencji?

To też jest dewastowane. W 19 przypadkach inwestycje wstrzymano lub trwają przygotowania do wstrzyma-

Ta władza przyjechała tu nie na ruskich czołgach, jak kiedyś, ale na niemieckich pieniądzach. Do tego doszła siła postkomunistycznego „deep state”, głębokiego państwa, którego po 1989 r. nie udało się złamać

nia. Wielu dyrektorów dostawało takie decyzje już na początku stycznia, co uzasadniano „przyczynami budżetowymi”. Dotknęło to m.in. tak ważne placówki jak Muzeum Pamięci Ofiar Rzezi Wołyńskiej w Chełmie czy rozbudowa Muzeum Narodowego w Warszawie. Często chodzi tu o bardzo zaawansowane projekty, po międzynarodowych konkursach architektonicznych. W takiej sytuacji jest Polska Opera Królewska, a także nowy oddział Muzeum Narodowego w dawnym hotelu Cracovia, który miał być poświęcony designowi i architekturze. Zatrzymano również prace nad budową nowych siedzib Narodowego Muzeum Techniki i Muzeum Historii Naturalnej, które miały powstać na błoniach Stadionu Narodowego, trzy lata przygotowywaliśmy ten wspaniały projekt.

Nie mają pieniędzy?

Nasz budżet zakładał wzrost wydatków na kulturę o 23 proc. w 2024 r. Nowa ekipa dokonała cięcia do 18 proc., choć w wielu innych resortach wydatki zwiększono. Cóż, sądzą, że z propagandą sobie poradzą, a fakty nie mają znaczenia. Inna sprawa, że w przypadku pacyfikacji mediów publicznych straty wynoszą miliardy złotych. Pieniądze mają tu chyba drugorzędne znaczenie, ale pewnie będą zwalali na Putina i „pieniędzy” na kulturę znowu nie będzie. Chcą być mądrzejsi od Churchilla...

Może ekipa Tuska uwierzyła w swoją propagandę, według której inwestycje to wyłącznie „przewaluty”?

Nawet jeśli uwierzyli, to już wiedzą, że to zakłamana opowieść. Pierwsze szumnie zapowiadane audyty, które dotyczą naszych działań, są w istocie laurką, bo wykazano jedynie całkowicie uzasadnione wydatki. Spodziewali się Bóg wie czego, nie znaleźli nic, więc atakują za takie „zbrodnie”, jak dotacje na organizację Orszaku Trzech Króli czy film Filipa Bajona – jako zabezpieczenie „partykularnych interesów partii” [śmiech]. A sam dokument, co typowe dla bufonady ministra Sienkiewicza, zatytułowano „Interregnum”. Polecam lekturę, choć łatwo tego nie znajdziecie. Wiedzą, że nie ma się czym chwalić.

W walce z inwestycjami nowa ekipa przywołuje zarzut „gigantomanii”. Możliwe, że oni nie znają świata i nie wiedzą, jak wielkie centra muzealne zdobią zachodnie miasta, choćby Berlin czy Sztokholm. Co można zrobić, żeby ratować te projekty?

Robię, co mogę. Wszystko dokumentujemy. Napisałem 30 interpelacji, walczę na komisjach sejmowych, na które minister Sienkiewicz nie przychodzi. Próbuje nas ignorować. Ale pycha kroczy przed upadkiem. Posłowie opozycji w tych sprawach, co ciekawe, na ogół milczą. Nie chcą powiedzieć

Polakom, że są przeciwko muzeom, które – co ważne – naprawdę przyciągają, są chętnie odwiedzane. One nas łączą, a to bezcenne w tym rozpadającym się świecie. Łączył także nasz program „Niepodległa”, który sprawił m.in., że wreszcie śpiewamy wszystkie cztery zwrotki hymnu narodowego. Choć ostatnio coś się zmienia: jedna z posłanek koalicji stanęła w obronie Cracovii. Liczę na posłów lokalnych, bo im jest chyba najbardziej wstyd, gdy widzą tę dewastację.

Dlaczego nowa ekipa tak bardzo nie lubi polskiej kultury, polskiego dziedzictwa?

Po pierwsze, te posunięcia mają jeden cel: uzasadnienie bezprawnych działań we wszystkich obszarach państwa. Dlatego szukają rzekomych „zbrodni” w kulturze. Ale w tle jest program takiej przebudowy Polski, żebyśmy przestali być samodzielnym, zdolnym do sensownego działania społeczeństwem. To program napisany na zewnątrz. Dlatego uderzają w szkołę, programy nauczania, kod kulturowy. Skutki będą straszliwe i dotkną wszystkich, także tych, którzy głosowali na obecne władze 15 października. Sądzę, że ich dzieci będą się wstydziły tych decyzji. Bo staniemy się krajem skolonizowanym na każdym poziomie. Zniknie Polska. Zniknie patriotyzm. Putin zaciera ręce.

Czy to, co robi ekipa Tuska w kulturze, jest powrotem do sytuacji sprzed 2015 r.? A więc rezygnacja z poszerzania i znów wąska, często zamknięta elita, która co najwyżej kooptuje wybranych, dostaje zagraniczne nagrody i odwiedzana się wspieraniem kolonialnego układu politycznego?

Tak było kiedyś i tak ma być znowu. Przecież pani Holland mówiła o tym otwarcie. Najważniejszym celem aktywności w wielu obszarach sztuki jest wyjazd na zagraniczny festiwal, kariera zagraniczna, ewentualnie stworzenie warunków, które pozwolą zagranicznym twórcom tworzyć

u nas. Do tego malowanie tematów, które na Zachodzie wybrzmiały 20 lat temu albo i dawniej. Naśladownictwo, wtórność, pustka. To nie jest żadna recepta ani na kryzys kultury, ani na kryzys społeczny i polityczny naszej cywilizacji, który jest znacznie głębszy i poważniejszy niż kwestia zmian klimatycznych czy transgresji płciowej.

To jest wszystko wdrażane tak, jak zaprowadzano socrealizm. Z żelazną dyscypliną, w istocie odgórnie.

W sumie osiem instytucji kultury zostało już zniszczonych. Niszczy się nawet rady doradcze przy muzeach, czego nigdy przedtem nie robiono. Już pięć takich rad zostało rozgonionych, przerwano ich kadencje

Mnie – w ramach kreowania tej urojonej rzeczywistości – cały czas wmawiano ciągoty cenzorskie, ale był to pusty zarzut. W istocie jedyne, co robiłem, to kierowałem strumień państwowych pieniędzy w stronę, którą uważałem za słuszną, po to, by zrównoważyć ewidentne przechyły, by złamać pewne monopole. To, co dziś jest wdrażane, jest propozycją rzeczywiście skrajnie antywolnościową, opartą na faktycznej cenzurze. Błyskawicznie wyrzucono dyrektora Zachęty tylko dlatego, że kilku salonowych twórców protestowało przeciwko koncepcji wystawy, którą z kolei popierało 50 innych artystów. Brutalnie zdecydowano, że Ignacy Czwartos nie będzie reprezentował Polski na przyszłorocznym Biennale Sztuki w Wenecji.

Dodajmy, że artyście natychmiast dorobiono „gebę”.

Tak, a to przecież bardzo ciekawy twórca, bynajmniej nieograniczający się do malowania żołnierzy wyklętych, co mu zarzucają, całkiem niedawno jeszcze wychwalany przez główny nurt, teraz ostro zwalczany. Minister operuje też listą organizacji, z którymi podległe instytucje nie mogą współpracować. Nie wpuszcza też niektórych mediów na swoje konferencje prasowe. Wprowadzono centralizację obsługi KPO w kulturze, który będzie dziełł stypendia dla artystów. Sądzę, że duża część tych działań wynika z faktu, że minister Sienkiewicz nie rozumie resortu, którym kieruje. A musi koniecznie coś zmieniać, blokować, likwidować, bo tego wymaga „mądrość etapu”. Przecież PiS nie mogło zrobić nic dobrego! I nie chodzi tu tylko o brak czasu, lecz także o szersze kompetencje. Wchodzi też w ślepe uliczki, np. w koncepcję regulowanej ceny książki. To nie zadziała. Lepiej kontynuować nasze działania, np. bezpośrednio wspierać dla małych księgarń.

Bartłomiej Sienkiewicz niektóre pańskie dokonania próbuje przypisać sobie. Zwłaszcza budowę Muzeum Historii Polski i odbudowę pałacu Saskiego. Może ten apetyt na cudzy sukces to szansa na ocalenie choć niektórych przedsięwzięć?

I MHP, już prawie skończone, i pałac Saski, przygotowany do odbudowy, to projekty nasze, i to w 100 proc. Cóż, konia kują, żaba nogę podstawiła. Ale cieszę się, gdy coś jest kontynuowane, nawet jeśli towarzyszy temu obluda. Sądzę też, że nowa ekipa na szczęście nie jest w stanie wszystkiego zniszczyć, nawet jeśli ma taki zamiar. W przypadku pałacu Saskiego minister zachował się bardzo niemądrze i małostkowo: z dnia na dzień wyrzucił świetny zespół menedżerów kultury, ciężko pracujący przez wiele miesięcy. W to miejsce wstawiono człowieka z tzw. deweloperki, który raczej nie ma odpowiedniej wiedzy, ale jest – jak słyszałem



Fot. Andrzej Wiktor

– znajomym ministra. Nie zna się na kulturze, zabytkach i zachodzi obawa, że „racjonalizując koszty”, postawi nam pałac Saski ze styropianu. Obym się mylił.

Jaki los czeka przejęte siłą, bez podstawy prawnej media publiczne?

Plan polityczny obecnej władzy jest jasny: chodzi o zbudowanie pełnego monopolu medialnego oraz instytucjonalnego. Ale jest w tym i czysty rewanżyzm, bo TVP była medium wyrazistym, często nazywała rzeczy po imieniu, mówiła, kto prowadził politykę prorosyjską i proniemiecką. Aktywnie realizowała też misję publiczną. I nie jest prawdą, że nie zapraszano przedstawicieli ówczesnej opozycji, bo przecież zapraszano, byli tam obecni codziennie. Za szczególnie cyniczne uważam przywoływanie przez Tuska i Sienkiewicza tragicznej śmierci dwóch osób jako uzasadnienia zniszczenia mediów publicznych. Ta władza po prostu nie chce silnych mediów publicznych. Teraz, mimo że ma tak wiele kadr dziennikarskich, zaproponowali coś, co wygląda żałośnie. Oczywiście nowa większość ma

W tle jest program takiej przebudowy Polski, żebyśmy przestali być samodzielnym, zdolnym do sensownego działania społeczeństwem. To program napisany na zewnątrz

prawo do zmian, ale zgodnie z prawem, za pomocą ustawy, a nie tak, jak to zrobiono, czyli bezprawnie. Przykre, że tak duża część społeczeństwa to akceptuje.

Co więc robić? W jaką stronę powinni iść obóz niepodległościowy?

Dziś trzeba walczyć o obronę tego, co ważne. Ja walczę o inwestycje, które nowa władza niszczy. Trzeba te sprawy stawiać jasno, domagać się wyjaśnień, w imieniu Polaków, dlaczego nie będzie Muzeum Rzezi Wołyńskiej, Muzeum Historii Naturalnej

albo Muzeum Żeglarstwa we Władysławowie. Co ważne, ekipa Tuska ma pełną świadomość, że podeptali konstytucję, demokrację, podstawowe zasady kultury demokratycznej. Oni wiedzą, jaka jest kara za takie działania. Dlatego z jednej strony chcieliby to przykryć jakąś strawną formą, z drugiej idą i będą szli bardzo brutalnie. Także w relacjach ze środowiskiem kultury.

Co konkretnie pan ma na myśli?

Jacek Bromski zrezygnował z funkcji prezesa Stowarzyszenia Filmowców Polskich wobec szantażu ze strony rządu. Grożono, że jeśli tego nie zrobi, korzystne dla twórców rozwiązania w sferze praw autorskich nie wejdą w życie. Również dyrektorów instytucji kultury zmusza się do dymisji, stawiając wybór: albo odejdziesz, albo zniszczymy to, czym kierujesz.

To jest rzeź polskiej kultury?

Tak to nazwał sam minister Sienkiewicz, mówiąc publicznie o „rzeźnickiej pracy”, którą teraz wykonuje. I to jest jego jedyne zdanie, z którym się zgadzam. Ale nie wróżę mu powodzenia. Polska jest silniejsza niż sądzą Donald Tusk i Bartłomiej Sienkiewicz. 

Byli w historii świata przywódcy, którzy otwarcie twierdzili, że jeśli już się sięga po kłamstwo, to musi być ono okazałe. I stosowali tę zasadę, choć oficjalnie sami się kłamstwem brzydzili, wytykali je za to ludziom, których chcieli zniszczyć, a jak się później okazało – wręcz eksterminować.

Mowa o pewnym austriackim pejzażyście, który pisał: „W wielkim kłamstwie zawsze jest pewna siła wiarygodności; ponieważ szerokie masy narodu zawsze łatwiej ulegają zepsuciu w głębszych warstwach swojej natury emocjonalnej niż świadomie lub dobrowolnie, dlatego w prymitywnej prostocie swych umysłów chętniej padają ofiarą wielkiego kłamstwa niż małego, gdyż sami często opowiadają małe kłamstwa w drobnych sprawach, ale wstydziłoby się uciekać do kłamstw na dużą skalę. Nigdy nie przyszłoby im do głowy wymyślać kolosalnych nieprawd i nie wierzyliby, że inni mogliby mieć na tyle bezczelności, aby tak haniebnie zniekształcać prawdę”.

Minęło 100 lat, a tę taktykę marketingu politycznego uczynił swoim *modus operandi* premier Polski.

Niby nic nowego, z prawdą od lat mu nie po drodze. Kłamię w kampaniach. Kłamię, gdy rządzi. Kłamię w wywiadach. I na konferencjach prasowych. Wydawało się, że szczytem bezczelności jest nadanie własnej książce tytułu „Szczerze”, lecz była to tylko niewinna igraшка w porównaniu do tego, co serwuje nam dziś.

Donald Tusk lubi publiczne występy. Jest przekonany, że osiągnął w nich mistrzostwo. Lubuje się w swoich sztuczkach retorycznych, żongluje minami, udającymi spontaniczne (a wrze-



Kit wam w oko

*W czasie jego pierwszych rządów na ulicach skandowano: „Słońce Peru, mistrz bajeru!”.
Dziś Tuskwowi już nawet nie chce się bajerować.
Uznał, że rządzi ćwierć idiotami bądź zakochanymi w nim wyznawcami, więc nie musi się nawet starać, by jego słowa miały jakiegokolwiek odzwierciedlenie w rzeczywistości*



MAREK PYZA

PREMIER OPIEKUŃCZY

Cały *passus* przedstawiający założenia ustawy o dodatku dla pracowników pomocy społecznej był jednym wielkim kłamstwem. Dlaczego? Owszem, zapowiedziane dodatki będą dla wspomnianej grupy konkretnym wsparciem (kilkuset zł miesięcznie). Jednak premier chciał, byśmy najbardziej zapamiętali, a może nawet

wzruszyli się jego troską o ludzi, którzy *nie mają silnych lobbies za sobą, typu związki zawodowe, raczej nie blokują dróg, raczej nie organizują masowych manifestacji pod Sejmem, często są*

czywistości precyzyjnie przygotowanymi bon-motami, marszczonym czołem, rotowanym rozbrajającym uśmiechem. Wydaje mu się, że może sobie w tych występach pozwolić na wszystko, zwłaszcza gdy są to konferencje prasowe, na których ponad 90 proc. dziennikarzy to *de facto* jego medialni ochroniarze.

Najgorsze, że wszystkich słuchających traktuje jak swój najtwardszy elektorat, czyli zapatrzoną weń sektę, która przyjmie wszystko, byle zaspokoić patologiczną żądzę wyżywiania się na PiS.

Minęło właśnie 100 dni jego rządów. Najgorszych w historii III RP, bo naznaczonych gwałceniem prawa i próbą zdemolowania ustroju państwa.

W przededniu tego wydarzenia mieliśmy godzinną konferencję premiera, która przejdzie do historii. Bo Tusk w jej trakcie był niczym demoniczna wersja Armanda Duplantisa, bijącego własne rekordy. W tym przypadku niechlubne.

Z okazji rządowego jubileuszu rozbierzemy to wystąpienie na czynniki pierwsze.

bezzadni. A przecież wiele jego decyzji właśnie uderzy w tych bezradnych. I nie tylko z tej grupy zawodowej. Najmocniej poprzez podwyżki cen energii, które mają wynieść ok. 70 proc., a dodatkowo przez droższe paliwa, których cenę Tusk miał obniżyć za pomocą czarodziejskiej różdżki i bałaj o kwocie 5 zł z małym hakiem za litr. Nie zdążył się jednak dobrze usadowić w premierowskim fotelu, a już dał swojemu ministrowi zielone światło na podniesienie opłaty paliwowej. Efekt? Siódemka z przodu na wielu stacjach to już norma.

A to te dwa czynniki – ceny paliw i energii – będą determinowały napędzanie inflacji, którą po pandemicznym i wojennym szoku udało się zbić poprzedniemu rządowi i NBP. „Drożyzna Tuska” od wakacji stanie się naszą codziennością, z miesiąca na miesiąc coraz bardziej dojmująca.

Inna sprawa, że w tej wypowiedzi pobrzmiało – jak u każdego kłamcy – drugie dno: o losach, którzy ośmielają się protestować na ulicach przeciwko rządowi, tak chętnie już nie zadamy.

PREMIER REKORDOWY

Kto jeszcze nie zna tej wypowiedzi, niech nie przeciera oczu ze zdumienia. Takie słowa naprawdę padły z ust Donalda Tuska:

Przez te trzy miesiące zrobiliśmy więcej niż jakiegokolwiek rząd wcześniej w historii III Rzeczypospolitej, w warunkach trudniejszych niż inne przed nami rządy.

Nie, Tusk nie miał na myśli niszczenia państwa. Mówił to w kontekście realizacji zapowiedzi sprzed paru miesięcy. I powążył się na obelżywe wręcz odwrócenie pojęć i splunięcie w twarz wszystkim przedstawicielom wcześniejszych administracji rządowych.

Te trzy miesiące to było przecież nic innego niż rzucenie się stada wygłodniałych hien na państwowe dobra. Stworzyli najliczniejszy rząd w historii tylko po to, by każda z koalicyjnych formacji miała w nim wystarczająco dużo posad. W błyskawicznym tempie przejęli spółki państwowe, obsadzając je partyjnymi nominatami. Właśnie rozstrzygają pierwsze konkursy na zarządy tych przedsiębiorstw, w których „konkursy” wygrywają zaufani ludzie ministrów. Użyli siły i metod Jaruzelskiego, by spacyfikować media publiczne. Zorganizowali potrójny spektakl śledczy w Sejmie i rzucili nań najbardziej zawstydzające intelektualnie siły, byle dać gawiedzi antypisowskie igrzyska, którymi przykryje się to, co realnie nam szkodzą.

Trudne warunki? Żaden wcześniejszy rząd nie mógł marzyć o tak komfortowych, jeśli chodzi o sytuację budżetową państwa i rozpoczęte inwestycje. Wystarczyło kontynuować wiele tematów. Zamiast tego zaczęto się wycofywać – a to z inwestycji strategicznych, a to przebąkuje się o jakimś wydumanym audycie na dostawy broni.

Dzisiaj ci, którzy nam zarzucają, że nie wypełniliśmy wszystkich zobowiązań w ciągu tych pierwszych stu dni i mówią to tak otwartym tekstem, to są dokładnie ci, którzy przez te trzy miesiące robili wszystko, żeby blokować dobre zmiany, żeby blokować możliwość realizowania tego, do czego się zobowiązaliśmy.

Niby taki nowoczesny ten premier, niby taki obyty w mediach społecznościowych, a jednak dowodzi, że kompletnie nie wie, co się w nich dzieje. Bo to tam najlepiej widać złość wyborców koalicji 13 grudnia, zawiedzionych kampanijnymi kłamstwami. Inna sprawa, że podstawowym obowiązkiem opozycji w demokratycznym państwie jest recenzowanie rządu, a nie klaskanie mu na każdym kroku.

Jak Tusk jest blokowany?

Bijatyki pod Sejmem, awantury w Sejmie, wetowanie przez prezydenta – z różnych powodów, często bez powodu – ustaw, organizowanie manifestacji, podpinanie się, a następnie rozpalać manifestacji rolniczych, w tym także blokowanie granic.

A teraz rzeczywistość: jedynymi bijącymi kogoś przed Sejmem byli jak na razie policjanci, wysłani przez ministra Kierwińskiego do rozgonienia rolników. Specjalistami od awantur w Sejmie są żołnierze Tuska, czemu dawali wyraz na każdym posiedzeniu poprzednich dwóch kadencji. Mieliśmy wówczas wielokrotnie

blokowanie mównicy, kartoniady na sali plenarnej, nieustanne okrzyki, wyzwiska, a nawet przeszukiwanie prywatnych rzeczy posłów koalicji. Prezydent od grudnia zawetował jedną ustawę. Powtórzmy: JEDNĄ! Czyżby znajdowały się w niej rozwiązania, które miały wypełnić 90 niezrealizowanych konkretów Tuska?

I dalej: organizowanie manifestacji to elementarz demokracji, a gdy władza bezprawnie zamyka do więzień posłów chronionych immunitetem, nie można się dziwić, że ludzie

wychodzą na ulice. Aktualne protesty nie mają nic wspólnego z opozycją (która faktycznie chce je wykorzystać, do czego ma jednak prawo – ocenią to wyborcy), co rolnicy podkreślają na każdym kroku. A blokowanie granicy w ich wykonaniu miało już miejsce za rządów Zjednoczonej Prawicy. Sporo tego kitu jak na jedno zdanie.

PREMIER KRUSZĄCY

Podwyżki dla nauczycieli, wypłacenie 800+, mimo że sytuacja budżetowa w związku z wojną wcale nie jest przecież ani w Europie, ani w Polsce jakoś przesadnie różowa [...], podwyżki dla budżetówki, znowu niezależna i niepartyjna prokuratura, odbudowywanie niezależnego sądownictwa, media publiczne znowu oddane ludziom. Czy metody się komuś podobają, czy nie, to jest jedna sprawa, ale to, co mi się bardzo podoba, to to, że ja nie mam zamiaru mieć żadnego wpływu na to, co się dzieje w mediach [...], dobrze wykorzystaliśmy te trzy miesiące.

Czy wszystkie matki i ojcowie niepełnoletnich nie powinni na kolanach pielgrzymować w AI. Ujazdowskie, by wyrazić wdzięczność premierowi za wypłacenie 800+ (wprowadzonego przez poprzedników)? To minimum, które powinni rozważyć. Kto mógł się spodziewać, że ten ludzki pan jednak nie zabierze świadczenia, które przecież chciał rozdawać już w połowie ub.r.?

O mediach publicznych była mowa już wyżej. Co się zaś tyczy prokuratury, to odbywa się jej tak brutalne przejęcie, na jakie

nie zdecydowała się żadna z dotychczasowych ekip rządzących. Nikt bowiem nie považał się na bezprawne odwoływanie prokuratora krajowego czy natychmiastowe zabieranie śledczym postępowań, których przedmiotem zainteresowania są nowe władze. Do tego wciąż uparcie nie dostrzegają, że skutki tych działań będą oplakane dla nas wszystkich, a proroctwa o wychodzących z aresztów przestępcach, którzy teraz będą ściągać prokuratorów, już się sprawdzają.

Działamy w warunkach zabetonowania pisowskiego państwa w sposób bardzo konsekwentny. My naprawdę musimy niestety bardzo dużo energii wkładać w to, żeby ten beton rozkuć, zanim w ogóle jakakolwiek zmiana jest możliwa.

Można się tylko domyślać, o co sopockiemu prestidigitatorowi chodziło, bo nie doprecyzował. Ale zapewne miał na myśli wiele okoliczności, które opisuje jedno hasło: prawo. A konkretnie: konstytucja i ustawy. To tam jest bowiem zapisana kadencyjność różnorakich urzędów i jedyne dopuszczalne sposoby przeprowadzania w nich zmian. A zatem np. to, że nie można odwoływać prokuratora krajowego bez zgody prezydenta, że wyroki Sądu Najwyższego są ostateczne (a taki miał np. Maciej Wąsik), że nie można likwidować mediów publicznych czy że minister nie może powoływać ich władz (a zwłaszcza Polskiej Agencji Prasowej, której dotyczy oddzielny akt prawny).

Krótko mówiąc, ten „beton” w przełożeniu z Tuskowego na polski to nic innego niż prawo. A jego „rozkuwanie” oznacza nic innego niż łamanie porządku prawnego.

„Drożyzna Tuska” od wakacji stanie się naszą codziennością, z miesiąca na miesiąc coraz bardziej dojmującą

PREMIER ODPOWIEDZIALNY

W tym roku nie jesteśmy w stanie tego sfinansować ze względów finansowych, budżetowych. [...] Ilość pieniędzy, które przede wszystkim musimy wydatkować nie tylko na zakupy militarne, lecz także szeroko pojęte bezpieczeństwo związane z zagrożeniem wojennym [...] każe niezwykle ostrożnie myśleć nam o tej zmianie, czyli przegłosowaniu kwoty wolnej od podatku 60 tys., bo ona ma bardzo masywne skutki finansowe.

Jak to rozumieć? Albo przed wyborami Tusk nie przejmował się bezpieczeństwem (a nie przejmował się, bo zagrożenie ze Wschodu populistycznie wykorzystywał do walki politycznej), albo nie wiedział, jakie skutki jego obietnica przyniesie dla budżetu. Albo też: w ogóle tego nie kalkulował, lecz rzucił ot, tak sobie, wiedząc, że i tak tego nie zrealizuje. Najbardziej prawdopodobna jest opcja D: wszystkie odpowiedzi są poprawne.

Musimy – i to na kilku frontach – przygotować Polskę na każdy scenariusz. Dotyczy to i schronów, i mundurów, i wsparcia dla WOT [...] obrona cywilna, infrastruktura krytyczna związana z naszym bezpieczeństwem. I tu też proszę wszystkich o zrozumienie – ja naprawdę nie chcę się tym tłumaczyć, nikogo nie straszę i staram się być ostrożny w sformulowaniach. Ale bardzo wiele naszych decyzji i bardzo wiele decyzji, które miały być podjęte, ale zostały zawieszone, wynika z tego, że musimy gromadzić zapasy, środki, pieniądze i przekierowywać kierunki decyzji w związku z zagrożeniem agresją ze strony Rosji w jakiejś niestety niedalekiej

perspektywie. To musimy traktować poważnie. Nikt nie zwalnia nas z tego obowiązku.

Rosyjskie zagrożenie jest oczywiście jak najbardziej realne i nie wolno go lekceważyć. Ale powinniśmy się przygotować na to, że Donald Tusk bezwzględnie wykorzysta tę nadchodzącą wojnę (czy realną, czy tylko w analizach ekspertów). Niebezpieczeństwo ataku Moskali to najlepszy pretekst do wycofywania się z wszelkich inwestycji, programów społecznych, obietnic podwyżek czy obniżek podatków.

I kto ośmieli się zaprotestować oraz żądać 800+, gdy premier z ministrem obrony staną w zielonych kurtkach przy mapie i zaczną opowiadać o konieczności budowy umocnień w Przesmyku Suwalskim?

Tu objawia nam się nowy Tusk. Nowoczesny i przenikliwy niczym niemiecka socjaldemokracja, która latami pasła (zupełnie jak on sam) Putina, a dziś udaje, że jest główną siłą, która go zatrzyma.

A to przecież szef polskiego rządu był tym, który w najbardziej idiotyczny sposób (Polakowi podającemu się za patriotę to po prostu nie przystoi) bagatelizował zagrożenie ze strony ruskiego satrapy – czy to godząc się na narzucone przez Moskwę warunki niekorzystnej dla Polski umowy gazowej, czy pozwalając (nie mówimy o intencjonalności) na doprowadzenie do katastrofy w Smoleńsku, czy rezygnując z jej wyjaśnienia. Inni przywódcy europejscy jakoś nie zapracowali na tytuły w moskiewskich gazetach analogiczne do słynnego: „Nasz człowiek w Warszawie”.

Tu dochodzimy do zdania, które może być puentą każdego przemówienia Tuska.

Biorę na siebie całą odpowiedzialność. Jestem premierem, jestem liderem największej partii, w tym jestem profesjonalistą, żeby brać na siebie odpowiedzialność za moje i cudze winy.

Mówił to w kontekście dyskusji na temat aborcji, ale ta narcystyczna opinia od lat towarzyszy mu na każdym kroku. A jest ona jedną z największych

Doprecyzujemy: jest profesjonalistą w MÓWIENIU o odpowiedzialności i jednoczesnym totalnym UNIKANIU jej.

Nic za tymi słowami nie idzie. I nigdy nie szło. Nawet gdy chodziło o zbrodnie, które wszak Tusk ma na swoim koncie – choćby zbrodnię dyplomatyczną (spiskowanie wspólnie z Putinem przeciw własnemu prezydentowi) czy ustrojową (polegającą na łamaniu konstytucji i wielu bezprawnych działaniach po 13 grudnia).

Dlaczego taki jest? Najprostsza odpowiedź brzmi: bo może. A nieco szersza: bo wynika to z jego niebywale wysokiego mniemania o samym sobie oraz poczucia bezkarności, które najbliższe lata mają dodatkowo zabetonować.

Pozostaje mieć nadzieję, że Tusk wciąż lekceważy procesy społeczne, co już raz pomogło w odsunięciu go od władzy. I że Polacy nie są tak ciemnym ludem, za jaki uważa ich premier, a więc będą w stanie zdjąć bielmo z oczu i twardo sprzeciwić się polityce w całości opartej na kicie wciskany prosto w oczy. 

Lewica na smyczy

Epoka rządów PiS skończy się w Polsce w lipcu br. Dobrze państwo przeczytali – w lipcu, a więc wtedy, gdy nasze rachunki za energię pójdą w górę dwukrotnie lub więcej. Bogaci dadzą sobie radę, ale tym uboższym nikt już nie pomoże.

W skład dzisiejszej koalicji rządowej wchodzi ugrupowanie, które – przy najmniej teoretycznie – powinno przejmować się warunkami życia słabiej zarabiającej części społeczeństwa. Chodzi oczywiście o Lewicę. Jednak tylko głupiec mógłby liczyć na jakąkolwiek skuteczną interwencję z tej strony. Gdyby bowiem Lewicy naprawdę zależało na walce o lepszy standard życia Polaków, nigdy by nie weszła w koalicję z liberalnymi drapieżnikami spod znaku KO i Trzeciej Drogi.

ZACISKANIE PASA

Niższej klasy nikt nie szanuje. Lewica też jej nie szanuje, bo uważa się za formację elitarną. „Uwalnianie cen energii w lipcu jest lepsze niż w sezonie grzewczym, bowiem zanim Polacy się zorientują, o ile tak naprawdę ceny urosły, minie pół roku” – powiedziała niedawno w telewizji Polsat News posłanka Anna Maria Żukowska.

Patrzcie, jaka spryciuła – chciałoby się powiedzieć. Imponujące jest tempo, w jakim Żukowska i reszta jej formacji przyjęła strategię polityczną Tuska. On zawsze obiecywał mnóstwo rzeczy, a potem zwlekał z realizacją złożonych obietnic, tak aby wszyscy o nich zapomnieli lub machnęli z rezygnacją ręką. Istotą tej strategii jest oszustwo i założenie, że wyborcy to skończeni idioci, którymi można pomiatać. Liczy się bowiem wyłącznie władza.

Jeśli zaś idzie o władzę, to zawsze warto zastanowić się, w czym interesie jest ona sprawowana. Zapowiedziane przez obecną koalicję cięcia wielkich inwestycji i programów osłonowych dla społeczeństwa wskazują wyraźnie, że pisowska polityka dobrostanu definitywnie się kończy. Lud musi teraz zacisnąć pasa, a skoro on zacisnie, to ktoś inny tego pasa popuści. Ulgę odczują ci, którzy w okresie rządów PiS musieli się podzielić jakimś ułamkiem swoich dochodów ze społeczeństwem. Teraz nie będą musieli się dzielić nawet ułamkiem. Co

*O ile działacze
postkomunistycznego
i liberalnego nurtu Lewicy
mają gdzieś wyborców
z klasy ludowej, o tyle
frakcja wywodząca się
z Razem próbuje się
nad nimi pochylać. Robi
to jednak na podobnej
zasadzie, na jakiej wrażliwy
dandys pochyla się nad
bezdolnym pieskiem,
widzianym z okien swojego
wypasionego samochodu*



KONRAD KOŁODZIEJSKI

więcej, z nawiązką odbiorą sobie to, co im w ciągu ostatnich ośmiu lat „bezprawnie odebrano”.

Obecna władza jest właśnie po to, aby przywrócić stary porządek rzeczy, w którym hołota haruje, a bogaci liczą zyski. Bogaci to pojęcie szerokie – nie chodzi tu wyłącznie o nieliczną w Polsce grupę dużych przedsiębiorców, lecz także o wielki zagraniczny kapitał oraz wysługującą mu się klasę menedżerską. To oni będą teraz popuszczać pasa. A lud będzie go zaciskał.

Głównym zmartwieniem Żukowskiej (podobnie jak Tuska) jest takie przeprowadzenie całej operacji, aby odwrócenie transferu pieniędzy było jak najmniej zauważalne. Dlatego ceny energii zostaną uwolnione w lipcu, bo wtedy ludzie dostają niższe rachunki i jakoś to przelkną. A gdy nadejdzie zima i rachunki skoczą w kosmos, to się im powie, że zbyt często robili pranie i palili za dużo światła w mieszkaniu, więc to wszystko ich wina. Trzeba się nauczyć żyć ekologicznie, bo planeta cierpi, a tak dłużej być nie może.

PIC NA WODĘ

Przypomnijmy, pod jakimi hasłami Lewica szła do ostatnich wyborów.

Punkt pierwszy – absolutnie fundamentalny – to liberalizacja aborcji. Potem legalizacja związków partnerskich i cały pakiet postulatów obyczajowych, kryjących się pod zbiorczym hasłem „przywracania świeckiego państwa”. To jest esencja obecnej lewicy, jej *spiritus movens*, bez którego ta formacja nie widzi sensu swojego istnienia.

Wszystko inne to tylko didaskalia, ustawiane pod kątem aktualnych potrzeb politycznych i które w związku z tym zawsze traktuje się jako drugorzędne oraz będące przedmiotem przetargu. Mamy tutaj rozwiązania dla pracowników, np. podniesienie płacy minimalnej, likwidację umów śmieciowych i skrócenie czasu pracy w tygodniu o 5 godzin. Są propozycje budowy tanich mieszkań na wynajem, obniżenie stawki VAT i wprowadzenie progresywnej stawki PIT, bezpłatna komunikacja lokalna, darmowe obiady dla uczniów, 8 proc. PKB na ochronę zdrowia, leki na receptę za 5 zł i wiele innych. Nie ma sensu wszystkiego wymieniać,

bo to i tak w większości pic na wodę. Gdyby bowiem Lewica naprawdę myślała o realizacji tych postulatów, to nigdy by się nie sprzymierzyła z Tuskiem. Jednak antypisizm okazał się dla Lewicy silniejszy od instynktu samozachowawczego, a utrzymanie się w głównym nurcie ważniejsze od postulatów socjalnych i zabiegania o wyborców.

Ktoś oczywiście może uznać, że być może politycy Lewicy są idiotami, którym wydawało się, że będą języczkiem u wagi i zdołają zmusić Tuska do prowadzenia mniej antyspołecznej polityki, ale to mało prawdopodobna hipoteza. Lewica od samego początku doskonale wiedziała, że rzuca obietnice bez pokrycia. Jeśli naprawdę jej na coś zależało, to na tym, aby wreszcie wrócić do władzy, co zresztą politycy Lewicy sobie racjonalizują, tłumacząc, że tylko będąc u władzy, mają na cokolwiek wpływ.

Problem w tym, że nie mają. Nawet w kwestii aborcji, która przecież dla Tuska jest wyłącznie kwestią polityczną, a nie światopoglądową, ich sukcesy wyglądają – jak na razie – dość miernie. Nie żebym się tym martwił, chodzi jedynie o to, że sprawczość Lewicy jest w praktyce żadna – w całości wisi na woli politycznej Tuska. A on nie ma żadnego interesu w tym, aby promować Czarzastego z Żukowską i jeśli zrobi cokolwiek, to tylko aby wzmocnić własną pozycję. Dotyczy to również tak kluczowej dla Lewicy kwestii, jak aborcja. Jeśli ostatecznie zostanie zliberalizowana, będzie to w głównej mierze dzieło Tuska.

Wbrew pozorom liberalni wyborcy dostrzegają, o czym świadczą niskie notowania Lewicy. Formacja ta ciągle nie jest w stanie przekroczyć magicznego dla niej progu 10 proc. poparcia.

PANICZYK O GOŁĘBIM SERCU

Dzisiejsze pojęcie lewicy – podobnie zresztą jak prawicy – ma coraz bardziej umowny charakter i coraz bardziej odbiega od pierwotnego znaczenia. Interesy niższych klas najczęściej bowiem reprezentuje dziś prawica. W tym sensie PiS jest partią socjalną, a jego przeciwnicy – w tym znacząca część lewicy – są reprezentacją bogatych elit.

Część lewicy, zwłaszcza jej publicyści, dostrzega to zjawisko i chciałoby je odwrócić. W Polsce ten nurt jest skupiony wewnątrz partii Razem. Mamy tutaj kilka nowych twarzy – być może potencjalnych przyszłych liderów tej formacji – takich jak Paulina Matysiak czy kandydująca w wyborach na prezydenta Warszawy Magdalena Biejat.

Posłanka Matysiak z wielkim uporem walczy o lepszą i tańszą komunikację publiczną w Polsce. W związku z tym jest też twardą zwolenniczką budowy CPK, co przyniosło jej dużo sympatii po umownej prawej stronie polskiej sceny politycznej (i zarazem wiele hejtu ze strony fanatycznych wyznawców Tuska). Z kolei zasiadająca w Senacie Magdalena Biejat na poważnie wzięła postulat budowy mieszkań komunalnych

Gdyby Lewicy naprawdę zależało na walce o lepszy standard życia Polaków, nigdy by nie weszła w koalicję z liberalnymi drapieżnikami spod znaku KO i Trzeciej Drogi

i chce ukrócić patodeweloperkę w Warszawie, co rzecz jasna wystawiło ją na brutalne ataki wpływowych grup wspierających Rafała Trzaskowskiego. Obie działaczki próbują więc – w odróżnieniu od Żukowskiej czy Czarzastego – po-

ważnie potraktować didaskalia z programu Lewicy oraz zabiegać o mniej zamożnego wyborcę.

Problem z partią Razem polega jednak na tym, że jest to formacja wielkomiejska, która stawia diagnozy społeczne na podstawie dzieł publicystycznych, prac naukowych i kawiarnianych dyskusji, a nie własnego doświadczenia życiowego. I choć jej diagnozy niekiedy bywają słuszne, to Razem pozostaje partią odległą od realnych problemów swojego potencjalnego elektoratu. Doskonale było to widać przy okazji wywiadu udzielonego przez Magdalenę Biejat „Gazecie Wyborczej”. Działaczka Razem przekonuje w nim, że zamierza walczyć o edukację publiczną, jednocześnie jednak przyznaje, że sama posyła dziecko do szkoły społecznej. „Zdecydowaliśmy się na nią, bo jest blisko domu, a w okolicy nie było lepszego wyboru” – wyjaśniła. Problem w tym, że wyborcy z klasy ludowej, o których zabiega Biejat, zwykle takiego wyboru nie mają, bo po prostu nie stać ich na wysokie czesne.

Może więc powinno się zawalczyć o wyższe płace? Gdy kilka lat temu PiS zapowiedziało podniesienie pensji mini-



Fot. Ludwika Kozłowska



ców z klasy ludowej, o tyle frakcja wywodząca się z Razem próbuje się nad nimi pochylać, ale robi to na podobnej zasadzie, na jakiej wrażliwy dandys pochyla się nad bezdomnym pieskiem widzianym z okien swojego wypasionego samochodu. To bardzo przykry widok, przemoknięte i porzucone zwierzątko. Aż serce boli – wzdycha i jedzie dalej. Do domu pieska nie weźmie, bo mu nabrudzi. A zresztą każdy ma swoje sprawy na głowie.

Lewica spod znaku Razem ma wyrzuty sumienia, coś jej w Polsce nie pasuje, chciałaby, aby inni mieli lepiej, ale się trochę brzydzi. Takie paniczki o gołęim sercu. Jednak dla ludzi naprawdę poszkodowanych nic z tego nie wynika. Bo i nie może.

GOGUSIOWATA PSEUDOLEWICA

Nic więc dziwnego, że gdy w Polsce wybuchły protesty rolników, Lewica – w tym również działacze Razem – odwrócili się od nich z niechęcią. Bo choć wielu z nich ma głowy nafaszerowane Marksem i Piketty, to niewiele rozumieją z tego, co się dzieje. Oto na ich oczach, tuż obok, dochodzi do prawdziwej walki klasowej, o której tyle czytali, ale której nie są w stanie zobaczyć. A to dlatego, że współczesna klasa pracująca nie odpowiada ich wyobrażeniom. Jej przedstawicielem jest bowiem najczęściej biały mężczyzna, zwykle heteroseksualny, niekiedy szorstki w obyciu i dość konserwatywny w przekonaniach. Takimi jak on lewica pogardza. I dlatego nigdy nie stanie w ich obronie.

Pisał o tym niedawno Remigiusz Okraska, szef i wydawca

„Nowego Obywatela” – lewicowego czasopisma, które obecna władza pozbawiła właśnie finansowania. Dlaczego? Bo wytykał lewicy jej hipokryzję. „Autorom i czytelnikom łzawienia nad ciężką dolą pańszczyźniaków sprzed 200 lat śmierdzi realny lud współczesny. Gogusie z kawiarni i uniwersytetów mają wyrąbane na protesty społeczne inne niż klasośrednie wygłupy w obronie interesów klas posiadających i liberalnej oligarchii. Podniecanie się dawno minionymi wydarzeniami lub realiami odległymi

o tysiące kilometrów (Ameryka Łacińska jest najlepsza w tej kwestii) nie uczula w żadnej mierze na dolę bliźniego tutaj i teraz, dwadzieścia czy sto kilometrów od Warszawy czy Krakowa. Kompulsywne nabywanie i chwalenie się lekturą »antykapitalistycznych« książek i żurnali nie przekłada się na zainteresowanie walkami społecznymi, które dzieją się tuż obok” – napisał Okraska.

Dawno już nie było tak trafnego opisu współczesnej, gogusiowatej pseudolewicy. Bo lewica nie ma w sobie nic z dawnego ruchu społecznego. Dziś to już raczej tylko moda wśród wielkowiejskiej, bogatej młodzieży. Bunt udawany i ściśle kontrolowany.

malnej 3 mln najsłabiej zarabiających, to Biejat była sceptyczna. „Sposób, w jaki chcą to zrobić, jest nieodpowiedzialny. Postulatem Lewicy jest stopniowe zwiększanie płacy minimalnej przez najbliższe lata, a nie skokowe do 4 tys. zł. Uważam, że należy podnieść płacę minimalną. Ale za projektem, jaki obecnie proponuje PiS, nie zagłosuję” – mówiła „Gazecie Wyborczej” w 2019 r. A więc owszem, płace trzeba podnieść, ale nie za szybko, bo biednym poprzewraca się w głowach. Trzeba być odpowiedzialnym. Zero populizmu.

Dawna koleżanka Magdaleny Biejat z partii Razem, a dziś minister pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, zapowiadając zniesienie zerowej stawki podatku VAT na żywność po Wielkanocy, również wykazała się specyficzną wrażliwością społeczną. Jej zdaniem „lepiej, żeby tego rodzaju decyzje nie zapadały przed świątecznymi zakupami, tylko były nieco odroczone, i to z pewnością jest dobra informacja dla polskich rodzin”. Polskie rodziny z pewnością bardzo docenią taką troskę.

O ile działacze postkomunistycznego i liberalnego nurtu Lewicy mają – jak wszystko na to wskazuje – gdzieś wybor-

Lewica nie ma w sobie nic z dawnego ruchu społecznego. Dziś to już raczej tylko moda wśród wielkowiejskiej, bogatej młodzieży. Bunt udawany i ściśle kontrolowany

PRL skończył się w Krakowie

W Krakowie kończy się epoka Jacka Majchrowskiego. Prezydent miasta, dawniej nominat SLD, rządził przez blisko ćwierć wieku, łącząc wszystkie wady elit historycznej stolicy: profesorską ospałość, postkomunistyczny imposybilizm, feudalny styl bycia i dworskie układy



cen najmu, zieleń dziko rozrastała się bez ładu i składu, mury pomazane wielokolorowymi napisami straszyły przechodniów.

Dziś na Zabłocie można szybko i sprawnie dojechać tramwajem, a na miejscu zobaczyć nowoczesne osiedla, park „Stacja Wisła”, schludną infrastrukturę i modne lokale gastronomiczne. Dodatkowo nie stało się to samoistnie, bo faktycznie Majchrowskiemu zależało na rozwoju tej dzielnicy. Ale tutaj właśnie warto wziąć szkło powiększające i z efektownej metamorfozy rejonu wyłapać patologiczne mechanizmy funkcjonowania miasta.

KŁADKA ZAMIAST MOSTÓW

Po pierwsze, na Zabłociu jest zlokalizowana Akademia im. Frycza Modrzewskiego, niegdyś Krakowska Szkoła Wyższa, której założycielem i współwłaścicielem jest właśnie prezydent Majchrowski. Placówkę było tam łatwo i tanio zlokalizować, bo dzielnica nie zachęcała do inwestycji, ale za pieniądze krakowskiego podatnika rozkwitła infrastruktura i nabrała wartości. Feudalny mechanizm prywatnego folwarku pozwolił Majchrowskiemu wykorzystać budżet miasta do rewitalizacji, która przecież nieprzypadkowo przyniosła osobiste zyski decydentowi. Ale i ta przebudowa Zabłocia nie jest tak spektakularna, jakby się mogło wydawać na pierwszy rzut oka.



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

A może trzeba docenić rozkwit poszczególnych części miasta? Spójrzmy na takie Zabłocie, część dzielnicy Podgórze, przylegająca do Wisły, naprzeciwko sąsiadujących ze Starym Miastem Grzegórzek. Dwie dekady temu była to okolica zawałona starymi budynkami, w których funkcjonowały magazyny czy małe przedsiębiorstwa korzystające z niskich

Fot. Da Vism/Shutterstock.com

Po drugie bowiem, plagą Krakowa jest dzika deweloperka, przez dekady śmiało omijająca zaniedbany plan zagospodarowania przestrzennego. Na Zabłociu pojawiają się biurowce, osiedla deweloperskie, a nikt nie zwraca sobie głowy obiektami użyteczności publicznej. Jeden park i jedna stacja kolejowa nie sprawiły, że ta część Podgórza stała się przyjemnym miejscem do życia, zwłaszcza że dotknęła ją plaga betonozy, tak typowej dla polskich miast. Postkomunistyczny imposybilizm przejawiał się i tutaj. Zresztą już sam fakt, że drugie co do wielkości miasto w Polsce potrafi zmienić nędzne Zabłocie w oazę deweloperki i pochwalić się, że poprowadziło tutaj dumne 2 km torów tramwajowych, jest obrazem wątpliwego rozmachu III RP, w którym nie możemy się dziwić, że wrocławskie Jagodno pewnie wcale nie doczeka się linii tramwajowej.

Pokażmy też profesorską ospałość Majchrowskiego. Milionowe miasto akademickie (funkcjonuje tu ponad 20 uczelni wyższych, w tym najstarszy uniwersytet tej części Europy – Uniwersytet Jagielloński) na przełomie XX i XXI w. zbudowało trzy mosty na Wiśle: Kotlarski, Zwierzyniecki i Wandy. Wraz z nastaniem Majchrowskiego horyzonty inwestycyjne skurczyły się do wizji miasta powiatowego – przez

20 lat postawiono jeden most w ciągu wschodniej części obwodnicy miasta, zaś sam Kraków jest w czołówce najbardziej zakorkowanych metropolii w kraju (trzecie miejsce według TomTom Traffic). Za to najbardziej spektakularnym wydarzeniem ćwierćwiecza Majchrowskiego było przerzucenie przez rzekę... kładki pieszo-rowerowej, która połączyła Podgórze z Kazimie-

Druzgocącym przykładem minimalizmu ekipy Majchrowskiego była sprawa metra dla Krakowa

rzem. Owszem, kładka stała się atrakcją dla turystów, ale w najmniejszym stopniu nie rozwiązuje problemów miasta. A co do turystów, to i tutaj Majchrowski ma się z czego spowiadać.

NAJGORSZY MODEL TURYSTYKI

– Prezydent postawił na najtańszy model rozwoju turystyki – komentuje sytuację dla tygodnika „Sieci” Mateusz Jaśko, miejski aktywista, który od lat piętnuje patologię ratusza, publikując

jej przykłady pod internetowym hasłem: „Co jest nie tak z Krakowem”.

Z turystami jest przecież tak, że Kraków ze względu na swoje zabytki i status centrum polskiej kultury, sztuki i tożsamości jest po prostu ekonomicznym *perpetuum mobile*. Szacuje się, że co roku miasto odwiedza 8–10 mln ludzi, zostawiając lokalnym przedsiębiorcom miliardy euro. – Majchrowski trafił na wyjątkowy czas w historii miasta, na epokę, która już się nigdy nie powtórzy – twierdzi Jaśko. – Zaraz po objęciu przez niego urzędu Polska wchodzi do Unii Europejskiej, otwierają się granice, a miasto dosłownie zalewają turyści.

Aktywista przekonuje jednak, że ratusz zgodził się na najgorszy model turystyki, bez poważnej bazy hotelowej, z wysypem obskurnych hosteli, mieszkań i pokojów na wynajem. Dla zachodnich gości Kraków jest tak tani, że Brytyjczycy stają się już tutaj stałymi bywalcami weekendowych pijatyk i naprawdę tydzień, w którym jakiś rozebrany do naga Anglik nie przebiegnie przez zabytkowy rynek pod wpływem alkoholu czy po jakimś prymitywnym, koleżeńskim zakładzie, można uznać za wyjątkowy.

Także na Starym Mieście, pamiętającym największą świetność Jagiellonów, rozsiało się pełno rozrywek najgorszego typu – hucznych dyskotek i klubów striptizerskich, słynnych z okradania

REKLAMA

Alleluja!

Niech zbliżające się święta Wielkiej Nocy
będą okazją do wytchnienia
i odpoczynku od codzienności.

Okazujmy sobie życzliwość i ciesmy się
wspólnie świąteczną atmosferą.

Zarząd i Pracownicy
Kasy Stefczyka



Zawsze u siebie

eprasa.pl e9690c11c9



klientów. Konia z rzędem temu, który wieczorem przejdzie przez Floriańską, Rynek i Grodzką bez zaczepki o wizytę w lokalu z mówiącymi ze wschodnim akcentem tancerkami. Czy to jest format dla miasta Wierzyńka, Bereckiego, Matejki, Wyspiańskiego i Woityły?

Oczywiście Kraków broni się różniaczem swoich jeszcze średniowiecznych i renesansowych kościołów, żydowskim Kazimierzem, gęstą siecią muzeów i Wawelem, ale, no właśnie, broni się – przed Majchrowskim i jego ekipą.

ZARZUTY PROKURATORSKIE

– To nie jest tak, że wokół Majchrowskiego utworzyły się układy przez jego zasiedzenie na urzędzie. On już wszedł do ratusza z tymi układami – kontynuuje Jaśko.

Żeby nie być gołosłownym i nie rozpisywać ćwierćwiecza rządów prezesów wszystkich spółek i społeczek zależnych od ratusza, wystarczy wskazać choćby na ten skandal. Dwie wiceprezydent Krakowa z nadania Majchrowskiego mają dzisiaj zarzuty prokuratorskie, a i sam prezydent odchodzi w niesławie prokuratorskiego oskarżenia o przekroczenie uprawnień w celu osiągnięcia korzyści majątkowej.

Miasto dało ponad 1 mln zł na remont kamienicy, której właścicielem jest krewny byłej wiceprezydent. Elżbieta K., zwana przez złośliwych „Elką Deweloperką”, miała namawiać urzędników do podejmowania decyzji zgodnych z interesem jednej z firm, z którą była związana. Inna wiceprezydent, Katarzyna Ś., miała według śledczych przyjąć ponad 200 tys. zł za pomoc w wydłużeniu z budżetu miasta pieniędzy na dotację dla przedszkola, które zawiązało liczbę dzieci w swojej placówce.

Zapewne największe przekręty dzikiej deweloperki Krakowa pozostaną tajemnicą, skoro wokół dokumentacji doszło do skandalu na ogólnopolską skalę. W lutym 2021 r. doszczętnie spłonęło archiwum zawierające 200 mln dokumentów, także zgód na budowę. Nie był to zwykły pożar, skoro nowy budynek z 2018 r. miał nowoczesne systemy prze-

ciwopożarowe, a spektakularny ogień strawił gmach akurat przy ujawnianiu pierwszych afer z udziałem najbliższego otoczenia Majchrowskiego.

TRAMWAJ ZAMIAST METRA

Nawet najwytrwalsi tropiciele afer ratusza mogli powstrzymać trwonienie pieniędzy jedynie częściowo. Michał Drewnicki, wiceprzewodniczący Rady Miasta Krakowa (PiS), stawał na głowie, by powołać w Radzie specjalną komisję, która przyjrzałaby się miejskiej spółce Kraków5020. Jednostka miała promować miasto, prowadziła też telewizję internetową, której i tak nikt nie oglądał. Niektóre programy mają w serwisie YouTube po 30–40 wyświet-

Dwie wiceprezydent Krakowa z nadania Majchrowskiego mają dzisiaj zarzuty prokuratorskie, a i sam prezydent odchodzi w niesławie prokuratorskiego oskarżenia

leń, czyli tyle, ile uzyskuje się poprzez samo sprawdzanie przez autorów, czy nagranie dobrze wyszło. – Panie redaktorze, gdyby pan zobaczył to studio, ile tam pieniędzy wydano, na kamery po 400 tys. zł każda – łapie się za głowę Drewnicki, współautor raportu na temat spółki Kraków5020. – Ja mogę życzyć takiego sprzętu waszej telewizji, telewizji w Polsce.pl – śmieje się radny, który zresztą faktycznie bywa gościem i komentatorem w naszej telewizji. Przy wsparciu radnych Drewnicki uzyskał decyzję o likwidacji tej jednostki, która zdążyła roztrwonić 20 mln zł.

– Problem Majchrowskiego polega na tym, że nie miał on żadnej wizji dla miasta. Wszystko miało się toczyć siłą inercji – komentuje Drewnicki.

– Mnie ta władza przypomina kiepskiego przedsiębiorcę z lat 90., który cwaniactwem próbuje coś dla siebie

uszczerknąć – mówi z kolei Jaśko, wielokrotnie przedstawiany w ratuszu jako wróg nr 1.

Druzgoczącym przykładem minimalizmu ekipy Majchrowskiego była sprawa metra dla Krakowa. W 2014 r. odbyło się referendum, które z powodu frekwencji (prawie 36 proc.) było wiążące. W pytaniu o metro 55 proc. głosujących opowiedziało się za jego budową. Wkrótce potem do władzy w Polsce doszła Zjednoczona Prawica, która poparła ten projekt, a Kraków zyskał w rządzie swojego gorącego orędownika – ministra Jadwigę Emilewicz. Rząd zamierzał pozyskać pieniądze na inwestycję także z Unii Europejskiej, przeznaczył również środki na przygotowanie „Studium wykonalności metra”, przez Majchrowskiego pospieszenie przemianowane na „Studium wykonalności szybkiego, bezkolizyjnego transportu szynowego w Krakowie”, byle tylko uniknąć słowa „metro”.

Przeciwnicy budowy tej formy komunikacji rozpowszechnili w mieście zupełnie idiotyczny argument, że budowa metra w Krakowie jest niemożliwa ze względu na... zabytki. Można by więc powiedzieć, że gdyby Majchrowski rządził w Rzymie czy Londynie, tam także metro by nie mogło powstać. W zamian za to tramwaje

z Ronda Mogińskiego jadą na przystanek Politechnika tunelem biegnącym pod dworcem. Tak z sieci metra pozostał króciutki odcinek podziemnej trasy tramwaju i tyle ma miastu wystarczyć.

Sam Majchrowski to postać PRL-owskiego Krakowa, o którym tak rozpisywał się w swoich dziennikach prof. Karol Estreicher. Zlepek komunistycznych kompleksów, aspiracji do bycia elitą, bylejakości i niechlubnego „jakoś to będzie”. Majchrowski był członkiem PZRP od 18. roku życia, potem był związany z SLD, od którego odciął się wraz z przejęciem władzy w królewskim mieście. Ze swoimi grubymi cygarami, palonymi nonszalancko w gabinecie nawet podczas przyjmowania gości, Majchrowski zdawał się być jednym wielkim komunikatem, że Kraków przetrzyma nawet największe zaniedbania. I tak się stało. 

Wszystko służy wojnie

Rosja przygotowuje się do epoki wojen, w prowadzeniu których demokracja tylko zarządza. I takie nastawienie tamtejszej elity potwierdzają ostatnie wybory prezydenckie

Już w kwietniu 2023 r. rosyjski dziennik biznesowy „RBK” informował, że w trakcie narady zorganizowanej przez „blok polityczny” Kremla dla wicegubernatorów przedstawiono cele wyborcze: Putin ma uzyskać nie mniej niż 75-proc. poparcie w zaplanowanych na 2024 r. wyborach prezydenckich, a frekwencja nie może być niższa niż 70 proc.

Jak napisał Andriej Percew, dziennikarz specjalizujący się w opisywaniu sytuacji na szczytach rosyjskiej władzy, „zgodnie z sowiecką tradycją” nagradzani są ci, którzy przekraczają przyjęty plan. W efekcie trzydniowe głosowanie, które skończyło



MAREK BUDZISZ

się 17 marca br., dało wyniki lepsze niż pierwotne oczekiwano. Według oficjalnych danych na Putina miało oddać głos 87,3 proc. wyborców przy rekordowej frekwencji na poziomie 77,4 proc. Jak zauważył ten obserwator rosyjskiej sceny politycznej, „pozycjonuje to Rosję w grupie państw dyktatur z Azji Środkowej”, a tym, co

różniło obecne od poprzednich wybory, jest nie tylko fakt, iż wyniki zostały w dużym stopniu „narysowane”, represje są coraz powszechniejsze, a opozycyjni czy choćby tylko akcentujący konieczność zakończenia wojny kandydaci nie zostali dopuszczeni do uczestnictwa.

TOTALITARYZM UZASADNIONY

Percew jest przekonany, że władza od lat odwołując się do rozmaitych technik socjotechnicznych, również fałszowania wyników, zawsze dążyła do osiągnięcia swych celów, tyle że w przeszłości robiono to dyskretniej, a teraz „polityczni technologowie”

z Kremla, którymi kieruje Siergiej Kirijenko, wiceszef prezydenckiej administracji, szczycą się swoją sprawnością. To, co w przeszłości było wstydliwie skrywane, maskowane pod pojęciem „kierowanej demokracji”, teraz jest powodem do dumy.

W czasie wojny w rosyjskich elitach nastąpił bowiem przełom mentalny. Przedstawiciele obozu władzy uważają narastające tendencje autorytarne z oznakami przechodzenia do totalitaryzmu za powód do dumy, świadectwo siły, narodowej jedności i tężyzny. Co więcej, uznają taką politykę za gwarancję sukcesu i dobry prognostyk na przyszłość. Siergiej Karaganow, politolog bliski Kremlowi, napisał niedawno, że w epoce wojen, a w takie czasy wkracza Rosja, trzeba zmienić też system wychowania młodzieży, co zresztą już się dzieje, i kształtować „wojowników”, którzy będą mieli motywację, odporność i umiejętności walki. W takim świecie nie ma miejsca na demokratyczne dzielenie włosa na cztery, zwątpienie i poszukiwanie wygodnego życia. Rosja przygotowuje się do epoki wojen, w prowadzeniu których demokracja tylko zawadza. I takie nastawienie elity potwierdzają ostatnie wybory.

Iwan Szuszkina, rosyjski niezależny politolog, który od lat liczy, posługując się modelami statystycznymi, rzeczywiste wyniki wyborów w Rosji, jest przekonany, że tym razem skala fałszerstw była bezprecedensowa i można mówić nawet o 22 mln „narysowanych” głosów oddanych na Putina (na 76,3 mln, które oficjalnie dostał). Eksperti emigracyjnej „Nowej Gazety” są przekonani, że mogło to nawet być 31,6 mln. Te ostatnie dane są, zdaniem komentatorów mającego swą siedzibę na Łotwie portalu Meduza, obarczone znaczącym błędem, bowiem analizy statystyczne odwołują się do modelu „normalnych okręgów wyborczych”. Tyle że takich już w Rosji nie ma.

Szukając odpowiedzi na pytanie, ilu Rosjan rzeczywiście oddało swe głosy na Putina, Szuszkina dochodzi do wniosku, że „ukradziono” poparcie Władisławowi Dawankowowi z partii Nowi Ludzie, jedynemu kandydatowi, który mówił o potrzebie pokoju, co prawda na rosyjskich warunkach, a jego

głosy dopisano Putinowi. W świetle tej analizy Dawankow powinien mieć ok. 11 proc., a oficjalnie dostał jedynie 3,85 proc. głosów, zaś w opinii rosyjskiego eksperta realny rezultat Putina wyniósł ok. 80 proc. Aktywiści projektu Extremescan, skupiającego niezależnych badaczy, którzy postavili sobie za cel oszacowanie rzeczywistych wyników wyborczych, są zdania, że realne poparcie dla Putina wyniosło ok. 55 proc, choć ten wskaźnik może być zaniżony, bo niemal jedna trzecia ankietowanych odmawiała odpowiedzi na pytanie, kogo poparła.

Nie zmienia to jednak faktu, że, jak napisał na łamach brytyjskiego „The Telegraph” Dave Seminara, „Putin nie jest jedynym szaleńcem w Rosji” i świat ma problem z całym społeczeństwem, któremu wyprano mózgi, które popiera wojnę, agresję i politykę swego przywódcy. Z ostatniego sondażu Centrum Levada wynika, że 75 proc. Rosjan uważa, że ich kraj idzie w dobrym kierunku, a wskaźniki poparcia dla Putina są najwyższe od wielu lat.

PUTIN PEWNY SIEBIE

W takich realiach zarówno kampanię wyborczą przed wyborami prezydenckimi, jak i wyniki głosowania trzeba traktować nie tylko w kategoriach teatru, lecz także jako szczególnego rodzaju plebiscyt, w którym Rosjanie nie mają możliwości decydowania o tym, kto będzie nimi rządził do 2030 r., ale ich zdanie na temat pożądanej polityki jest uważnie słuchane przez władze. W takim rozumieniu wyniki głosowania trzeba uznać za wyraz poparcia dla zapowiedzianych przez Putina działań, polityki, która będzie kształtować oblicze Rosji przez najbliższe sześć lat. Pytanie tylko, jaka to będzie polityka. Z pewnością kontynuowania wojny aż do rosyjskiego zwycięstwa.

Tatiana Stanowaja, uważna obserwatorka publicznych wystąpień Putina, opisując jego przemówienie przed Radą Federacji z końca lutego, napisała, że było ono czymś w rodzaju programu prezydenckiego, którego w br. Władimir Władimirowicz nie ogłosił. Oceniała ona również, porównując zeszłoroczne wystąpienie z tegorocznym, że zauwa-

żalna była zmiana tonu. O ile przed rokiem Putin mówił, że Rosja znajduje się w geostrategicznym punkcie przełomowym i zdradzał objawy niepewności co do tego, jak potoczą się wydarzenia, o tyle w br. był znacznie pewniejszy siebie i tego, że wojna będzie zwycięska.

Kreml uważa, że czas pracuje na jego korzyść i mając większą determinację niż wspierający Ukrainę Zachód, Rosja ostatecznie wygra wojnę. Zaczynają zresztą procentować działania zapowiedziane jeszcze w grudniu ub.r. na posiedzeniu poszerzonego kierownictwa rosyjskiego resortu obrony. Sojgu zapowiedział wówczas, że w br. powstanie dziewięć nowych ośrodków szkoleniowych mających przygotowywać rekrutów. Rosja nie zrezygnuje ze swojej taktyki falowych ataków na ukraińskie linie obrony, co oznacza gigantyczne straty, które społeczeństwo musi akceptować, i to robi, na co wskazuje niewielka skala antywojennych protestów. Chce tylko szybciej i w większej liczbie być zdolna do rozbudowy swego potencjału ludzkiego na froncie. Już działają dwa nowe centra szkoleniowe, pozostałe siedem mają być gotowe do końca roku. W efekcie, o ile w ub.r. Rosjanie byli w stanie miesięcznie szkolić ok. 25 tys. żołnierzy, co wystarczało na pokrycie strat, o tyle w br. sytuacja zaczęła się zmieniać. Jak szacują eksperci wojskowi, rosyjskie możliwości szkolenia rekrutów wzrosną do 37–45 tys. żołnierzy, a w przyszłym roku będzie to już 70–80 tys. średnio w każdym miesiącu. A to oznacza, że zdolności Rosjan ulegną zwiększeniu. Oprócz przewagi ogniowej, a rosyjski system rozpoznawczo-ogniowy też został zmieniony i działa coraz lepiej, czego potwierdzeniem są rosnące straty ukraińskie w zakresie sprzętu (w ostatnim czasie pojawiły się doniesienia na temat zniszczenia patriotów czy śmigłowców bojowych), zacznie rosnąć również przewaga w ludziach. Tym bardziej że mając „silny mandat” społecznego poparcia, Putin może się zdecydować, przed czym ostrzegają eksperci wojskowi, na ogłoszenie kolejnej fali mobilizacji. W związku z trendami rysującymi się na ukraińskim froncie na Kremlu zaczynają już myśleć o postawieniu Ukrainie twardszych żądań.

SCENARIUSZE KREŚLONE NA KREMLU

W powyborczy wieczór Putin, występujący na konferencji prasowej, zaczął formułować nowe cele wojny. Zaznaczył, że w związku z ukraińskimi atakami „trzeba będzie utworzyć strefy buforowe” o takich rozmiarach, aby uniemożliwiały one atakowanie Rosji. Później rzecznik Kremla Pieskow uzupełniał, że prezydent miał na myśli podjęcie „takich kroków, które uniemożliwią atakowanie Rosji przy użyciu dronów”. W tym przypadku mamy do czynienia zarówno z powrotem Kremla do pomysłu, obecnego w rosyjskiej narracji na początku wojny, o tworzeniu „stref sanitarnych”, w których nie mogłyby stacjonować siły zbrojne, jak i – o czym świadczą słowa rzecznika Kremla – do podjęcia na powrót idei demilitaryzacji Ukrainy, pozbawienia jej pewnych rodzajów broni. Inaczej nie da się uniknąć ataku przy użyciu dronów mających kilkuset-kilometrowy zasięg.

Niektórzy doradcy Kremla w rodzaju Karaganowa idą jeszcze dalej i są zdania, że po zwycięskiej wojnie Rosja będzie musiała utworzyć na Ukrainie swoje bazy wojskowe niezbędne po to, aby pilnować warunków pokoju i nie dopuścić do odbudowy sił zbrojnych podporządkowanych władzy w Kijowie.

Nie można wykluczyć, przed czym przestrzegał niedawno szef rumuńskiego sztabu generalnego, że Moskwa będzie miała ochotę sięgnąć do Nadniednistrza, odcinając Ukrainę od Morza Czarnego. Rosnące napięcie w tej nieuznawanej przez świat separatystycznej republice może wskazywać, że jesienią, kiedy w Mołdawii będą miały miejsce wybory prezydenckie, wydarzenia przyspieszą. Za takim scenariuszem przemawia też niedawne spotkanie w Soczi Jewgieniji Gucuł, która stoi na czele autonomicznej i bardzo prorosyjskiej administracji mołdawskiej Gagauzji, z Władimirem Putinem. Kreml już rozpoczął kampanię zastraszania Kiszyniowa, czego świadectwem jest niedawne wystąpienie ministra Ławrowa, mówiącego, że Mołdawia, prześladowując, jego zdaniem,

rosyjską mniejszość (mieszkańcy Nadniednistrza mogą też uzyskać rosyjskie paszporty), „wstępuje na drogę”, która doprowadziła Kijów do tragedii. Niedawno Dmitrij Miedwiediew publicznie pokazał mapę, na której Nadniednistrze wraz z ukraińskim wybrzeżem Morza Czarnego stanowi część Rosji.

Ale to niejedyna opcja, którą w nadchodzących miesiącach może wykorzystać Rosja. Amerykański wywiad w swym corocznym raporcie informuje, że destabilizuje się sytuacja w Kosowie, które może paść ofiarą wojskowej agresji Serbii, a gen. Gheorghită Vlad, kierujący rumuńskim sztabem generalnym, do listy zagrożeń dodaje niepewną sytuację w Bośni i Hercegowinie, gdzie dużą siłą są prorosyjscy Serbowie pod

„Putin nie jest jedynym szaleńcem w Rosji” – napisał na łamach „The Telegraph” Dave Seminara. I wyjaśnił, że świat ma problem z całym rosyjskim społeczeństwem, któremu wyprano mózgi

wodzą Milorada Dodika. W opinii rumuńskiego wojskowego, a Bukareszt zaczął właśnie budować bazę wojskową nieopodal granicy z Mołdawią, Moskwa może podjąć próbę destabilizacji sytuacji na całych Bałkanach, wykorzystując i wzmacniając tłące się kryzysy.

Co jeszcze w swojej strategii chce wykorzystać Kreml? Pod koniec lutego brytyjski „The Telegraph” alarmował, że Rosja stara się przechwycić kontrolę nad szlakami migracyjnymi w Afryce. Przed takim scenariuszem przestrzega też w ostatnim raporcie Frontex, unijna instytucja nadzorująca bezpieczeństwo na zewnętrznych granicach Wspólnoty. W opinii ekspertów Moskale mogą chcieć wywołać kolejny kryzys migracyjny, który może się zbiec z wyborami do europarlamentu. W tym przypadku

nie chodzi o zwycięstwo radykalnych i uznawanych za prorosyjskie sił w rodzaju niemieckiej AfD, lecz o destabilizację sytuacji, co może opóźnić podjęcie w wielu krajach UE niezbędnych decyzji w kwestii zwiększenia pomocy wojskowej dla Ukrainy i dozbrojenia własnych armii.

Zresztą Rosja nie rezygnuje, o czym wielokrotnie publicznie mówił Putin, z dążenia do „wymiany elit” w państwach Zachodu. W jego opinii do władzy muszą dojść nowe siły polityczne, które łatwiej zaakceptują Rosję w roli regionalnego mocarstwa i będą mniej skłonne w swej polityce orientować się na Stany Zjednoczone. To zapowiada nasilenie walki propagandowej i otwarcie przez Rosję, do czego zresztą otwarcie wzywają Karaganow i Dugin, „frontu ideologicznego” jako kolejnego pola starcia z Zachodem.

Wywiady państw zachodnich przestrzegają też przed możliwością nasilania przez Rosję szantażu nuklearnego, czemu sprzyja wychodzenie Moskwy z kolejnych porozumień rozbrojeniowych. Trzeba pamiętać, że wykorzystując posiadane, ale nieaktywne głowice, które Rosjanie mają w magazynach, Kreml jest w stanie szybko podwoić swój potencjał w zakresie sił taktycznych zdolnych do rażenia celów w Europie.

Wszystko, zarówno zwycięstwo na Ukrainie, jak i przestawienie gospodarki na potrzeby wojny oraz militaryzacja społeczeństwa, ma służyć jednemu celowi. Wojnie. Ale nie tej, która trwa, lecz przyszłej, bo, jak zauważyli szefowie estońskiego wywiadu przebywający w minionym tygodniu w Waszyngtonie, „Rosja już się przygotowuje” do kolejnego konfliktu. Nie oznacza to, że do niego dąży, ale robi wszystko, aby w zaostrej sytuacji móc negocjować z pozycji siły.

Pokazanie jedności społeczeństwa skupionego wokół Putina i gotowego do wyrzeczeń, aby wygrać wojnę, a temu służyły ostatnie wybory, jest jednym z narzędzi prowadzących do realizacji rosyjskiego wielkiego planu – odtworzenia w nowym kształcie sytuacji geostrategicznej sprzed 1989 r.

Nauka w służbie ekspertozy



DARIUSZ MATUSZAK

Sojusz polityki z nauką pozbarwia tę ostatnią najważniejszych imperatywów, a naukowców zmienia w rasę ekspertów i poszukiwaczy nowinek w służbie postępu

Trzeba słuchać naukowców” – to jedna z tych mądrości, które w czasach postępującego jak pandemia klimatyzmu stała się credo polityków, ekspertów od tego i owego czy dziennikarzy, którzy uważają, że niosą ciemniakom oświecenie. Infantylnie to i głupie, jak złote myśli Paula Coelho w rodzaju: „Kiedy czegoś gorąco pragniesz, to cały wszechświat potajemnie sprzyja twemu pragnieniu”. „Trzeba słuchać naukowców” – a konkretnie, to których? Może jakieś nazwiska? Czy prof. Neila Fergusona z Imperial College of London, którego posłuchał brytyjski rząd i zaprowadził jeden z najbardziej restrykcyjnych reżimów covidowych na świecie, czy dr. Andersa Tegnella, którego z kolei posłuchali Szwedzi i praktycznie nie wprowadzili niemal żadnych ograniczeń?

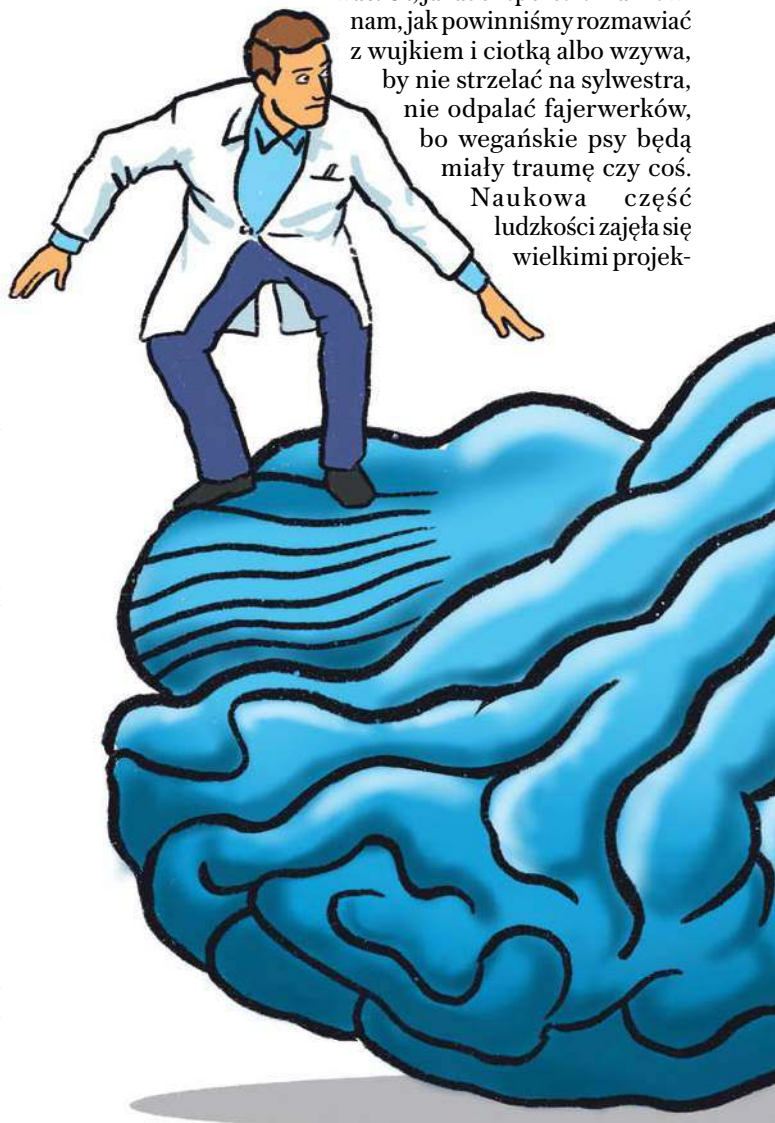
Przywołuję te przykłady, bo pandemia i związane z nią spory minęły, więc można spojrzeć na sprawę z dystansu i zilustrować tezę, którą stawiamy: nauka trafiła na czołówki gazet, stała się budzącą namiętności dziedziną życia, a jednocześnie uległa gigantycznej inflacji – tak spowszedniała, że straciła swą wartość. Pandemia i panujący teraz klimatyzm w przyspieszonym tempie przyczyniły się do zniszczenia imperatywów naukowych, jak sceptycyzm, uniwersalizm, bezinteresowność, uczyniły z naukowców polityków i potwierdziły istnienie „rasy” ekspertów. John Ioannidis, profesor nauk biomedycznych i statystyki z Uniwersytetu Stanforda, pisał tak: „Media społecznościowe i mainstreamowe pomogły w stworzeniu nowej rasy ekspertów. Każdy, kto nie był epidemiologiem lub specjalistą ds. polityki zdrowotnej, mógł nagle zostać za nich uznany przez dziennikarzy, którzy niewiele wiedzieli o tych dziedzinach, ale od razu wiedzieli, które opinie są prawdziwe. A niektórzy z najlepszych epidemiologów i specjalistów... byli oczerniani jako niebezpieczni ignoranci przez ludzi, którzy uważali się za zdolnych do doraźnego rozstrzygnięcia opinii naukowych bez zrozumienia metodologii lub danych”. Według WHO w 2020 r. ukazało się 330 tys. publikacji na temat koronawirusa uznanych za naukowe. Pisali nawet specjaliści od motoryzacji.

Jak nigdy dotąd świat stał się ofiarą niby-naukowych malign czy ekspertozy, która dotyczy także obszarów niedających się skwantyfikować czy eksperymentalnie potwierdzić, jak polityka, a nawet rzeczy banalne, które do tej pory były łatwo przyswajalne, niewymagające nadzwyczajnej wiedzy

i nieobciążone traumami i psychozami, o których tak lubią opowiadać w telewizorze panie psycholog zwane psychołóżkami. To też szczególna rasa, która się bardzo rozplenila, powołana do tego, by mówić nam, jak mamy się sprawać w nawet najbardziej zwyczajnych okolicznościach. Wytlumacz np., dlaczego świąteczne spotkanie z rodziną będzie dramatycznym przeżyciem, do którego należy się przygotować. Ot, jakaś ekspertolożka mówi

nam, jak powinniśmy rozmawiać z wujkiem i ciotką albo wzywa, by nie strzelać na sylwestra, nie odpalać fajerwerków, bo wegańskie psy będą miały traumę czy coś.

Naukowa część ludzkości zajęła się wielkimi projek-



tami geoinżynierii, więc może uda się zlikwidować burze, czy zakazać ich – zwłaszcza tych z piorunami – i wszystkie wrażliwe psy oraz koty nie będą musiały się kryć po szafach.

EKSPERCI KONTRA PASTUCHY W SANDAŁACH

Wracamy do polityki, by skonstatować, że każda wielka porażka Zachodu w XXI w. nosi w sobie ekspercki ślad. Klęski nie brały się z nieprzemyślanych, porywczych ruchów. Były efektem systematycznych działań, niby podpartych jakąś wiedzą i głęboką analizą.

Eksperci nie mieli bladego pojęcia, gdy twierdzili, że w Iraku jest broń masowego rażenia, ale wsparli inwazję. Potem za Obamy stali za porzuceniem regionu, przez co powstała pustka, w którą wszedł ISIS. Podobnie w Afganistanie. Ameryka oniemiała, że 75 tys. „pastuchów w sandałach”, jak pogardliwie określano Talibów, tak szybko opanowało kraj, zmuszając do ucieczki wojsko najpotężniejszego państwa świata.

Jeszcze w lipcu 2021 r., kiedy pojawiały się doniesienia o kolejnych prowincjach, które zajmują Talibowie, sekretarz stanu Antony Blinken uspokajał, że „Kabul nie upadnie z piątku na poniedziałek”. Słowa te przeszły do historii USA, a Kabul padł z piątku na niedzielę.



Za tę katastrofę odpowiadają prezydent Biden, a także oczy i uszy Ameryki – agencje wywiadu. Palec kierowany jest też na ekspertów, którzy obsiedli Waszyngton i organizacje międzynarodowe. Te ostatecznie osiągnęły niepodrabialny już poziom infantylności. Gdy Talibowie zdobywali Kabul, Rada Bezpieczeństwa ONZ wzywała ich do ustanowienia „inkluzywnego rządu z pełnym i równym udziałem kobiet i wszelkich mniejszości”. Ten groteskowy apel w jednym był pożyteczny – pokazał poziom oderwania ekspertów Zachodu od rzeczywistości. Kompromitująca ucieczka z Kabulu nie była żadnym wypadkiem przy pracy, tylko z zwieńczeniem 20 lat błędnych decyzji, które rekomendowali eksperci. Przez dwie dekady żyrowano wydawanie 300 mln dol. dziennie na budowę wielkiego projektu inżynierii społecznej – demokratycznego na wzór zachodni Afganistanu. Jasno oświeceni nie rozumieli nieustępliwości tamtejszych plemion, siły przywiązania do obyczajów i religii. Licząc ponad 2 tys. lat kulturę miały przeorać pieniądze, akademickie katedry gender, parytety płciowe także w armii i policji, pobudzenie klimatyczne, LGBT i podobne wynalazki Zachodu. Wszystko jak krew w piach.

Wesley J. Smith, prawnik, pisarz i jeden z ekspertów think tanku Discovery Institute, pisał, iż Afganistan „dobitnie obnażył głupotę amerykańskiej polityki zagranicznej i ekspertów ds. bezpieczeństwa”. Coraz mniej komentatorów ma wątpliwości, kto stoi za porażkami Stanów Zjednoczonych w ciągu ostatnich sześciu dekad – eksperci. Jeśli coś się udało, to wbrew nim. Wbrew ekspertom i nagonce mediów zainicjowanej przez „Washington Post” Ronald Reagan rozwijał program Gwiezdnych Wojen – Strategic Defence Initiative, który pomógł gospodarczo złamać Związek Radziecki i przyczynił się do upadku bloku sowieckiego.

Dlaczego teraz, gdy trwa wojna na Ukrainie, przywołaliśmy Afganistan? Bo do dziś ma swoje wielkie, geopolityczne konsekwencje. Pokaz słabości Ameryki być może przesądził o tym, że Putin ostatecznie zdecydował się rozpętać wojnę. Ilustruje też patologie Zachodu – inżynierię społeczną, ideologię LGBT, klimatyzm czy równościowe wzmocnienie. Sama wojna na Ukrainie też przebiega wbrew opiniom ekspertów. Moskale mieli załatwić sprawę w tydzień i tak uważali również Niemcy, którzy finansowali ich zbrojenia. To dlatego pierwsze propozycje dla prezydenta Zelenskigo dotyczyły ewakuacji, a nie broni. Szef niemieckiego wywiadu Bruno Kahl był tak zaskoczony wybuchem wojny, że ten zastał go na Ukrainie, więc trzeba go było w filmowy sposób wywieźć, co zrobiła specjalna jednostka BND.

KOGO SŁUCHAĆ, JAK NAM SIĘ PLANETA ZAGOTUJE?

Przejdźmy do tego, co jest crème de la crème, truskawką na torcie, jak powiedziałaby Tomasz Hajto. Jak MOAB jest matką wszystkich bomb, tak klimatyzm jest naukową i ekspercką brednią wszystkich bredni. To przy okazji wieszczona zagłady planety i naszej śmierci w męczarniach ciągle słyszymy wezwanie: „Trzeba słuchać naukowców”. Czy więc możemy słuchać noblistów z fizyki, którzy twierdzą, że opowieści

o globalnym ociepleniu, niebezpiecznych zmianach klimatu wywołanych przez człowieka to manipulacje, twierdzenia pozbawione dowodów i naukowego sensu, propagandowy belkot? A może powinniśmy słuchać tych, którzy przed pięcioma dekadami wieszczili, że w 1992 r. ropa się skończy, będzie globalne ochłodzenie – to im akurat przeszło – a potem, że w 2010 r. ocean pochłonie Malediwy i Bangladesz? Wyglądamy przez okno, jak radzi prezydent Trzaskowski. On wyjrzał i zobaczył, że mu się planeta zapaliła, my widzimy, że Bangladesz i Malediwy jak były, tak są i nie chcą zniknąć, zupełnie jak białe niedźwiedzie.

By być w zgodzie z nauką, taką jak ją rozumieją, jasno oświeceni (np. Trzaskowski), nie powinniśmy słuchać laureata Nobla z fizyki z 2022 r. Johna Clausera, który z 1,1 tys. naukowcami podpisał Światową Deklarację Klimatyczną, iż zagrożenie zmianami klimatu to bzdura. Podobnie zresztą, jak laureat Nobla także z fizyki Ivar Giaever. Międzynarodowy Fundusz Walutowy nie słucha noblisty Clausera i odwołał umówione wystąpienia fizyka po tym, jak ten na wykładzie dla młodych naukowców w Korei powiedział im, by wierzyli obserwacjom, a nie niechlujnym, przesiąkniętym pseudonauką spekulacjom. By odróżniali prawdę od promowanego sposobu jej postrzegania. Pamiętali, że prawda jest niepoprawna politycznie i nie odzwierciedla celów politycznych, biznesowych ani pragnień przywódców.

Clauser stwierdził, że jednym z największych współczesnych siewców pseudonaukowych bzdur jest powołany przy ONZ Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu (IPCC). To jego członkowie w głosowaniu ustalili, jaka ma być tzw. średnia temp na świecie w 2089 r.

Jakoś 1,5 st. Celsjusza więcej niż w 1850 r. Niektórzy chcieli 2,3, inni 0,8, ale kompromisowo stanęło na 1,5. IPCC też ma Nobla – pokojowego, razem z najslynniejszym klimatystą świata Alem Gorem. Ostatnio szef IPCC James Skea musiał utemperować samego sekretarza generalnego ONZ António Guterresa, który obwieścił, że mu się planeta gotuje. Brytyczyk przekazał, że nie ma sensu ciągle straszenie ludzi, bo to ich paraliżuje. Racja. Gdy wszyscy uwierzą, że jak Trzaskowskiemu planeta im się zapaliła czy zagotowała, że niechybnie umrą w męczarniach, to nie będą Ziemi ratować, tylko część w ostatnie dni życia pogrzeży się w modłach, a część odda uciechom, jak to opisywał w XIV w. Giovanni Boccaccio w „Dekameronie”, gdy we Włoszech szalała czarna śmierć, czyli dżuma.

Pewnie nie należy też słuchać fizyka, noblisty z 1998 r. Roberta B. Laughlina, który mówi, że klimat jest poza naszą kontrolą i nie słucha rządów ani dyrektyw. Laughlin obrazoburczo twierdzi, że zmiany klimatu dokonują się same i Ziemia nie potrzebuje na nie niczyjej zgody. Jest jeszcze laureat Nobla z 1997 r. Steven Chu, który był nawet sekretarzem ds. energii u Obamy, a klimatyczne szaleństwo krytykuje.

Wiem – powinniśmy słuchać naukowców z Centrum Ratowania Klimatu Uniwersytetu Cambridge, którzy zajmują się spowalnianiem globalnego ocieplenia i ratowaniem Arktyki. Kiedy piszę ten tekst, to właśnie trwa wielkie dzieło pokrywania jej lodem. Dzień i noc pompą wydobywają spod niego morską wodę i zalewają powierzchnię, by zamarzła, stała się grubsza, dłużej odbijała światło i przetrwała lato. Bo jak się lód Arktyki roztopi, to wiadomo: nas i białe niedźwiedzie czeka śmierć w męczarniach. Póki co nie wiedzą, jaki będzie efekt, bo lód na powierzchni pochodzi z opadów, czyli słodkiej wody, a oni pompują słoną. Słony lód, który pokrywa słodki, szybciej się topi, więc może być odwrotnie, niż chcą, jak się im zmiesza słone ze słodkim. Na wszelki wypadek wszystko policzyli. Otóż by zagęścić pokrywę lodową jednej dziesiątej Arktyki, potrzeba 10 mln pomp na wiatr, których teraz używają.

Tak to sojusz polityki i nauki oraz wszechogarniający postęp sprawiły, że ta ostanía cieszy się coraz mniejszą estymą i trzeba tysięcy zakłęb w mediach: nauka, naukowcy, odkry-

cia, by ktokolwiek wierzył. Owszem, jest jeszcze prawdziwa nauka, skryta przed światem gdzieś w niszach. Tak jak gdzieś jest jeszcze kultura. To, co nas otacza, to ich wulgarne formy – popkultura i popnauka.

Noblista Richard Feynman, uznawany za jednego z dziesięciu fizyków wszech czasów, już w latach 60. ub.w. wieścił upadek rzetelnej nauki. Ubolewał, że teraz (50 lat temu) z taką łatwością przychodzi mówienie o wielkich odkryciach, po to, by za kilka lat zastąpić je kolejnymi, za każdym razem odrzucając poprzednie, podczas gdy wcześniej z wielką

pokorą podchodzono do odkryć i nieraz dziesiątki lat spędzano nad jakąś hipotezą, zanim ktoś odważył się cokolwiek obwieścić.

Mam swoją teorię: największym wrogiem nauki jest postęp. Ten całkowicie anachroniczny, XVIII-wieczny koncept ją niszczy. Prawdziwa nauka jest bowiem konserwatywna. Dlatego od 2,5 tys. lat nie zmieniły się twierdzenia np. Euklidesa i w jego geometrii po wsze czasy suma kątów w trójkącie wynosić będzie 180 st., a proste równoległe się nie przetną. Na fundamentach kładziono kolejne warstwy. Postęp zaś jest bezkrytyczny, karmi się nowinkarstwem i burzy to, co było wcześniej. Największe szkody są na styku nauk prawdziwych i owych społecznych, za pomocą których dziś rządzi się światem. Tam lęgną się potwoki, np. pleć społeczna, które już straszą biologów, czy nowe jednostki chorobowe, jak ekolek. Kiedy politycy czy media mówią o nauce, to wiadomo, że nie o nią chodzi, tylko o jej miazmaty i wulgarne formy – *scientia vulgaris*, które służą spełnianiu szybkich potrzeb. Nauka jest im potrzebna tylko do kreowania się na lepszych i mądrzejszych oraz władania stadem.

„Trzeba słuchać naukowców”.
Czy możemy więc słuchać noblistów z fizyki, którzy twierdzą, że opowieści o niebezpiecznych zmianach klimatu wywołanych przez człowieka to manipulacje?



Na Wielkanoc

SIECI

*Niezwykła historia
największego religijnego obrazu
na świecie*

Dlaczego Baranek?

Francuz zakochany w Polsce

*Co o Lewandowskich
mówią w Hiszpanii*

Sekrety domu gejsz

*Słodkie mazurki
na koniec postu*

Zapomniana panorama

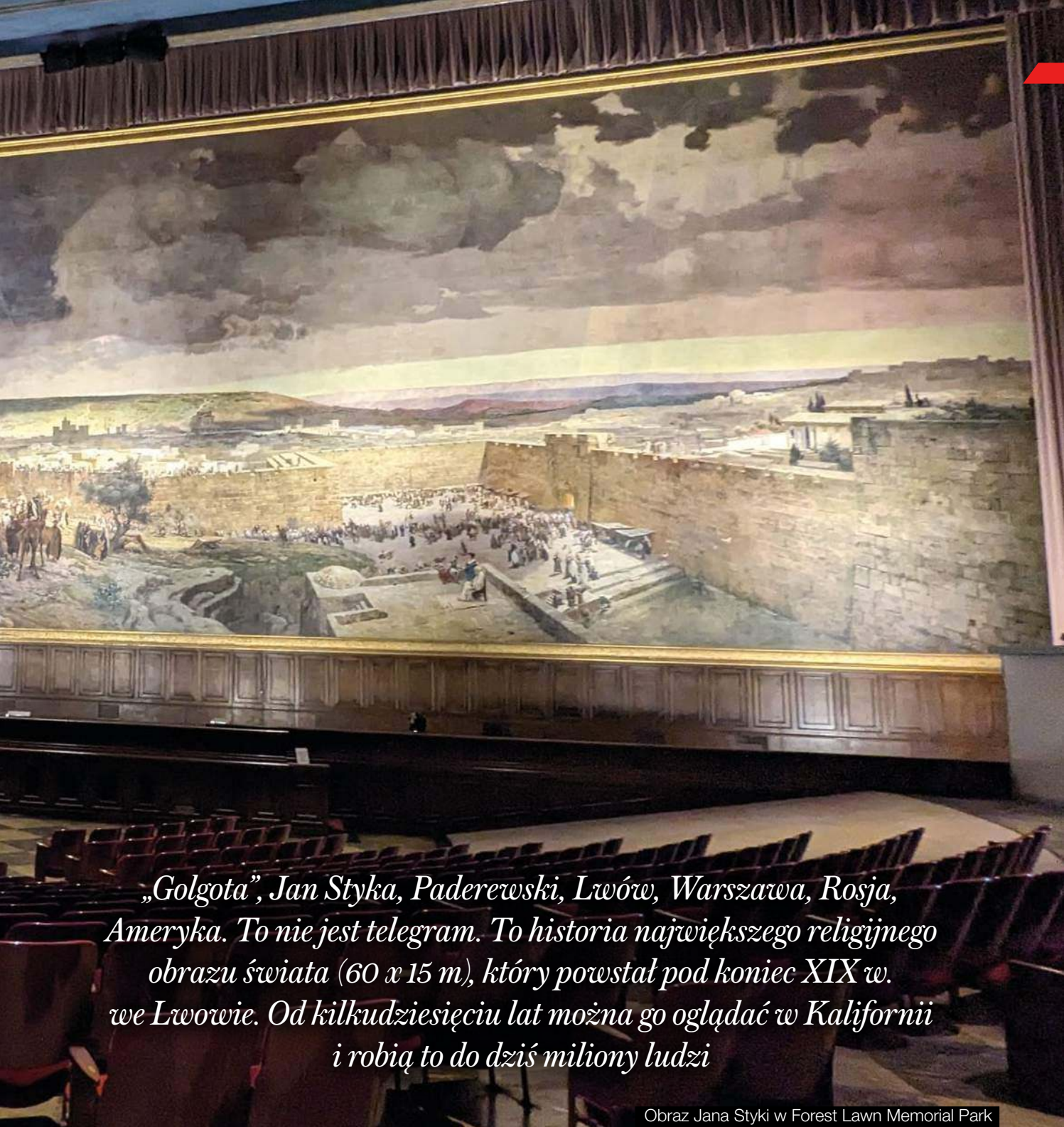


WOJCIECH LADA

Tego dnia Jan Styka miał zaledwie 38 lat, ale jako malarz osiągnął już właściwie wszystko. Tylko jedna wystawa jego prac w Paryżu przyniosła taki zysk, że artysta mógł sobie kupić wiejską posiadłość niedaleko francuskiej stolicy. A także odmówić przyjęcia profesury w krakowskiej Szkole Sztuk Pięk-

nych, oferowanej mu osobiście przez zachwyconego młodszym kolegą Jana Matejkę.

Najchętniej malował motywy religijne, co wynikało pewnie z jego osobistych zainteresowań, lecz miało również wymiar praktyczny – w tamtym czasie były to motywy najbardziej uniwersalne, chętnie oglądane w całej



„Golgota”, Jan Styka, Paderewski, Lwów, Warszawa, Rosja, Ameryka. To nie jest telegram. To historia największego religijnego obrazu świata (60 x 15 m), który powstał pod koniec XIX w. we Lwowie. Od kilkudziesięciu lat można go oglądać w Kalifornii i robią to do dziś miliony ludzi

Obraz Jana Styki w Forest Lawn Memorial Park

Europie. A Styka chciał być – i był – malarzem na skalę europejską. Tego dnia, a był to pierwszy dzień wiosny 1896 r., Styka przebywał we Lwowie i właśnie wchodził na rusztowanie, by rozpocząć swój kolejny projekt, również oparty na motywie biblijnym. Aby go stworzyć, przez trzy miesiące przebywał w Jerozolimie i okolicach; wrócił stamtąd

z naręczem szkiców krajobrazu i typów ludzkich, a także gotowym projektem całej kompozycji. Zresztą bardzo oryginalnym – pokazującym mękę Jezusa, ale bez podkreślania samego cierpienia, bez krwi i łez, bez okrucieństwa katów. Obraz miał przedstawiać przede wszystkim nadzieję, a właściwie całkowitą pewność zbawienia.

Początkowo miał on być panoramą, ale po podróży do Jerozolimy i ustaleniu koncepcji całości, Styka uznał, że lepsza będzie forma tzw. hemicyklu, czyli półpanoramy (formalnie ona też należy do gatunku panoram). Było to rozsądne także z praktycznego punktu widzenia. Nawet w tak okrojonej wersji powstała trzy miesiące później „Golgota”



Rotunda „Golgoty”, ul. Karowa w Warszawie

była największym obrazem religijnym na świecie. Wspaniałym i oryginalnym, ale i jednym z najbardziej pechowych.

PRODUCENCI ROTUND

Styka był nie tylko zdolnym malarzem, lecz także chyba jeszcze lepszym menedżerem. Wyczuwał gusta, rozumiał rynek. Wykształcony w kosmopolitycznym Wiedniu, kontynuujący naukę w Rzymie, doskonale zdawał sobie sprawę z najnowszych trendów w sztuce. Wiedział, że przestaje być ona czymś elitarnym, rozrywką arystokracji. Coraz więcej pieniędzy znajdowało się teraz w rękach bogatych przemysłowców, coraz zamożniejsza robiła się związana właśnie z przemysłem klasa średnia – niekoniecznie znająca się na sztuce, ale chcąca mieć z nią kontakt. Świat zmierzał w stronę demokracji i chcąc przetrwać, artyści musieli brać to pod uwagę. Popularność Mozarta wynikała nie z brawurowych wykonania jego dzieł w filharmoniach czy operach, ale z tego, że najpopularniejsze motywy z nich grano w kawiarniach Wiednia czy Paryża, a nucili je pod nosem już wszy-

scy – bez względu na pochodzenie i stan portfela. I z tego właśnie powodu przez cały XIX w. jednym z najpopularniejszych sposobów prezentacji malarstwa stały się, dziś nieco już zapomniane, panoramy.

„Panorama jest najświeższym wytworem sztuki malarskiej, zrodziły ją nowoczesne prądy demokratyczne. Tłum, nie w poniżającym, ale w jak najszerszym znaczeniu tego wyrazu, nigdy nie wstępował w progi galerii artystycznych. Znajdujące się tam arcydzieła nie przemawiały do jego ducha, nie umiającego się orientować w drobnych, misternie dobranych efektach. Dla niego potrzeba było wielkiej przestrzeni, efektów grubych, wyraziście rzucających się w oczy, przemawiających jasno, dobitnie. Panorama czyni zadość tym wymaganiom. Nie znaczy to wcale, ażeby ten rodzaj sztuki malarskiej miał być niższym od innych. Bynajmniej, jest to rodzaj odrębny” – pisano w magazynie „Wędrowiec” pod koniec 1897 r.

Bo panorama zawsze była czymś więcej niż obrazem. Była spektaklem, widowiskiem wypełniającym przestrzeń między malarstwem i teatrem.

Prezentowane w specjalnie wybudowanych rotundach, były obliczone na efekt. Podpięty pod sufitem „parasol” jednocześnie zacierał kontury obrazu i specyficznym rozpraszał światło, dając wrażenie nieskończoności. Przestrzeń między tarasem widokowym a dziełem, tzw. przedpole, było rodzajem teatralnej scenografii, a ustawione tam rekwizyty: drzewa, drogi czy detale architektoniczne stanowiły kontynuację samego obrazu – niemal dosłownie wychodziły z niego. Ważne było nawet samo dojście na taras widokowy. „W ciemnym, krętym przejściu widz tracił orientację. W chwili wyjścia na platformę widokową nagle stawał w mocno oświetlonej, niezwykle realistycznej scenerii. Odbывał swoistą podróż w czasie i przestrzeni, stając się niejako uczestnikiem i obserwatorem przedstawionych zdarzeń” – opisywała Elżbieta Górecka, autorka książek o panoramach.

Widowisko robiło wrażenie i zawrotną karierę. Na pomysł wpadł jeszcze w latach 80. XVIII w. Irlandczyk, niejaki Robert Baker. Jego „Panorama Edynburga” oglądana ze wzgórza Calton Hill podobano się tak bardzo, że z bankruta odsiadującego

kary więzienia za długi artysta stał się nagle człowiekiem bardzo zamożnym, wraz z synami stworzył prawdziwą fabrykę panoram i jako pierwszy zlecił budowę odpowiedniej rotundy w Londynie. Nawiasem mówiąc, on również był autorem samej nazwy, utworzonej od greckich słów: pan – cały i horama – widok.

Później sprawy potoczyły się już błyskawicznie, o czym najwięcej może mówić liczba specjalnie wybudowanych rotund. W Paryżu było ich osiem, w Berlinie sześć, w Monachium trzy, zaś we Frankfurcie, Hamburgu, Warszawie i wielu innych dużych miastach – co najmniej dwie.

Koszt stworzenia panoramicznego obrazu był tak wysoki, że plótka odbywały podróże nie tylko po całym kontynencie, lecz także czasem docierały do Ameryki – by choć po części pokryć wydatki. Było to zjawisko tak powszechne, że w którymś momencie ustalono nawet ich rozmiary, by mogły być prezentowane w dowolnej rotundzie świata. Z biegiem stulecia rozwinął się cały przemysł wspomagający urządzenie rotund i produkcję panoram. Dość wspomnieć, że u schyłku stulecia w Europie istniało ponad 30 dużych przedsiębiorstw specjalizujących się w takich właśnie produktach.

„W wiedeńskiej firmie Gridla robiono żelazne konstrukcje do rotund, w fabryce Mommena w Brukseli tkano grube płótno i wytwarzano farby, a specjalne ekipy montowały i gruntowały ogromne płótna. Inne przedsiębiorstwa zajmowały się zmianami ekspozycji, czyli rolowaniem prezentowanych już panoram, instalowaniem kolejnych malowideł i ich transportem z miasta do miasta. W Monachium, w dzielnicy Schwabing, belgijska spółka wybudowała kilka rotund-atelier, które były wynajmowane na czas malowania obrazów. Zazwyczaj po krótkiej prezentacji wędrowały one do swojego miejsca przeznaczenia lub odbywały swoiste tournée po miastach Europy” – wyliczała Górecka.

Z RACŁAWIC NA GOLGOTĘ

Być może właśnie koszty powstrzymały Stykę przed stworzeniem własnej

panoramy. Było to przedsięwzięcie praktycznie niemożliwe do zrealizowania bez odpowiedniego sponsora, a zazwyczaj nawet grupy sponsorów zakładających w takim celu spółkę. Możliwe również, że po prostu wciąż czuł, iż musi doskonalić swój warsztat. Kiedy po studiach w Wiedniu kontynuował naukę w Rzymie, musiał być już znanym artystą, skoro otrzymał osobiste zaproszenie od sędziego Jana Matejki. Przyjął je i przez pewien czas istotnie malował w jego pracowni, co znów było decyzją bardzo praktyczną.

„Stosunek, jaki mnie łączył z Matejką, był nieco odmienny od tego, w jakim zwykłe uczniowie Szkoły Krakowskiej z nim pozostawali. Już byłem malarzem, który ukończył Akademię i Meisters-

„Golgota” jest nie tylko największym obrazem o tematyce religijnej na świecie, lecz także prawdopodobnie najczęściej oglądanym obrazem namalowanym kiedykolwiek przez Polaka

chule wiedeńską, który miał Rzym za sobą i szereg płócien. Dlatego też Matejko nigdy mi zdania swego nie narzucał, ale raczej w koleżeński sposób dawał rady [...]. Przez czas mojego pobytu u Matejki nie miałem żadnej walki o byt. Matejko dawał mi stypendia, pożyczał kostiumy, makaty, gobeliny[...]” – wspominał później.

Dla niezamożnego dwudziestoparolatka były to idealne warunki i Styka przez pewien czas chętnie z nich korzystał. Kiedy jednak Matejko zaproponował mu profesurę, odmówił. „Nie chcę jeszcze uczyć drugich, bo sam się uczyć muszę” – odparł zaskoczonemu chyba nestorowi. I chyba nie była to pusta kokieteria. Istotnie, wkrótce opuścił pracownię mistrza i przez kolejne trzy lata doskonalił swój warsztat w Paryżu.

Już wtedy musiał myśleć o stworzeniu własnej panoramy, a nawet konkretnie – panoramy „Golgoty”. Kilka lat później, w 1888 r., zorganizowano wystawę jego prac po wspólnym tytule „Droga na Gólgotę”. W katalogu do niej pisał: „Jest tylko szkicem do wielkiego obrazu, który ma nam przedstawić ten wielki dramat religijny, tak często już przez malarzy różnych wieków malowany”. Elżbieta Górecka uważa, że pisząc te słowa, Styka miał na myśli właśnie panoramę.

Zanim jednak przystąpił do realizacji tego marzenia, nieoczekiwanie nadarzyła się okazja namalowania innej panoramy – jak się okaże, tej najsłynniejszej – Racławickiej. W 1892 r. Styka zaproponował jej stworzenie organizatorom Powszechnej Wystawy Krajowej. Podobno niektórzy zgłaszali wątpliwości, obawiano się, że ten wciąż młody, mający niewiele ponad 30 lat malarz, podda tak monumentalnemu zadaniu. Ostatecznie propozycję jednak zaakceptowano i praktycznie cały kolejny rok Styka spędził na podróżach po Europie, gdzie poznawał całą technologię tworzenia panoram. W tym czasie bardzo dokładnie zbadał także przebieg bitwy pod Racławicami, uważnie obejrzał również pole batalii.

Obawy, czy Styka poradzi sobie z tak wielką pracą, były raczej bezpodstawne. Panoramy w zasadzie nigdy nie były dziełem jednego artysty – tworzył je zazwyczaj zespół ludzi i nie inaczej miało być w tym przypadku. Na równych prawach do współpracy został zaproszony Wojciech Kossak – rówieśnik Styki, również doskonale znany już w Europie, świetny batalista. Podobno nie przepadali za sobą, o czym z uśmiechem pisał Tadeusz Boy-Żeleński: „Po wizycie jakiegoś arcyksięcia, gdy Styka zanadto wlaźł Kossakowi w szkodę, temperamentny Wojtek gonił go po rusztowaniach, chcąc go obić”. Oprócz Kossaka przy panoramie pracowało też kilku młodszych malarzy – warto wspomnieć choćby o cenionym później Władysławie Tetmajerze. Mimo sporów zespół najwyraźniej okazał się zgrany i sprawny, bo „Panorama Racławicka” powstała w ciągu zaledwie dziewięciu miesięcy. Zaprezentowano ją 5 czerwca 1894 r. we Lwowie.

Popularność dzieła była ogromna. Podobno szczególnie spodobała się też Węgrom, którzy organizowali do niej specjalne wycieczki. Dlatego właśnie dla nich Styka stworzył kolejną panoramę – „Bem w Siedmiogrodzie”. Ale dla niego sukces „Raclawic” oznaczał przede wszystkim otwarcie drogi do „Golgoty”.

INWESTYCJA PADEREWSKIEGO

O tym, że Styka myślał o „Golgotie” już znacznie wcześniej, świadczy wspomniana już wystawa sprzed sześciu lat oraz to, że prace nad kolejną panoramą zaledwie pół roku po premierze „Raclawic” były już bardzo zaawansowane. Donosił o tym „Tygodnik Ilustrowany” ze stycznia 1895 r., a dziennikarz, który odwiedził malarza w jego lwowskiej pracowni, zdradzał nawet drobne szczegóły całej koncepcji. Choćby oryginalny wątek, że obraz będzie przedstawiać Chrystusa nie jak zazwyczaj w agonii lub już po śmierci, lecz w oczekiwaniu na nią, zasluchanego w wyrok odczytywany przez pretora. Mało tego, dwa miesiące po wizycie dziennikarza malarz na własny koszt wyruszył do Jerozolimy, by po trzech miesiącach wrócić z gotową kompozycją całości.

Wszystko to wskazuje, że był zdecydowany stworzyć dzieło swojego życia, bez względu na koszty – bo w tym momencie nie miał jeszcze sponsora. Ten pojawił się dopiero we wrześniu, ale jego nazwisko natychmiast dodało całemu przedsięwzięciu splendoru. Był nim Ignacy Paderewski. „Styka przed rokiem powziąłszy zamiar »Golgoty«, zwierzył się ze swych planów przed Paderewskim. Mistrz tonów, po wysłuchaniu szkiecowo rzuconego planu, zapalił się do tego projektu i naglił Stykę, aby

przedsięwzięcia nie odwlekał. Tak – ale sama moja praca nie wystarczy – odparł – do zrealizowania zamiaru potrzeba kapitału, który nie tak prędko da się wyszukać. – Rozporządzaj moimi pieniędzmi – zawołał bez namysłu Paderewski. I słowa swojego nie cofnął” – rekonstruowali rozmowę dziennikarze „Czasu” już w październiku.

Pierwszym problemem było miejsce. Paderewski co prawda stworzył trzyosobową spółkę, która zobowiązała się wybudować odpowiednią rotundę przy ul. Karowej 18 w Warszawie, ale rotundy nie powstają natychmiast. Czekać więc na miejsce w Warszawie i nie chcąc tracić czasu, Styka załatwił wysłanie „Panoramy Raclawickiej” spragnionym jej Węgrom w Peszcie i w zwolnionym w ten sposób miejscu zaczął pracę nad „Golgotą” we Lwowie. Tym razem nie towarzyszył mu Kossak – on zresztą także zasmakował w panoramach i stworzył jeszcze cztery własne. Jednak nawet bez niego prace przebiegały błyskawicznie. W każdym razie obraz powstał szybciej niż jego warszawska rotunda – był gotowy 8 lipca 1896 r., a więc po niespełna trzech miesiącach intensywnej pracy. Przez kolejne trzy obejrzało go we Lwowie ok. 50 tys. ludzi.

Obraz podobał się również w Warszawie, gdzie ostatecznie trafił na początku następnego roku. Spółka doskonale wywiązała się z zadania. Budynek dla „Golgoty” był imponujący, zaś wnętrze urządzono tak, by widzowie odnosili wrażenie oglądania całej sceny z tarasu jakiejś jerozolimskiej willi. Recenzje były wspaniałe. Zwłaszcza historycy nie mogli się nachwalić Styki za idealne, ich zda-

niem, oddanie nieistniejącego już od dawna krajobrazu tamtych okolic tak, jak istotnie mógłby wyglądać w czasach biblijnych. Kłopot w tym, że koszt przedsięwzięcia okazał się zbyt wysoki, by pokryły go wpływy z biletów. Doszło do gwałtownego sporu malarza z inwestorami, sprawa zahaczyła nawet o sąd. Już w czerwcu 1898 r. „Golgota” zniknęła z budynku przy ul. Karowej, zaś rok później spółka go sprzedała.

Jeszcze przez 10 lat wystawiano w nim kolejne panoramy, m.in. „Berezyne” i „Bitwę pod piramidami” Kossaka, a nawet „Bema w Siedmiogrodzie” Styki. Zasadniczo jednak odbywały się tam rewie, czasem imprezy sportowe, działały teatry, a nawet kinematograf. Rotunda zakończyła swój krótki żywot podczas bombardowań w 1939 r.

Kiedy obracała się w grzy, niszczała również „Golgota”. Dzieło leżało wówczas bez żadnych zabezpieczeń w pewnym magazynie w Chicago. Niemal zupełnie zapomniane.

DRUGIE ŻYCIE W AMERYCE

I być może leżałaby tam do dziś, gdyby nie Hubert Eaton. Ten amerykański milioner miał pewną religijną obsesję – wierzył mianowicie tak głęboko, że uważał śmierć za wydarzenie bardzo radosne. Na wiecznie zielonych wzgórzach nieopodal Los Angeles stworzył Forest Lawn Memorial Park – w zasadzie cmentarz, ale „zupełnie niepodobny do naszych cmentarzy” – zauważa Górecka. Zamiast wszechobecnych nagrobków pełno tam rzeźb, świetnych architektonicznie budynków, zdobionych witrażami, a wszystko sprawia raczej wrażenie parku niż cmentarza. Eaton od dawna poszukiwał obrazu, który oddawałby jego podejście do śmierci, rozpytywał o taki również w Europie i o ile wiadomo zdawał sobie sprawę, że idealne dzieło dawno temu namalował Jan Styka. Rzecz w tym, że poza informacją, iż obraz znajduje się w Ameryce, nikt nie umiał mu powiedzieć nic więcej. Możliwe, że właściwe miejsce wskazał mu Wojciech Kossak, który przebywał w Kalifornii i mógł znać losy „Golgoty”, pewności jednak nie ma. Jakkolwiek było, po latach poszukiwań Eaton odnalazł wreszcie

Ignacy Jan Paderewski



Artysta malarz Jan Styka z żoną i córką na Capri. Obok siostrzeniec artysty Józef Chlebuse

„Golgotę”, wystawioną w 1943 r. na aukcji w chicagowskiej Opera House.

Jak się tam znalazła? Przez pierwsze lata po opuszczeniu rotundy przy ul. Karowej, „Golgota” z powodzeniem była prezentowana w Rosji. W 1904 r. Styka dał się namówić na wysłanie obrazu do Stanów Zjednoczonych na Wystawę Światową w St. Louis. Amerykański pośrednik, który miał nadzorować całe przedsięwzięcie, okazał się jednak oszustem, posługiwał się sfałszowanym dowodem ubezpieczenia i „Golgota” została zatrzymana w porcie w Nowym Jorku. Zaniepokojony losami obrazu Styka przyjechał do Nowego Jorku, udało mu się odzyskać dzieło, a nawet załatwić prezentację w Chicago. Nie na wiele się to jednak zdało. Wystawa znów nie przyniosła odpowiednich dochodów, organizująca ją spółka splajtowała, zaś „Golgota” została zajęta przez wierzycielkę na poczet długu. Styka powrócił więc do Europy, gdzie pracował na kolejnymi projektami, zakupił posiadłość na Capri i osiadł tam na starość – prawdopodobnie nie próbując odzyskać pechowego dzieła.

Kiedy umierał w 1925 r., „Golgota” najprawdopodobniej już od 20 lat leżała w chicagowskim magazynie i miała tam przeleżeć blisko dwie kolejne dekady.

Obraz powstał szybciej niż jego warszawska rotunda – był gotowy 8 lipca 1896 r., a więc po niespełna trzech miesiącach intensywnej pracy. Przez kolejne trzy obejrzało go we Lwowie ok. 50 tys. ludzi. Potem trafił do Warszawy, gdzie również bardzo się spodobał. Ale wkrótce pojawiły się kłopoty

Eaton dotarł do niej w 1944 r. i podobno kupił za bezcen, obraz był bowiem kompletnie zniszczony. W tym momencie zyskał jednak drugie życie. Renowacji podjął się syn artysty Adam Styka. „Myśleliśmy, że pozostaniemy w Los Angeles przez dwa tygodnie, ale po rozejrzeniu się, zorientował się Adaś, że praca jest ogromna i trwała prawie dwa miesiące [...] Adaś pracował prawie dziesięć godzin dziennie, w trudnych warunkach, na rusztowaniach na trzy piętra wysokich, nieraz na jednej desce po kilka godzin” – zapamiętała jego żona Wanda.

Poza tym oboje byli jednak pod dużym wrażeniem. Eaton wybudował dla „Golgoty” imponujący budynek za 2 mln dol. Po odnowieniu dzieła wspólnie zdecydowano, że będzie prezentowane nie w formie półokrągłej, lecz płaskiej, przed nim zaś ustawiono amfiteatralnie siedzenia dla 800 widzów. Uroczystość odsłonięcia odbyła się 23 marca 1951 r.

„Kiedy publiczność wchodzi do sali, obraz jest zasłonięty kurtyną. Światło gaśnie, rozlega się muzyka, punktowo oświetlane są główne postaci z malowidła, a z głośników dochodzi głos spikera, który opowiada o przedstawionym wydarzeniu. Potem światło gaśnie, by za chwilę w pełnym blasku ukazać ludziom cały obraz” – opowiadała Górecka.

SPEKTAKL DLA MILIONÓW

Niemal równo 100 lat po śmierci Jana Styki spektakl trwa dalej, a w dodatku w formie tak efektownej, jakiej nigdy nie miał za życia swojego twórcy. Nigdy też nie miał większej widowni. Od 1951 r. ogląda go rocznie ponad 1 mln osób. „Golgota” jest więc nie tylko największym obrazem religijnym na świecie, lecz także prawdopodobnie najczęściej oglądanym obrazem kiedykolwiek namalowanym przez Polaka.

Dlaczego Baranek?

Symbol baranka co roku jest obecny w naszych domach pośród innych znaków wielkanocnych. Warto przypomnieć, co kryje się za określeniem „Baranek Boży”



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jakie konsekwencje ma fakt, że Pan Jezus żył w kraju pasterskim? Chociażby takie, że co roku do koszyka, a później na wielkanocnym stole kładziemy baranka – z cukru, z czekolady lub chlebowego.

2 tys. lat temu pasterstwo było tak ważnym elementem życia ludów pustyni, że w naturalny sposób trafiło do Pisma Świętego, tworząc osobny typ obrazowania. To, co niezrozumiałe i trudne, tłumaczono poprzez analogie do prawideł życia stada. Żydzi składali swemu Bogu ofiary z baranków, co w precyzyjny sposób kodyfikował Stary Testament. Pasterstwo było punktem odniesienia dla wielu norm. Tym samym również my, za sprawą naszych judeochrześcijańskich korzeni, posługujemy się obrazowaniem, w którym figura baranka wciąż jest żywa. Pasterskie zwyczaje wprost z Pustyni Judzkiej wciąż nam towarzyszą, obecnie już tylko jako niematerialne elementy kultury. Motyw baranka to jednak coś więcej niż folklor. Stanowi teologiczną głębię i mistyczną parabolę przenoszącą w wymiar ofiary. Baranek – wielka koniunkcja pasterstwa i mistyki!

* * *

Baranek Boży to tytuł Jezusa Chrystusa. Tego określenia jako pierwszy użył Jan Chrzciciel: „Nazajutrz zobaczył Jezusa, nadchodzącego ku niemu, i rzekł: »Oto Baranek Boży, który gładzi



Nieprzypadkowo słowa „Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata” są przywoływane tuż przed Eucharystią. Moment, który wybrał Jan Chrzciciel, aby zdefiniować w tej krótkiej frazie istotę Kościoła Chrystusowego, był szczególny. Ów Kościół właśnie powstał. Pierwsze kontakty proroka z Jezusem miały miejsce w Betanii, nad brzegami Jordanu. Gdy po raz drugi zjawił się tam Syn Boży, Jan znów wypowiedział te ważne słowa „Oto Baranek Boży” (J 1, 36). Tym razem trafiły jednak na podatny grunt, usłyszeli je bowiem dwaj uczniowie Jana Chrzciciela. Ten tytuł i postać Mesjasza zrobiły na Andrzeju i młodym Janie takie wrażenie, że zostawili swojego dotychczasowego nauczyciela i udali się za Chrystusem. Słowa: „Oto Baranek Boży” zwerbowały ich.

Zupełnie oryginalny element dotyczący baranka znajdziemy w Księdze Wyjścia. W rozdz. 12 Bóg przemawia do ludu Izraela tymi słowami: „Dziesiątego dnia tego miesiąca niech się każdy postara o baranka dla rodziny, o baranka dla domu. Jeśliby zaś rodzina była za mała do spożycia baranka, to niech się postara o niego razem ze swym sąsiadem, który mieszka najbliżej jego domu, aby była odpowiednia liczba osób. Liczyć je zaś będziecie dla spożycia baranka według tego, co każdy może spożyć, Baranek będzie bez skazy, samiec, jednoroczny; wziąć możecie jagnię albo kozłą. Będziecie go strzec aż do 14 dnia tego miesiąca, a wtedy zabije go całe zgromadzenie Izraela o zmierzchu. I wezmą krew baranka, i pokropią nią odrzwia i progi domu, w którym będą go spożywać” (Wj 12, 3–7). Tak zostało ustanowione Święto Paschy. Mieszkańcy domów, których drzwi zostały skropione krwią baranka, zostali ocaleni od zabójczej plagi, którą Bóg ukarał Egipcjan.

* * *

Zaraz potem lud Izraela wyszedł z Egiptu i wkrótce przepłynął przez morze. Pascha oznacza przejście. Chodzi zapewne o słowa Boga: „Gdy ujrzę krew, przejdę obok i nie będzie pośród was plagi niszczycielskiej”. Oryginalnym motywem jest tu wyjątkowa moc krwi baranka. Jak starotestamentowe ofiary składane z tych zwierząt były antycypacją ofiary Chrystusa, tak krew baranka na drzwiach Izraelitów stała się zapowiedzią przelania krwi dla zbawienia świata.

Jest przynajmniej jeszcze jeden kontekst, w którym należy rozumieć „Baranka Bożego” – to stworzona w Nowym Testamencie parabola owczarni. Warto zwrócić uwagę na ciekawą sprawę. Pasterzom znad Jordanu, z Pustyni Judzkiej czy Negewu łatwiej było pojąć Jezusowe przesłanie miłości, tak zaskakujące i nowe dla ludów przywykłych do wiary w surowego Boga żądającego ofiary, gdy zostało wyjaśnione na bliskim im przykładzie. Posłużenie się w przypowieści obrazem owczarni, dobrego pasterza, owiec, złodzieja, wilka, bramy, pastwiska, najemnika, odźwiernego było dla nich tak naturalne jak samo życie. Dla nas natomiast sytuacja uległa odwróceniu: omówienia wymagają obce naszej kulturze elementy pasterskie, podczas gdy samo przesłanie dotyczące miłosiernej natury Boga jest zrozumiałe.

* * *

O tym, że obecność elementów pasterskich w naszej kulturze jest faktem, a jednocześnie nie do końca rozumiemy ich proveniencję, świadczy np. laska biskupia, zwana, nomen omen, pastorałem, czyli właśnie laską pasterską. O niej wspomina Psalm 23: „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja laska są tym, co mnie pociesza”.

Kto wie, że koczownicy z pustyni, pasący swoje stada, oprócz kija pasterskiego zrobionego z dębowego drewna, często nabijanego gwoździami i służącego do obrony, byli wyposażeni w laskę? Mierzyła ona nieco ponad 1,5 m i służyła do kierowania stadem. Na końcu była zakrzywiona. Właśnie do tego kształtu i takiej funkcji nawiązuje biskupi pastorał.

W Ewangelii św. Jana Jezus jest opisany jako Baranek Boży, a także jako Dobry Pasterz. W gruncie rzeczy jest to znakomita ilustracja bosko-ludzkiej natury Chrystusa. Miłość Boga Ojca widzimy poprzez poświęcenie Dobrego Pasterza w owczarni, a następnie Syn Boga Ojca zostaje wydany na śmierć jako Baranek.

* * *

Ofiara Jezusa przynosi jednak coś zupełnie nowego, rewolucyjnego w stosunku do starotestamentowej Paschy. Śmierć Jezusa daje światu nowe życie. Zabity Baranek Boży zmartwychwstaje, dając nam tym samym życie wieczne. Pascha to przejście przez śmierć do życia. Do wielkanocnych koszyków włożymy baranka. Będzie to zmartwychwstały Baranek, symbolizujący radość ze zwycięstwa życia nad śmiercią, radość z pokonania grzechu. Czerwona chorągiew u jego boku to właśnie znak zwycięstwa. Ten baranek to nie tylko symbol ofiary Jezusa, lecz także jego łagodności i posłuszeństwa.

Bóg stał się Barankiem, który nie tylko został złożony w ofierze, dzięki czemu my już nie musimy zabijać zwierząt dla Boga, lecz także dzięki tej ofierze zgładził grzechy świata. Zło zostało unicestwione przez ofiarę Baranka. W kościołach, na ołtarzach, sprawujemy tę nową, bezkrwawą ofiarę. Dzięki niej porzucamy swoją grzeszną naturę i zbliżamy się do Boga

* * *

Gdyby ktoś miał problemy ze zrozumieniem tej pięknej wizji, powstałej przed wiekami w kraju pasterskim, mającej na celu zilustrowanie prawdy o śmierci i Zmartwychwstaniu, albo gdyby czyjaś wiara osłabła, a w jej miejsce wkradły się wątpliwości, to znakomitą narzędziem rekolekcyjnym i wyjaśniającym jest fascynujące dzieło Jana van Eycka „Adoracja Mistycznego Baranka”. Jest to dużych rozmiarów ołtarz znajdujący się w katedrze w Gandawie (Belgia), stworzony w 1432 r. Połączono w nim

dwie wartości: znakomitość estetyczną i głębię teologiczną. Za pomocą najpiękniejszych narzędzi sztuki malarskiej van Eyck przedstawił hold składany przez ludzkość Barankowi Bożemu. W środku kompozycji, w głównym panelu mamy więc Baranka. Adorują go różne grupy ludzi. Lecz nie tylko ludzi. W górnych partiach ołtarza widzimy też zjawiskowo namalowane anioły, które oddają część Barankowi śpiewem. Wśród śmiertelników znajdują się prorocy, męczennicy, męczennice, papieże i biskupi, księża, poganie i Żydzi. Jeżeli doda się do tego mistrzowsko odwzorowane kwiaty, krzewy i drzewa, zachwycające zilustrowane tkaniny, klejnoty i różne tekstury, oddane tak fenomenal-

nie, jak tylko van Eyck potrafił namalować, otrzymamy jedno z doskonałych dzieł sztuki. Warto samemu zanurzyć się w niesamowitość tego dzieła, aby na nowo doświadczyć poznania Boga. Można przy tej okazji zwrócić uwagę na takie elementy jak fontanna – Bóg jako źródło życia wiecznego; krew wypływająca z Baranka – przypomnienie o Eucharystii i o zmyciu przez krew naszych grzechów; blask bijący od Baranka – nawiązanie do słów ewangelii: „W Nim było życie, a życie było światłością”; miasto w tle – to Nowe Jeruzalem, o którym św. Jan pisze w Apokalipsie, że nie będzie już tam świątyni, gdyż świątynią Nowego Jeruzalem jest sam „Pan Bóg wszechmogący oraz Baranek” (Ap. 21, 22).

Wielka metafora baranka składanego Bogu w ofierze, stworzona dla wyrażenia prawdy o męczeńskiej śmierci Chrystusa, stanowiła konsekwencję wejścia Boga w konkretny czas historyczny i miejsce. Bóg, który jest ponad czasem, a także ponad naszymi kategoriami przestrzeni, stał się człowiekiem w konkretnym momencie historycznym i w konkretnym rejonie geograficznym. Kraj, w którym przyszedł na świat, w którym nauczał i został zamęczony na śmierć, a także zmartwychwstał, jest krajem pasterskim. To kluczowe dla motywu baranka – motywu, który nieustannie powraca, zarówno w historii Jezusa, jak i w historii Zbawienia.

Moja i nie moja Warszawa

Czy mieszkańcy Gdańska, Poznania, Łodzi, Wrocławia są – biorąc choćby pod uwagę wyniki wyborów w tych miastach – mądrzejsi i bardziej roztropni od mieszkańców Warszawy? Nie sędzę. Zanim więc obrzucicie wyzwiskami Warszawę, rozejrzyjcie się wokół siebie. Ja się rozglądam i z dużym bólem patrzę na wielu współmieszkańców



KONRAD KOŁODZIEJSKI



Warszawa to miasto mityczne. Oczywiście nie w znaczeniu uludy, ale jako byt, wokół którego w ciągu dziesiątek lat nagromadziło się mnóstwo mitów i stereotypów. Niektóre z nich są bliskie prawdy, a inne zostały wysane z palca.

Można powiedzieć, że każdy – z mieszkańcami Warszawy włącznie

– tworzy swoje własne wyobrażenie stolicy, przy czym towarzyszący temu poziom emocji bywa niekiedy skoordynowany z korzeniami oceniającego. Ci, którzy z Warszawą nie mają nic wspólnego lub przybyli tu wyłącznie w celach zarobkowych, zwykle spoglądają na stolicę z niechęcią. Rzecz jasna zupełnie inaczej wygląda to u tych, którzy stąd pochodzą albo przenieśli się tu z włas-

nego wyboru. Generalnie jednak nie ma jednej Warszawy, jest ich bowiem tyle, ilu ludzi na stołecznych ulicach. A ci – w całkiem sporej liczbie – są nietutejsi. Bo Warszawa to dzisiaj konglomerat kultur i zachowań z każdego zakątka kraju. Jeśli więc mówić ogólnie o takim zjawisku jak Warszawa i jej mieszkańcy, to trzeba mieć w tyle głowy myśl, że tak naprawdę mówimy o całej Polsce.

POLSKA W PIGUŁCE

O Warszawie mówi się często, że jest liberalna, a jej mieszkańcy są bezrefleksyjnymi głupcami podążającymi za ideologicznymi modami. To jest w dużym stopniu prawda. Warto jednak pamiętać, że mówimy tu o części – prawdopodobnie sporej, ale jednak tylko części – mieszkańców miasta. I że Warszawa niczym się tutaj nie wyróżnia na tle innych metropolii. Czy bowiem mieszkańcy Gdańska, Poznania, Łodzi, Wrocławia, Szczecina są – biorąc choćby pod uwagę wyniki wyborów w tych miastach – mądrzejsi i bardziej roztropni od mieszkańców Warszawy? Nie sądzę. Zanim więc obrzucicie wyzyskami Warszawę, rozejrzyjcie się przedtem wokół siebie. Ja się rozglądam i z dużym bólem patrzę na wielu współmieszkańców.

Zgodnie z rozpowszechnionym w kraju stereotypem, powinienem być – jako warszawiak – wyznawcą Tuska, owiniętym tęczową flagą. Problem w tym, że nie jestem. I takich jak ja trochę się jeszcze w Warszawie uchowało – gdzieś jedna trzecia mieszkańców. A daje to ponad 500 tys. ludzi. Mało to czy dużo? Biorąc pod uwagę, że taki Wrocław ma łącznie nieco ponad 600 tys. mieszkańców, to chyba jednak całkiem sporo. Dlatego wyjątkowo krzywdzące jest wrzucanie wszystkich warszawiaków do jednego wora z antypisowską gawiedzią. Tym, których ciągle nie przekonałem, podpowiem w sekrecie, że Jarosław Kaczyński również jest warszawiakiem.

Prawdą jest natomiast, że w Warszawie – tak jak w większości metropolii – ton nadają fajnopolacy i wszelkiej maści postępowcy. Tyle, że – muszą mi tu państwo uwierzyć na słowo – spora część warszawskiej leminżerii wcale nie pochodzi z Warszawy. Wielu z nich to ludzie, którzy wiele lat temu przyjechali tu na studia i zaczęli robić karierę w korporacjach. Przyjeżdżali w przekonaniu, że skoro Warszawa to takie „nowoczesne” miasto, to oni – aby wtopić się w tłum – muszą być jeszcze bardziej „nowocześni” od miejscowych. „Nowoczesności” wymagała od nich także kultura korporacyjna w zagranicznych koncernach, gdzie podjęli pracę. A że tych obcych koncernów, banków,



kancelarii prawnych jest w stolicy najwięcej, to nic dziwnego, że fajnopolacki styl zainfekował całe miasto.

MIASTECZKO WILANÓW

Symbolem fajnopolactwa jest Miasteczko Wilanów. Doskonale pamiętam to miejsce z lat 80., gdy przyjeżdżałem tu z psem na dalekie spacery po rozległych polach rzepaku należących do SGGW. Dzisiejsi lokatorzy tych pól kwilili wtedy

Jestem u siebie i zarazem
w zupełnie mi obcym miejscu.
Być może dlatego, że z ludźmi,
których mijam, nie łączy mnie
wspólna historia. I, jak sądzę,
inaczej patrzymy na otaczający
nas świat

prawdopodobnie w becikach gdzieś w odległym interiorze. Teraz jednak wyrosli na wielkomiejskich drapieżników, wyjeżdżających z podziemnych garaży swoimi leasingowanymi limuzynami. To oni rządzą teraz w warszawskich bankach i kancelariach prawnych.

Gdyby jednak chodziło tylko o banki i korporacje. Problem w tym, że to wszystko poczuło się władcami całego miasta. To coś jakby zgraja najeźdźców z innej cywilizacji zaczęła wprowadzać własne zwyczaje. Jakiś czas temu jeden z takich, pochodzący zresztą z bardzo miłego mia-

sta na Kujawach, skarcił mnie, gdy okazałem niesmak na widok czerwonych pionów wywieszonych w oknach. „To jest Warszawa, a nie Pułtusk” – objaśnił mi z wyższością. To pomogło mi zrozumieć, dlaczego mieszkańcy Warszawy uchodzą powszechnie za idiotów i arogantów. Problem w tym, że on nie był z Warszawy, a jedynie się podawał za warszawiaka.

Do pewnego stopnia wyjaśnia to również, dlaczego między tzw. rdzennymi warszawiakami a nowymi mieszkańcami miasta – eufemistycznie mówiąc – często brakuje chemii. Bywa bowiem, że nowi za bardzo wczuwają się w rolę i zbyt brutalnie zawłaszczają istniejącą przestrzeń. Pamiętam np. spory o linie autobusowe na Dolnym Mokotowie i Woli, gdy okazywało się, że mieszkańcy nowych apartamentowców nie życzyli sobie autobusów pod swoimi oknami, bo hałasują i zabierają im miejsca do parkowania. Nie interesowało ich to, że te autobusy jeździły tam od lat, na długo zanim powstały nieszczęsne apartamentowce. Do legendy przeszły też przepocone buty zostawiane pod drzwiami mieszkań. Nie wierzyłem w to, zanim sam ich nie ujrzałem w Miasteczku Wilanów i w jednej ze starych kamienic na Mokotowie, zasiedlonej przez hipsterów. W tejsze kamienicy mieszkała (a być może nadal mieszka) jedna z czołowych liderów tzw. Strajku Kobiet. Niewykluczone, że to były jej buty. Obrzydliwość.

Mieszkańcy Miasteczka Wilanów zrobili kiedyś inną awanturę – o nazwy ulic na osiedlu. Szczególnie wzburzyła ich ulica Kazachska. Jak można bowiem mieszkać przy tak mało prestiżowej ulicy? Ostatecznie Kazachska przetrwała, ale później władze miasta wycofały się z nadawania nazw ulicom, pozostawiając

wszystko inwencji deweloperów. I tak od lat mamy w Warszawie nazwy w rodzaju: Śpiewu Ptaków, Zapachu Bzu, Ukryty Raj, Słonecznego Poranka i inne, równie infantylne adresy, skrojone pod intelektualny potencjał ich mieszkańców.

DWIE WARSZAWY

Miasteczko Wilanów to z punktu widzenia wielu warszawiaków patologia, szklano-betonowe klocki poupychane wzdłuż kilku ulic na peryferiach miasta. Jednak dla lemingów to oznaka prestiżu. Bo Wilanów brzmi wytwornie. Tak samo jak wytwornie brzmi Mokotów. Tyle że ten prawdziwy Mokotów kończy się w okolicach ul. Odyńca. Nie przeszkadza to deweloperom naciągać niczego nieświadomych lemingów na kupno mieszkania w strefie zalewowej Wisły na Sękierkach czy na dawnym przemysłowym Służewcu. Wystarczy bowiem, że swoje osiedle nazwą np. Bajeczny Mokotów albo Pozytywny Mokotów i od razu są nabywcy. Potem w rozmowie pytasz takiego, gdzie mieszka, a on, że na Mokotowie. Gdy wyjaśniasz mu, że do Mokotowa to on ma jeszcze ładnych parę kilometrów, zaczyna się złościć i pouczać cię, że nie znasz się na topografii miasta.

Ogólnie topografia jest świetnym papierkiem lakmusowym. Bo – tak jak w każdym mieście – wiele miejsc w Warszawie ma swoje stare, zwyczajowe nazwy. Ich znajomość zdradza starego mieszkańca. Nowi używają oficjalnych nazw i bywa, że dochodzi na tym tle do

nieporozumień. Przykładowo ktoś ci mówi, że czeka pod Novotelem Centrum. Ty zachodzisz w głowę, gdzie to jest? Zaglądasz do internetu i dowiadujesz się, że chodzi o hotel Forum.

Warszawa nie jest jednolita i składa się z kilku dzielnic. Przy czym nie chodzi tu wyłącznie – tak jak w przypadku wielu innych miast – o podział administracyjny. Warszawska dzielnica jest osobnym bytem i istnieje ścisła hierarchia dzielnic pod względem urody i prestiżu. Na górnych pozycjach są Mokotów i Żoliborz, od jakiegoś czasu również Powiśle i Saska Kępa. Na dole zaś Wola, Targówek i ogólnie Praga. I nawet jeśli ten ranking jest niesprawiedliwy, to od kilku dziesiętników lat wyznacza hierarchię.

Urodziłem się i wychowałem na Mokotowie – można więc powiedzieć, że jestem uprzywilejowany. Pamiętam, że jako dziecko obawiałem się szwendać po Pradze, która z powodu subkultury gitowców 40 lat temu miała bardzo złe notowania wśród młodzieży z innych dzielnic. Wyprawiając się w okolice Dworca Wileńskiego, rozglądałem się uważnie dookoła, czy jakiś żul nie zechce rozbić mi butelki na głowie. Wszystko to w dużym stopniu były mity i stereotypy. Tak się w moim życiu złożyło, że później przez 20 lat mieszkalem po praskiej stronie i polubiłem tę dzielnicę. Była bardziej swojska i mniej nadęta niż inne.

Dziś, gdy wróciłem na rodzinny Mokotów, mam mieszane uczucia. Odwiedzając okolicę, w której się wychowałem, wcale nie czuję się swojsko. Nie tylko dlatego, że

mieszkam teraz w innej części dzielnicy, ale przede wszystkim z tego powodu, że wszystko się zmieniło. Do starych kamienic wprowadzili się nowi ludzie, w większości to postępowi hipsterka. Starych sklepów nie ma, są za to wegańskie lodziarnie, modne śniadaniownie, a obok nich anonimowe Żabki, barberzy i internetowe spożywczaiki z dostawą do domu. Stara, sąsiedzka atmosfera dawnych podwórek, tajnych przejść, rozlicznych skwerków, po których grasowały bandy urwisów, już dawno uleciała. Jestem u siebie i zarazem w zupełnie mi obcym miejscu. Być może dlatego, że z ludźmi, których mijam na mojej rodzinnej ulicy, nie łączy mnie żadna wspólna historia. I, jak sądzę, zupełnie inaczej patrzymy na otaczający nas świat.

STOLICA LEMINGÓW

Niektórzy powiadają, że aby poznać starą Warszawę, trzeba pojechać na Pragę. Owszem, pozostało tam sporo starych kamienic, które po wojnie mocno zdezastrowano. Jednak Praga nie jest reliktem starej Warszawy. Są tam co najwyżej resztki starej Pragi. Prawdziwe pozostałości starej Warszawy ciągną się wzdłuż Mokotowskiej – od pl. Trzech Krzyży w stronę pl. Zbawiciela. Piękne, bogato zdobione wielkomiejskie kamienice przeżyły powstanie, bo były zasiedlone przez Niemców. Przechadzając się tamtędy, trudno nie dojść do wniosku, że obecna Warszawa jest zupełnie nowym miastem.

Mieszkańców przedwojennej stolicy też już dzisiaj nie ma, choć żyli jeszcze





w czasach, gdy sam byłem nastolatkiem – moja babka pamiętała wkroczenie wojsk niemieckich do Warszawy w 1915 r. Dziś należę już chyba do grupy weteranów, którym niekiedy trudno znaleźć wspólny język z nowymi mieszkańcami.

Współczesna Warszawa nie ma do zaoferowania wielu atrakcji poza kilkoma muzeami, zabytkami i unikalnymi na skalę światową Łazienkami. Dobrze więc, że stawia na nowoczesność, bo to ją może wyróżniać spośród innych stolic. Centrum miasta ciągle pnie się w górę i stołeczny skyline jest coraz bardziej imponujący, zwłaszcza wieczorem. Brakuje jednak wizji i prezydenta na miarę Stefana Starzyńskiego. Obecne władze z nadania PO to w porównaniu ze Starzyńskim liliputy zarządzania. Wszystko jak najmnijszym kosztem, w jak najmnijszej skali. I nie jest to wyłącznie kwestia pieniędzy, bo tych jakos nie brakuje na rozmaite ideologiczne programy ratusza.

Miasto skupia się na sieci metra. Bo wiadomo, w oczach lemingów metro to nowoczesność. Sami z niego nie korzystają, ale dużo linii metra to fajna rzecz. Coś jak

w Paryżu. Lemingom na mieście nie zależy, niewiele widzieli i niewiele o nim wiedzą, im zależy wyłącznie na tanim blitrze. Dlatego Trzaskowski buduje. Tylko że buduje bez sensu. Jedyna stacja przesiadkowa między pierwszą i drugą linią metra została zaprojektowana najtańszym kosztem – w efekcie ludzie nie mieszczą się na schodach. Z kolei wejście do stacji Centrum przypomina lej po bombie, bo od ćwierćwiecza jest prowizorką. O projektowanej trzeciej linii można zaś powiedzieć tyle, że na jej powstaniu skorzystają głównie deweloperzy. Tak się bowiem składa, że będzie przebiegać nieco z dala od miasta, ale za to wzdłuż nowych apartamentowców, co podbije ceny nieruchomości. I zapewne o to chodzi. Leminżerii to jednak nie przeszkadza, najważniejsze jest bowiem, że prezydent Warszawy mówi po francusku, a to – jak wiadomo – niezbędna kompetencja do zarządzania stolicą Polski.

MARATOŃCZYCY

Ogólnie Warszawa to miasto samochodowe. Komunikacja publiczna jest cią-

gle tania i niezła, ale dla wielu zbyt mało prestiżowa. Nawet Trzaskowski jeździ tramwajem raz na cztery lata, a gdy już do niego wsiądzie, to wszyscy robią mu z tej okazji zdjęcia. Zaczytany w Marksie i ubolewający nad ciężką dolą amazońskich Indian warszawski hipster też brzydzi się plebsem, więc zamiast tramwaju i autobusu wskoczy na rower, bo to i modne, i ekologiczne. A na zakupy wyśle służącą lub podjedzie do sklepu elektrycznym lexusem.

Najbardziej poszkodowani są piesi, bo nie dość, że auta tarasują wszystkie chodniki (znalezienie miejsca parkingowego graniczy zresztą z cudem), to jeszcze ze wszystkich stron wpadają na nich rozpedzone rowery.

W Warszawie wszyscy są niecierpliwi, wiecznie skrzywieni i wszędzie się śpieszą. Nic dziwnego, że odbywają się tu biegi maratońskie, które kilka razy w roku paraliżują miasto. Zbyt wolno idący człowiek jest zawalidrogą na wąskim chodniku, na jezdni odbywa się nieustanny rajd Monte Carlo, a zniecierpliwieni mistrzowie kierownicy ponagląją się klaksonami. Do tego jeszcze wszechobecni dostawcy jedzenia na warkoczających skuterkach – krajobraz jak z Bangkoku albo Sajgonu. W żadnym razie nie przypomina to europejskich miast, do których tak aspirują rzekomo światowe warszawskie lemingi.

Dziś być warszawiakiem we własnym mieście to naprawdę duże wyzwanie. Bo Warszawy w Warszawie jest coraz mniej. Jeśli wierzyć stereotypowi, mieszkańców stolicy prawie nikt w Polsce nie lubi. To całkiem zabawne, bo wielu warszawiaków też ich nie lubi. Kim w takim razie są i skąd pochodzą obecni mieszkańcy Warszawy? Oto jest pytanie.





Pracoholizm to ciężka choroba

Fot. Agnieszka Paweł

Że coś jest nie tak, zrozumiałam na urlopie, gdy okazało się, że muszę brać środki uspokajające, bo moje ciało drżało. Przeżywałam odstawienie od pracy. Zrozumiałam, że żyję wyłącznie pracą, a życie mam tylko jedno. Co mi z tego, że jestem świetnym burmistrzem, skoro jestem beznadziejną matką i żoną

Z Karoliną Zowczak, burmistrz gminy i miasta Osiek, bohaterką książki „Samorząd na obcasach”, rozmawia Dorota Łosiewicz

Zacznijmy od początku. Powinnam się do pani zwracać pani burmistrz czy pani burmistrzynie? Szanuję wolę rozmówców.

Karolina Zowczak: Pani burmistrz. To nie feminatywy decydują o kompetencjach, a praca. W moim przypadku na rzecz samorządu.

Za tę pracę dostała pani niedawno nagrodę główną konferencji Polka XXI wieku w kategorii samorząd. Była radość?

Wielka radość, wzruszenie i zaskoczenie. Cieszę się, że jurorzy docenili to, co robię w samorządzie Osiecka. Zaczynałam, piastując funkcję wójta

w 2014 r. W styczniu tego samego roku zostałam burmistrzem, a to dlatego, że Osiek uzyskał prawa miejskie. Przez te lata wybudowaliśmy kanalizację, przedszkole, żłobek, rozbudowujemy szkoły, drogi. Jurorzy zwrócili pewnie też uwagę, że oprócz infrastruktury myślimy o seniorach, osobach z niepełnosprawnościami, kulturze. Na tyle, na ile to oczywiście możliwe.

Zarządza pani gminą, a teraz miastem Osiek już od 10 lat. Przejęła pani władzę w dość dramatycznych okolicznościach. Jak to było?

Przez dwa lata byłam zastępcą wójta. Później mój szef zmarł i przez dziewięć

miesięcy pełniłam jego obowiązki. Zostałam powołana przez premiera na wniosek wojewody – prawo dawało taką możliwość. Jeżeli wójt umiera, a do wyborów jest pomiędzy pół roku a rok, wówczas rada gminy decyduje, czy zarządzić głosowanie, czy nie. Gdy do zgonu dochodzi pół lub mniej roku przed wyborami, wówczas głosowania się nie zarządza. W moim przypadku rada podjęła decyzję o nieorganizowaniu wyborów, ponieważ do kolejnych było dziewięć miesięcy. Było więc jasne, że osoba, która obejmie obowiązki wójta, będzie je pełniła już do wyborów. Staraliśmy się wówczas z przewodniczącym rady, żebym to ja

była osobą, która będzie pełniła obowiązki wójta, bo po prostu miałam wiedzę o wszystkich realizowanych projektach, a było ich wtedy osiem lub dziewięć. W innej sytuacji moja umowa wygasłaby po trzech miesiącach i wraz ze mną odszedłby spory kawałek wiedzy o inwestycjach, zarządzaniu projektami. Wojewoda chciał, abym go poinformowała, czy będę startowała w wyborach, ponieważ nie powinien powoływać osoby, która wystartuje. Uczciwie wówczas powiedziałam, że takiej obietnicy złożyć nie mogę, bowiem jeszcze nie wiedziałam, co będzie.

I zdecydowała się pani poddać wyborczej weryfikacji. Jak to było?

Pierwsza tura była bardzo dobra. Zabrakło mi ok. 50 głosów, żeby wygrać. W drugiej turze było znacznie trudniej. Wygrałam z kontrkandydatką, o ile mnie pamięć nie zawodzi, 33 głosami. Kampania była emocjonująca, było pięciu kandydatów. Miałam 33 lata, byłam najmłodsza, byłam też młodą mamą. Sama nie byłam pewna, czy dobrze robię, że kandyduję. Do drugiej tury weszły dwie kobiety i trochę się biłyśmy. Kampania polegała głównie na spotkaniach z mieszkańcami gminy, roznoszeniu ulotek, rozwieszaniu banerów. Dziesięć lat temu media społecznościowe nie były jeszcze tak ważne. Zapamiętałam ten okres jako niezwykle wyczerpujący. Mało jadłam, mało spałam, ciągle tylko pracowałam, cały czas coś robiłam lub z kimś rozmawiałam. Był wielki stres, były emocje.

A czarny PR?

Też się pojawił. W tamtym czasie jeden z moich młodszych braci został zakonnikiem. Ktoś usłyszał, jak mówię: „Ubrata w celi...” i poszła plotka, że mój brat siedzi w więzieniu. Próbowano coś znaleźć na mojego dziadka, ojca. W takich sytuacjach rodzina niestety cierpi najbardziej. Pojawiały się też komentarze (choć głównie kiedy już zostałam wójtem), że wyglądam jak dziecko i pytania, czy dziecko powinno być wójtem. Słyszałam komentarze w stylu: „To dziecko to nawet pić al-

koholu pewnie nie może”. No i wreszcie nie mieszkam w Osiecku i byłam postrzegana jako spadochroniarz.

Ostatecznie „dziecko” zostało wójtem. A potem ponownie wybrano panią na kolejną kadencję. Czym przekonała pani do siebie lokalną społeczność?

Myślę, że pracą, zaangażowaniem, uczciwością. Szczepnie mówię, co możemy zrobić, a czego nie. Byłam też gwarantem ciągłości realizacji projektów. W rozmowach znalazłam szczegóły, którymi żyje gmina. Wiedziałam, gdzie jest drenaż, rów czy dziura w drodze. Na spotkaniach było więc zawsze dużo konkretów. Nim zostałam zastępcą wójta, byłam inspektorem,

Jestem zadowolona z transportu publicznego. Poświęciłam na to dużo czasu i pracy. Zależało mi, żeby nawet te najmniejsze miejscowości nie były odcięte od świata i zdobyły cywilizacji

więc miałam dużą wiedzę o wszystkim, co się działo w gminie. Poza tym lubię ludzi, z którymi i dla których pracuję, oni to wiedzą i czują. Bycie wójtem czy burmistrzem to nie tylko zawód, lecz także misja.

Jeśli dobrze liczę, to właśnie prowadzi pani już trzecią kampanię. Czym ta się różni od pierwszej?

Ta kampania jest już zupełnie inna. Spokojniejsza, choć też oparta głównie na bezpośrednich spotkaniach. Jest zimno, więc chodzę w czapce. I jak tylko ludzie mnie rozpoznają, to niesamowicie pozytywnie reagują, zaraz słyszę: „O! Nasza pani burmistrz!” i szybko wciągają mnie do domu, często przytulają, częstują tym, co mają. To są prawdziwe emocje. Tylko jedna

osoba do tej pory powiedziała mi, że nie chce rozmawiać. Pytania są bardzo konkretne, np.: dlaczego zrobiliśmy drogę, a nie zrobiliśmy chodnika. Więc konkretnie odpowiadam: na chodnik nie było już pieniędzy. Rzadko się zdarza czarny PR. W mediach społecznościowych ludzie często mnie bronią, gdy ktoś zaatakuję. Może coś się jeszcze wydarzy, przecież Osieck to nie kraina mlekiem i miodem płynąca, a ja nie podejmowałam wyłącznie dobrych decyzji. Na pewno były też błędy.

Co się udało, a co jeszcze chciałaby pani zrobić?

Jestem wciąż nienasycona i cały czas uważam, że można zrobić więcej. Moja gmina to gmina wiejska, a na terenach wiejskich jest bardzo wiele do zrobienia. Latami budowaliśmy infrastrukturę, teraz budujemy drogi, w Osiecku potrzebne są chodniki, nie ma ścieżek rowerowych. Gmina ma bardzo dużą powierzchnię, przeszło 60 km², a na tym terenie mieszka mało ludzi, bo tylko 3,7 tys. Więc pomiędzy mieszkańcami są duże odległości do pokonania. To jest utrudnienie, bo droga musi być dłuższa, a autobus musi przejechać dłuższą trasę. Mamy miejscowości, gdzie jest bardzo mało mieszkańców, np. 27 osób, więc nie ma tam świetlicy. W takim miejscu miejscowości trudniej o standardy niż w tam, gdzie mieszka 1,2 tys. osób.

Nie mamy domu kultury i z tego jestem niezadowolona, chciałabym to zmienić. Zadowolona jestem za to z transportu publicznego. Poświęciłam na to dużo czasu i pracy. Zależało mi, żeby nawet te najmniejsze miejscowości nie były odcięte od świata i zdobyły cywilizacji. Cieszy mnie też, że wybudowaliśmy duży żłobek w gminie. Działa już od czterech lat, mamy w nim 70 miejsc. Nie jest tani, bo pobyt dziecka kosztuje 1,2 tys. zł, ale jeśli ktoś musi lub chce wrócić do pracy, to nie znajdzie opieki za te pieniądze.

Osieck leży ok. godziny drogi od Warszawy. To utrudnia czy ułatwia życie?

Ułatwia o tyle, że można bez trudu i szybko dotrzeć do dużego miasta, jakim jest Warszawa. Utrudnia, bo

wykwalifikowani pracownicy bez problemu znajdują pracę w stolicy i mamy odpływ młodych ludzi. W tej kadencji, jeśli wygram, będę chciała się zająć ofertą dotyczącą spędzania wolnego czasu. Walczę też o to, by zaczęło się rodzinne budownictwo mieszkaniowe. U nas nie można kupić mieszkania, bo nie ma bloków. Żeby mieszkać, trzeba wybudować dom. To utrudnia młodym ludziom decyzję o pozostaniu w gminie. A teren jest trudny, więc niełatwo o inwestorów. Gmina z jednej strony jest lesista, z drugiej jest wysoki poziom wód gruntowych, co dla dewelopera oznaczałoby wysokie koszty osuszenia terenu. I takie argumenty słyszę.

Mówiła pani kiedyś o sobie, że jest pracobolichką. Jak rodzina to znosi?

Znosiła to bardzo źle. Mąż czuł się zepchnięty na dalszy plan. Że coś jest nie tak, zrozumiałam na urlopie, gdy okazało się, że muszę brać środki uspokajające, bo moje ciało drżało. Przeżywałam odstawienie od pracy. Zrozumiałam, że żyję wyłącznie nią, a życie mam tylko jedno. Comi z tego, że jestem świetnym burmistrzem, skoro jestem beznadziejną matką i żoną. Pracobolizm jest uzależnieniem, chorobą ciała, umysłu i duszy. To uzależnienie jest społecznie akceptowane, a nawet w niektórych przypadkach pożądane. Jednak dla pracobolika kończy się po-



dobnymi problemami, jak alkoholizm dla alkoholika. Zaczęłam dużo czytać, zdiagnozowałam problem. Opuściłam niezdrową kontrolę. Staram się nadawać pracy ramy czasowe. Bardzo intensywnie pracuję w pracy, ale gdy już jestem w domu, nie zajmuję się pracą, a kiedyś tak robiłam. Jeśli wydarzy się coś pilnego, to wolę zostać chwilę dłużej i nie zabierać pracy do domu. Zaczęłam też pracować nad duchowością. Codziennie się modlę i polecam się Bogu. Nawrócenie, którego doświadczyłam, właściwie mi wszystko ustawiło. Pozwoliło mi też usłyszeć to, co o pracobolizmie mówili moi bliscy. Myślę, że moja praca jest teraz jeszcze bardziej efektywna, a moje życie bardziej wartościowe we wszystkich aspektach.

Skoro wywołała pani tematy duchowe, to nie mogę nie zapytać o święta Zmartwychwstania Pańskiego. Jak się pani do nich przygotowuje? Kulinarnie i duchowo.

Jeśli chodzi o kuchnię, to raczej nie jestem wybitną kucharką. Niewiele przygotowuję na święta. Spędzamy je u naszych mam: mojej i męża. Zawsze więc pytam, co mogę zrobić, żeby pomóc, ale często słyszę: „Ty masz tyle pracy, nic nie rób” albo wyznaczają mi jakieś nieduże zadanie. Jestem pisan-karką, więc maluję pisanki. Bardzo to lubię. Najważniejsze jest dla mnie jednak przygotowanie duchowe. Mogłabym długo mówić, jak to dla mnie ważne. Staram się zrozumieć i kontem-płować tę wielką miłość, jaką obdarzył nas Pan, że za nasze grzechy ofiarował swojego Syna. To jest miłość nie do objęcia ludzkim umysłem, to po prostu trzeba poczuć, przeżyć. Nawet nie wiem, czy w pełni rozumiem ten dar dla człowieka i czy umiem ubrać w słowa moją wdzięczność. Ten, kto doświadczył tej Bożej miłości, kto się do niej zbliżył, a nie tylko chodzi do kościoła, bo tak trzeba, ten wie, o czym mówię. Dlatego te święta są dla mnie takie ważne. Uczestniczę w Triduum Paschalnym, w rekolekcjach, robię, co mogę, by przygotować duszę. To przede wszystkim ona musi być wysprzątana. Jezus to nie sanepid, tylko zbawienie. 

REKLAMA



***Z okazji świąt Wielkiej Nocy
pragniemy złożyć Państwu
najserdeczniejsze życzenia.
Zdrowych, spokojnych
i radosnych świąt życzy***



KASA KRAJOWA

Marzec 2024



Wolę żyć w Polsce

Mieszkamy w Polsce i uważam, że moją powinnością jest wychowywanie dzieci na polskich patriotów. Choć oczywiście staram się pielegnować ich związki z językiem francuskim i Francją

Z *Olivierem Baultem*, francuskim dziennikarzem mieszkającym w Polsce, rozmawia Goran Andrijanić

Jesteś Francuzem, który mieszka w Polsce. Ile to już lat?

Olivier Bault: Jestem w Polsce od 1993 r., to już ponad 30 lat.

Jak to się stało?

Uczyłem się angielskiego i hiszpańskiego na uniwersytecie w Lyonie. Wykładowcy mówili nam, że musimy się nauczyć jeszcze jednego języka, i to takiego rzadszego. Wtedy poznałem pewną Polkę i dzięki znajomości z nią zdecydowałem się uczyć polskiego. To było na przełomie lat 80. i 90., w czasie upadku reżimu komunistycznego i obalenia muru berlińskiego. Uczyłem się polskiego już przez trzy lata,

kiedy od wykładowcy odpowiedzialnego za stosunki międzynarodowe na moim uniwersytecie dostałem propozycję wyjazdu do Katowic, do nowo powstałej Szkoły Nauk Politycznych przy Uniwersytecie Śląskim. No więc pojechałem.

I od razu zaczęłeś pracować w Polsce?

Po roku studiów w Katowicach, choć powinienem trafić do wojska. Wtedy służba wojskowa we Francji była obowiązkowa. Wydawało mi się jednak, że to strata czasu. Teraz trochę inaczej bym na to patrzył, bo czasy się zmieniły. Nie mówię o zagrożeniach

ze strony Rosji, ale sytuacja wewnątrz Francji jest niepewna i nie wiadomo, czy takie umiejętności nie będą przydatne. No, ale wtedy można było tę służbę odrobić w formie zastępczej i jedną z możliwości była praca zagraniczna dla francuskiego eksportu. Tak zacząłem pracować dla francuskiej firmy produkującej farby i lakiery dla przemysłu meblarskiego. Jeździłem po Polsce i sprzedawałem te produkty.

Kiedy poznałeś żonę?

Na samym początku swojego pobytu w Polsce, na Uniwersytecie Śląskim, tylko nasze drogi się rozeszły. Ponow-

nie spotkaliśmy się po 10 latach, a po-
braliśmy w 2009 r.

To znaczy, że zostales w Polsce z po- wodu pracy?

Można tak powiedzieć. Pracowałem na romanistycie w Poznaniu, na Uni-
wersytecie Adama Mickiewicza. Jed-
nocześnie pracowałem jako tłumacz
freelancer, z czego żyłem lepiej niż
z tej pracy na uczelni. Do Warszawy
przeprowadziłem się w 2005 r., a po-
tem poślubiłem swoją żonę, z którą
teraz mam dwójkę pięknych dzieci –
córkę i syna.

Myślałeś kiedyś o powrocie do Francji?

Na początku tak. Wtedy jakość życia
we Francji była lepsza niż w Polsce.
Przed ślubem cały czas miałem op-
cję, że wrócę. Ale dzisiaj, poza tym,
że mam tu rodzinę, jakość życia tak
naprawdę jest lepsza w Polsce niż we
Francji.

W jakim wymiarze?

W każdym. To znaczy nominalnie
pensje są tutaj niższe, natomiast oto-
czenie i bezpieczeństwo w Polsce są
dużo lepsze niż we Francji. Zachowa-
nia różnych grup społecznych mocno
popsuły jakość życia w mojej ojczyź-
nie. Wszyscy w mojej rodzinie i wśród
znajomych mówią to samo, niezależ-
nie od poglądów. Nie ma już spójno-
ści społeczeństwa, ono zniknęło. Jest
dużo zachowań tej, jak się potocznie
mówi, „młodzieży z przedmieścia”.
Do tego jest strasznie brudno.

Tak?

Niestety tak. Kiedy ostatnio byliśmy
z żoną i dziećmi w Lyonie, w samym
centrum miasta, na prestiżowym
Place Bellecour, doświadczyliśmy
takiego brudu, jakiego w życiu tam
nie widziałem. Niektórzy mówią, że
Francja stopniowo staje się krajem
Trzeciego Świata. To nic dziwnego, bo
jeżeli zaprasza się miliony przybyszów
z Trzeciego Świata, wpływa na to, jaki
jest kraj. Ludzie przynoszą ze sobą
swoją kulturę, co jest zupełnie nor-
malne i powoduje, że znika spójność
społeczeństwa. Nie ma już wspólnych
wartości. Oprócz tego imigranci dużo

kosztują i państwo francuskie jest co-
raz bardziej ubogie, co widać gołym
okiem.

Czy wydaje ci się, że Polska będzie mogła uniknąć takiego scenariusza?

Polska może tego uniknąć. Nato-
miast czy tego zechce, dopiero się
okaże. Słyszymy głosy, że trzeba za-
niechać tzw. pushbacków na granicy.
To jest równoznaczne z otwieraniem
bram nielegalnej imigracji. Zanim
zaczęłem nową pracę w Ordo Iuris,
przeprowadzałem niedawno wywiad
z Fabrice'em Leggerim, byłym dyrek-
torem Fronteksu, który mówi dokład-
nie o tym. Zaniechanie pushbacków
oznacza, że można nielegalnie prze-
kroczyć granicę. A jeżeli pozwalamy
na to, aby nielegalnie przekraczano
nasze granice, to tak, jakby tych granic
nie było. To się właśnie w tej chwili
dzieje w USA – tylko w grudniu granicę
tego państwa przekroczyło ponad
300 tys. nielegalnych imigrantów.

A czy według ciebie jest tutaj jakaś droga środka, rozsądna polityka migracyjna?

Na pewno, ale dla takiego kraju jak
Francja jest już za późno. Z perspek-
tywy Polski jest inaczej. Pod warun-
kiem, że nie pozwoli się na nielegalną
imigrację i że świat o tym będzie wie-
dział. Czyli wpuszczamy na podstawie
wiz czy zezwoleń na pracę, ale to już
jest suwerenna decyzja demokratycz-
nie wybranych władz. Natomiast na
ile te władze naprawdę reprezentują
wyborców we Francji, można się za-
stanawiać. Badania opinii publicz-
nej od wielu lat pokazują, że ludzie
w ogromnej większości są przeciwni
dalszej masowej imigracji, a władze
robią swoje.

Na ile twoim zdaniem naród francu- ski ma jeszcze wpływ na wydarzenia polityczne?

Jest kilka aspektów tego problemu.
Po pierwsze, państwo francuskie
ma charakter trochę oligarchiczny.
To powoduje, że pewna grupa politycz-
na ciągle wygrywa wybory. Partie
mainstreamowe składają obietnice,
które czasami różnią się podczas kam-
panii wyborczej, ale w konsekwencji

prowadzą bardzo podobną politykę.
Scena medialna we Francji im w tym
pomaga. Publiczne media są lewicowe
albo skrajnie lewicowe, a prywatne,
które są w rękach kilku oligarchów,
mają jedną linię światopoglądową.
Eurofederalistyczną, proaborcyjną,
proimigracyjną, czyli jednym słowem
lewicowo-liberalną. Jest to jeden
z powodów, dla którego trudno mówić
o prawdziwej rotacji władzy we Francji.

Już od dłuższego czasu mówię pol- skim kolegom, że w czasie ostatnich ośmiu lat Polska miała naprawdę pluralistyczną scenę medialną. Według mnie takiego pluralizmu nie ma w innych państwach post- komunistycznych Europy Środko- wej, a nawet na Zachodzie.

Zgadzam się z tą opinią. Takiego po-
ziomu pluralizmu nie ma ani w Niem-
czech, ani we Francji. W Polsce są
prezentowane różne opcje z wieloma
niuansami. Są media pro- i antyrzą-
dowe, ale istnieją np. media lewicowe,
które krytykują lewicowo-liberalny
rząd Tuska. Tak samo w czasach PiS
mieliśmy media prawicowe, które
były krytyczne wobec polityki rządu.
Natomiast brak całkowitej dominacji
lewicowo-liberalnych mediów był
powodem, dla którego na Zachodzie
uważano, że w Polsce nie ma wolności
prasy. Dla nich brakiem wolności jest
sytuacja, w której lewicowo-liberalne
media nie dominują w wystarczają-
cym stopniu.

A teraz ta wolność, która była tu do- syć długo, jest atakowana.

Wolność jest zagrożona. Chodzi
o ogólny ruch demokracji liberalnej
w kierunku autorytaryzmu i totalita-
ryzmu. To wyraźnie widać np. w Kana-
dzie, gdzie rządzi ultraliberalny pre-
mier Justin Trudeau. Pamiętamy, jak
się rozprawiał z protestami kierowców
ciężarówek, blokując im konta ban-
kowe. Niedawno nawet Sąd Najwyż-
szy w Kanadzie stwierdził, że to było
kompletnie niekonstytucyjne i bez-
prawne. I co? Jest jak w filmie Barei:
„Nie mamy pańskiego płaszcza i co
nam pan zrobi?”. Widzieliśmy też, jak
we Francji władza potraktowała prote-
sty „żółtych kamizelek”. Podobnie było

ostatnio w Warszawie na proteście rolników, stosowano podobne metody.

Czy wydaje ci się, że Polska będzie mogła się obronić przed tym autorytaryzmem?

Wszystko jest w rękach Polaków. Bo póki co są wolne wybory, prawda? Zobaczymy, czy Polacy będą podatni na propagandę i ślepi na łamanie praworządności, która ma teraz miejsce w Polsce, z przyklaskiwaniem władz w Brukseli. Mam poczucie, że Polska może się obronić, tak samo jak Francja. Mogę się mylić, ale już od kilku lat widzę, że ten system runie.

Wydaje mi się jako katolikowi, że w tym wszystkim o czym mówimy, bardzo ważne miejsce ma do odegrania Kościół katolicki w Polsce.

Kościół w Polsce na pewno ma bardzo dużą rolę. Polskie społeczeństwo jest bardziej konserwatywne niż wiele innych społeczeństw, mimo że też ewoluuje w kierunku większego liberalizmu. Niestety. To wynika także z tego, że jest Kościół, jest dużo ludzi wierzących i wartości osadzone w Chrystusie są stałe. Jak nie ma tego punktu odniesienia, łatwiej wpływać na ludzi. Dlatego totalitaryzm zawsze żywił nienawiść do chrześcijaństwa, bo im przeszkadzało. W Irlandii duża zmiana społeczeństwa była możliwa tylko dlatego, że Kościół się skompromitował i stracił autorytet.

Powiedziałeś mi wcześniej, że w Polsce przeżyłeś powrót do Kościoła. Tak!

Pochodzisz z rodziny katolickiej?

Tak, mam sześcioro rodzeństwa. Dziś jako jedyny z nich chodzę do kościoła, a w dzieciństwie wszyscy chodziliśmy na msze razem z rodzicami.

Polska cię uratowała?

Można tak powiedzieć [śmiech]. Miałem 18 lat, gdy zmarła moja mama. I jako człowiek niewierzący, agnostyk, modliłem się wtedy na swój sposób w starej gotyckiej katedrze w mojej miejscowo-

ści Vienne. Prosiłem Boga o to, że jeśli istnieje, niech sprawi, bym wierzył. To było po śmierci mamy i czułem, że życie, w którym nie ma Boga, jest bez sensu. Myślę, że dlatego wylądowałem w końcu w Polsce. Pewnie Bogu ciężiej było mnie nawrócić we Francji niż w Polsce i mnie tu wysłał. Tak to widzę.

Będziemy oskarżeni o polski mesjanizm. Dwaj obcokrajowcy mówią o Polsce jak o Chrystusie narodów.

Nominalnie pensje są w Polsce niższe, natomiast otoczenie i bezpieczeństwo są tu dużo lepsze niż we Francji. Zachowania różnych grup społecznych mocno popsuły jakość życia w mojej ojczyźnie. Do tego jest strasznie brudno

[Śmiech] Pamiętam, jak byłem na mszy z papieżem Benedyktem w Krakowie. Nawoływał Polaków do tego, żeby pełnili w Europie właśnie taką misję. Polacy są w tej chwili jednym z niewielu narodów, który jeszcze może ewangelizować innych. Zresztą we Francji jest sporo księży z Polski. Jest bardzo dużo z Afryki, ale też sporo z Polski i bez nich nie byłoby już mszy w wielu francuskich miejscowościach.

Jak wyglądał twój powrót do Kościoła?

To było spotkanie z Chrystusem. Stopniowe. Na początku polska duchowość wydawała mi się taka... Do końca jej nie rozumiałem, bo we Francji duchowość jest protestancka – goła i zimna. A w Polsce jest dużo kultów, kościoły często są w stylu barokowym, jest dużo dekoracji, obrazów. W małych miejscowościach nawet jest nierzadko trochę kiczu w tych świątyniach. I na początku wydawało mi się, że to jest trochę pogań-

skie. Po tych wszystkich latach uważam, że jest to po prostu duchowość katolicka, taka jaka była kilkadziesiąt lat temu we Francji czy do niedawna w Hiszpanii. Nie jesteśmy istotami czysto duchowymi, więc ten fizyczny aspekt wiary to rola tych obrazów, tych rzeźb – żeby można było patrzeć na oblicze Boga przez Jezusa, przez jego świętych, przez Maryję. Moje nawrócenie polegało na spotkaniu z Chrystusem. Byłem w Poznaniu, mieszkalem w centrum, przez pewien czas chodziłem na msze do dominikanów, gdzie był ojciec Jan Góra. Pięknie śpiewał i przyciągał tłumy młodych ludzi. Piękno tych pieśni oraz wiara, którą można było tam odczuć, mocno na mnie wpłynęły. Podobnie jak włoski ruch Komunia i Wyzwolenie, który poznałem w Polsce przez moją żonę. Podczas mojej pierwszej pielgrzymki udałem się z Krakowa na Jasną Górę. I właśnie Jasna Góra odegrała dużą rolę w moim nawróceniu oraz moim utwierdzeniu w wierze.

Jak wychowujesz dzieci – jak Francuzów czy jak Polaków?

Jak Polaków. Zresztą oni sami mówią, że są Polakami. Mieszkamy w Polsce i uważam, że mają powinność – jest wychowywanie ich na polskich patriotów. Choć oczywiście staram się pielęgnować ich związki z językiem francuskim i Francją. Natomiast kiedy jesteśmy we Francji, oni widzą, że wszystko wygląda inaczej niż tutaj. Moja miejscowość Vienne, gdzie jeszcze mieszka mój ojciec, nawet dla mnie stała się dość egzotyczna, taka mało europejska. Więc i dla nich jest egzotyczna i nie identyfikują się z Francją.

Ty cały czas czujesz się Francuzem?

Czułem się do niedawna tylko Francuzem, ale takim, który ma silne i mocne związki z Polską. Natomiast jestem bardzo urażony wpisaniem aborcji do francuskiej konstytucji i tym, że ogromna większość Francuzów to popiera. Bardzo trudni jest mi już identyfikować się z własnym narodem. Czuję się Francuzem, ale z tej dawnej Francji, która już prawie nie istnieje. Niestety.

Hiszpańskie życie Lewandowskich

W Hiszpanii coraz mniej słyhać o życiu w tym kraju państwa Lewandowskich. Może dlatego, że sam „Lewy” nie olśniewa ani kibiców Barcy, ani tym bardziej Hiszpanów, którzy od początku byli markotni, że tak dobry piłkarz zdecydował się wesprzeć tzw. V kolumnę katalońskiego separatyzmu, czyli FC Barcelonę.

Nazwisko Lewandowski częściej niż w prasie sportowej pojawia się teraz na plotkarskich portalach, które nie tak dawno informowały o zakupie przez polską parę nowej willi w katalońskim Sitges, mieście zamieszkanym przez bogaczy, artystów i liczną tu społeczność LGBT



MAŁGORZATA WOŁCZYK

Zanim spojrzymy na życie prywatne Anny i Roberta Lewandowskich oraz tego, jak para jest postrzegana na Półwyspie Iberyjskim, zajrzyjmy przez moment na tamtejsze podwórko sportowe, na którym niejeden Polak znalazł szansę na karierę i lepsze życie.

CHCE ZAJAĆ MIEJSCE MESSIEGO

– Można powiedzieć, że Lewandowski przybył do Hiszpanii, aby zająć miejsce Messiego i jest być może najlepszym polskim zawodnikiem, jaki przeszedł przez naszą ligę – mówi mi Alfonso Velasco Sendra, doktor historii Uniwersytetu w Valladolid i jednocześnie ekspert od piłki nożnej w programach sportowych. Dzięki jego pasji dowiaduję się o polskich sportowcach ciekawostek, których nigdy nie byłam świadoma,

a jak zgaduję, nie znali ich nawet najwięksi kibice, którzy – mam nadzieję – zerkają w ten tekst.

– Złota era Polaków w Hiszpanii to czas gry Jana Urbana w Osasunie Pampeluna. Wtedy też Roman Kosecki, piłkarz w Atlético Madryt, odegrał kluczową rolę w powrocie klubu na szczyt

w meczu z FC Barceloną, wygranym 4:3. W czasach, gdy dominowali rosyjscy gracze, Sporting Gijón pozyskał polskiego piłkarza Cezarego Kucharskiego, który niespecjalnie się zaprezentował i strzelił raptem dwa gole dla klubu. Był agentem Roberta Lewandowskiego i wy daje się, że dziś jest na ustach wyłącznie z powodu problemów w sądzie. Pierwszym polskim zawodnikiem na najwyższym





Miasteczko Sitges to przede wszystkim 17 plaż i przepiękna architektura

poziomie był Jerzy Dudek, który pełnił rolę rezerwowego bramkarza w Realu Madryt. Niezłym zawodnikiem był też Grzegorz Krychowiak, który był niezbędny, aby Sevilla wygrała Ligę Europy – opowiada mi Alfonso. Przysięgam państwu, że spisuję tylko jedną piątą jego wypowiedzi, bo konia z rzędem temu, kto pamięta jeszcze Raymonda Kopę (Kopaszewskiego), tak jak pamięta go młodszy ode mnie Alfonso, który sypie z głowy nowinami. – Niedawno Granada pozyskała dwóch polskich zawodników: Kamila Jóźwiaka i Kamila Piątkowskiego – kontynuuje.

Ja chcę jednak rozmawiać ze specjalistami o tym, jak widzą grę RL9 w Barcy, lecz tu jakby entuzjazmu brak, i to nie tylko u mojego kolegi.

IM WIĘCEJ ZARABIA, TYM GORZEJ GRA

„Im więcej pieniędzy, tym gorsze występy” – czytam o Lewandowskim w tytule artykułu w „El Debate” i widać, że importowany z Monachium zawodnik coraz bardziej rozczarowuje. „Lewandowski jest na dobrej drodze, aby stać się nowym problemem dla Barcelony. W zeszłym sezonie Polak wyładował w Barcelonie jako gwiazda, a jego debiut był naprawdę obiecujący, z niesamowitą łatwością w zdobywaniu punktów i pokazywaniem nad wyraz wysokiej formy fizycznej dla zawodnika w jego wieku. Jednak rok później jego sytuacja jest zupełnie inna i zaczyna budzić poważne wątpliwo-

ści. W tej chwili rzeczywistość jest taka, że gracz znajduje się na bardzo niskim poziomie, nie ma szans na zdobycie gola i żadnego wpływu na grę swojego zespołu. Na byłego zawodnika Bayernu nic nie działa, przeżywa najgorszą passę od czasu przybycia do katalońskiego klubu” – recenzuje hiszpański dziennik. Swoją pierwszy sezon w Barcelonie Lewandowski zakończył 33 golami w 46 meczach, w drugim sezonie jak dotąd strzelił 20 goli w 38 meczach.

O „toksycznym kontrakcie Lewandowskiego” pisało już paru dziennikarzy, pytając: dlaczego im gorzej gra, tym więcej zarabia? Wyliczono, że do końca kontraktu w 2026 r. zarobi aż 52 mln euro netto, co nijak nie odzwierciedla wartości jego gry. Dziennik „EL Pais” przeprowadza tę buchalterię jeszcze inaczej: „Polak, który w wieku 34 lat (dziś ma 35) przybył do Barcelony za 50 mln plus 10 mln prowizji i za pensję wynoszącą blisko 25 mln euro”. Na forach czy w komentarzach pod artykułami o „Lewym” nie brak gorzkich słów ze strony katalońskich kibiców. Zdaje się, że nie tego się spodziewali po polskim napastniku i jego szumnym transferze. W plebiscycie odmawiają mu objęcia roli kapitana po odejściu Busquetsa.

Mój nieoceniony ekspert i przyjaciel wyjaśnia porażkę Lewandowskiego nieco inaczej, ale trudno o Hiszpana bardziej rozmiłowanego w polskiej historii, w tym także dziejach polskiej piłki nożnej. – Problem Roberta polega na tym, że zbyt długo przebywał w Bayernie, i to w czasie, gdy

między Messim a Ronaldo decydował się prymat w piłce nożnej – mówi. – Fakt, że zarówno Luka Modrić, jak i Karim Benzema zdobyli Złotą Piłkę, jest czymś niezwykle, biorąc pod uwagę nadmierną władzę, którą Lionel Messi ma w piłkarskim establishmentie. Messi, choć nikt nie zaprzeczy jego wielkości, był ogromnie chroniony przez FC Barcelonę, Professional Football League oraz prezydentów FIFA Josepha Blattera i jego prawą rękę Michela Platinię, a sytuacja nie poprawiła się za czasów obecnego prezydenta FIFA Infantino. Można było zobaczyć, jak Copa América stała się niemal coroczna, aby w dalszym ciągu nagradzać Messiego, a podczas ostatniego Pucharu Świata w Katarze zrobiono wszystko, co było możliwe, aby wygrała argentyńska drużyna. Ofiarą tego wszystkiego byli gracze tacy jak Lewandowski, któremu Lionel Messi „odebrał” nagrodę w roku, w którym zasługiwał na nią jak nikt inny. A ponieważ nawet jury wiedziało, że decyzja jest niesprawiedliwa, ufundowało Lewandowskiemu nagrodę specjalną i tak samo stało się w tym roku z Norwegiem Erlingiem Haalandem.

ANNA W SWOIM ŻYWIOLIE

Nie wiadomo, czy współczuć naszemu napastnikowi, czy też było do przewidzenia, że w katalońskim krajobrazie nieco się rozleniwi lub spadnie mu forma w klubie, który bez przerwy przeżywa jakieś problemy korupcyjne lub wizerunkowe.

Od początku towarzyszył mu mały pech, bo w 2022 r., zaraz po przybyciu do Barcelony, w chwili, gdy rozdawał autografy, skradziono mu zegarek Patek Philippe. Odzyskał jednak swoją własność wartą 70 tys. euro dzięki policji.

W przeciwieństwie do męża Anna Lewandowska od samego początku czuje się w Katalonii jak w swoim żywiole. Niektórzy Hiszpanie snuli nawet domysły, że Polak zdecydował się na ten klub ze względu na upór żony. Trzeba przyznać, że angażuje się też w sprawy zawodowe męża, a nawet samego klubu, bo w kryzysowym dla Barcy momencie, gdy trener Xavi ogłosił swoje odejście, wymyśliła nawet wspólny posiłek ekipy piłkarskiej w ich domu. Zdaje się nawet, że w ostatnim czasie więcej jest doniesień o energicznej pani Lewandowskiej, i to nawet w prasie sportowej.

W „Mundo Deportivo” czytamy więc typowy artykuł o rodzinie Lewandowskich, który może interesować jedynie czytelników portali plotkarskich: „Polska para jest zakochana w życiu w Barcelonie. Oboje doskonale zaadaptowali się do miasta, ciepła ludzi, śródziemnomorskiego klimatu, a wszystko różni się od stylu życia, które prowadzili w Monachium. Kilka miesięcy temu para ujawniła restaurację, w której się zakochała. To »La Papa«. Jak wyjaśniała sama Anna w mediach społecznościowych, to miejsce całkowicie w jej stylu, że »zdrowym i pysznym« jedzeniem oraz »pięknym, minimalistycznym wystrojem«.

POSIADŁOŚCI NA MAJORCE I W SITGES

Prasa jest także na bieżąco, jeśli chodzi o warunki mieszkaniowe i posiadłości Lewandowskich. Dzięki temu wiemy, że nasz kadrowicz już w 2021 r. kupił willę na Majorce o wartości ok. 3,5 mln euro. Z dala od morza, w zacisznym rejonie Calvià. „Diario de Mallorca” donosi, że dom ma powierzchnię 411 m² i stoi na działce o powierzchni 1,2 tys. m². Poza tym swoje willę ma tam większość piłkarzy Bayernu i niemieckiej kadry. Kto zwiedzał całą Majorkę (jak niżej podpisana), ten się już nie dziwi, że kiedyś niemiecki poseł do Bundestagu zaproponował

na forum, aby Niemcy odkupiły wyspę od Hiszpanii, skoro i tak dominują tam mieszkańcy narodowości germańskiej.

Przy okazji lektury internetowego dziennika Majorki można się nawet dowiedzieć, kiedy Lewandowski został ukarany grzywną za nieopłacenie parkingu, co dobrze świadczy o równouprawnieniu w karaniu miejscowych i nieco zamiejscowych celebrytów. Przeglądanie portali plotkarskich o nieruchomościach piłkarzy z Champions League siłą rzeczy prowokuje raczej do zadumy nad światem, który niebawem hojnie premiuje kopaczy piłki. Może się wydawać, że w toku ewolucji *homo sapiens* o zręcznej stopie będzie

W przeciwieństwie do męża Anna Lewandowska od samego początku czuje się w Katalonii jak w swoim żywiole. Niektórzy Hiszpanie snuli nawet domysły, że Polak zdecydował się na ten klub ze względu na upór żony. To właśnie ona wybrała Sitges jako miejsce do życia dla całej rodziny

bardziej pożądanym niż *homo sapiens* o błyskotliwym umyśle i geniuszu.

Dzięki kontraktowi z FC Barcelona państwo Lewandowscy mogli nabyć komfortową willę w katalońskim Sitges, oddalonym od zatłoczonej Barcelony o 35 km, za to jedynie 25 min jazdy od lotniska w El Prat. Miasteczko jest znane z bogatych mieszkańców, pięknych plaż, pól golfowych i międzynarodowych szkół, do których będą uczęszczać córki Lewandowskich: Klara i Laura. Trudno się już polapać w liczbie posiadłości napastnika, bo można przeczytać, że jest też właścicielem apartamentu w Warszawie przy ul. Złotej 44, wartego ok. 35 mln zł, i letniej rezydencji w Stanclewie na War-

mii z własną plażą nad jeziorem Jelmuń. Jednak to kolorowe katalońskie życie wessało Lewandowskich.

To Anna Lewandowska wybrała miejsce do życia w Sitges, choć Hiszpanie kojarzą to miasteczko głównie z plażami wyłącznie dla gejów, nudystów i licznych imprez przeznaczonych dla społeczności LGBT+. Ich luksusowa willa i nowe życie spowodowało wykwit artykułów o zachwycie żony Roberta dla Katalonii i tym, że mieszkańcy „nauczyli ją cenić, że życie jest tylko jedno i trzeba z niego korzystać”. Podobno jej pomysł założenia siłowni i szkoły tańca w Barcelonie jest już realizowany, więc zapewne dla rozgłosu biznesu przydałoby się, aby jej mąż odzyskał formę i znów wkuł się w serca kibiców.

Wbrew temu, co wypisuje polska prasa plotkarska, sugerując, że Hiszpanie są nieustannie zachwyceni polską parą, a zwłaszcza Anną Lewandowską, rzeczywistość nie jest tak różowa. Gdy pytam znajomych Hiszpanów, mówią, że od miesięcy nic się nie mówi o Lewandowskim, a tym bardziej o jego żonie. Konflikt między Katalonią a resztą Hiszpanii od zawsze był obecny także na boisku przy okazji El Clásico, a co powiedzieć zwłaszcza po ostatniej ustawie o amnestii, która jeszcze bardziej konfrontuje Katalończyków z resztą obywateli Hiszpanii. Ponadto trudno o bardziej skorumpowany klub w kraju – jak się niedawno okazało, kupował on sędziów, arbitrów, a jego kolejnym szefem stawiane są zarzuty o defraudację pieniędzy i korupcję. Barcę kochają nie wszyscy

Hiszpanie, lecz kibice regionu Katalonii lub radykalna lewica i separatysty. Anna Lewandowska nie jest też królową serc, a jedną z wielu WAGs, które przewijają się na szpaltach gazet plotkarskich.

Ciekawe, że gdy dziennikarz „EL País” zapytał niedawno Lewandowskiego: „Czy można być świetnym strzelcem i jednocześnie dobrym facetem?”, ten mu odpowiedział: „To trudne pytanie. To zależy od tego, co to znaczy być dobrym facetem. Strzelec nie musi być samolubny, ale musi myśleć samolubnie”. Zresztą polscy kibice, oglądając osiągnięcia Roberta w polskiej kadrze, przekonują się o tym niestety dość często. Ale kto bogatemu i zdolnemu zabroni?



Wśród kwiatów i wierzb



ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

120 lat temu miłośnicy opery pierwszy raz poznali historię 15-letniej Cio Cio San. Czy Giacomo Puccini, czyniąc gejszę główną bohaterką „Madame Butterfly”, wiedział, do takiej tradycji się odnosi?

A co my wiemy o gejszach?

Ciekaw, co usłyszę, zwróciłem się z tym pytaniem do kilku moich znajomych. Wachlarz odpowiedzi był szeroki: od damy do towarzystwa, wysokiej klasy hostessy przez aktorkę i tancerkę po kurtyzanę czy prostytutkę. O ile pierwsze określenia po części odpowiadały rzeczywistości, to te ostatnie były nietrafione... Chociaż zależy, jak na to spojrzeć, ale o tym później.

Obecnie trudno jest spotkać Japończyka, który widział prawdziwe gejsze przy pracy, a co dopiero Polaka. O ile można przypuszczać, że część mieszkańców Kraju Kwitnącej Wiśni doceniłoby jej występ, o tyle dla nas byłby on najprawdopodobniej niezrozumiały i niezbyt interesujący. Wyszkolona gejsza jest szczytowym osiągnięciem japońskiej kultury i zarazem rozrywki. Łączy najbardziej wyrafinowane formy obyczajowe, które przez tysiące lat wypracowała odizolowana wyspiarska cywilizacja. Najlepszym z nich nieobce są tajniki sztuki układania kwiatów – ikebany – oraz ceremonii parze-

nia i picia herbaty – sadō. Perfekcyjnie znają zasady specyficznej etykiety, potrafią dobrać kimono wraz z przebogatymi dodatkami do miesiąca i okoliczności, w jakich obędzie się wydarzenie z ich udziałem. Praktykują kaligrafię przy użyciu pędzla i tuszu, ale nade wszystko są ekspertkami zaczerpniętych z tradycyjnych spektakli teatralnych nō i kabuki, japońskich tańców, śpiewu oraz gry na rodzimych instrumentach muzycznych, choćby shamisenie, przypominającym trzysstrunową gitarę, czy bębenkach tsuzumi.

W języku japońskim określenie „gejsza” składa się z dwóch znaków. Pierwszy z nich oznacza sztukę, zaś drugi wskazuje osobę, którą ją wykonuje. W tłumaczeniu na polski to „człowiek wykonujący sztukę”, artystka, za którą uważa się każda gejsza. Najlepsze z nich, praktykujące w dawnej stolicy cesarstwa Kioto, używają innego określenia dla swojej profesji – „geiko”, „kobieta sztuki”. Tamtejszą odmiennością względem reszty kraju są przede wszystkim maiko – w tłumaczeniu

„kobiety tańca” – gejsze praktykantki. To one, mimo iż nieposiadają pełni umiejętności, dzięki swojej urodzie i młodemu wiekowi są ozdobą oraz jednocześnie znakiem rozpoznawczym całego świata kwiatów i wierzb – w japońskiej symbolice odpowiedników erotyzmu i wdzięku.

DŁUGA DROGA

Mogłoby się wydawać, iż wygodne życie pełne pięknych strojów, kosztownych ozdób, znajomości z możnymi i wpływowymi, umilane prezentami od licznych wielbicieli to atrakcyjny sposób na życie. Jednak niewiele dziewcząt samodzielnie wybierało ścieżkę życiową gejszy.

Kobiety artystki wyodrębniły się w Japonii w połowie XVIII w. jako „sprzedające sztukę, a nie swoje ciało”. Mimo tej zasady zawód gejszy, jako wywodzący się z dzielnic uciech, nie cieszył się renomą w statecznych japońskich rodzinach. Kandydatki na artystki najczęściej trafiały do oki-ya – domów, w których wspólnie żyły wraz z starszymi maiko i geiko, jedną z dwóch głównych dróg – albo po sprzedaniu ich w dzieciństwie przez rodziców niemających środków na utrzymanie, albo się tam rodziły jako córki gejsz. Ładne i utalentowane miały szansę na karierę, a po spłaceniu długów generowanych kosztami utrzymania i szkolenia mogły opuścić wspólny dom i żyć na własną rękę. Na mniej urodziwe i nieuzdolnione czekał los wiecznych służących, niemal niewolnic, bez możliwości ucieczki czy powrotu w rodzinne strony.

666

W przeszłości uważano, iż idealnym wiekiem do rozpoczęcia szkolenia był dzień, w którym dziewczynka kończyła 6 lat, 6 miesięcy i 6 dni... Był on uważany w Japonii za szczęśliwy

ze względu na kombinację cyfr. Początkowo kandydatka wykonywała najcięższe prace domowe i obsługiwała artystkom, zwyczajowo nazywanymi starszymi siostrami, z którymi mieszkala w oki-ya. Ta wyczerpująca i często poniżająca praca miała sprawdzić siłę woli nowicjuszek. Jeżeli rokowania były pozytywne, zaczynała uczęszczać na lekcje tańca, śpiewu i gry. W zależności od urody kładziono różny nacisk na naukę obsługi konkretnych instrumentów. Ładniejsze kierowano do klas shamisen, bo grało się na nim solo przed publicznością, a gejsze obsługujące bębny stanowiły jedynie tło zarówno w strefie dźwiękowej, jak i wizualnej.

Wraz z postępami i pokonywaniem egzaminów adeptka była zwalniana z pełnienia obowiązków domowych i tym samym z shikomi (kandydatki) awansowała na minarai – obserwatorkę. Na tym etapie wraz z maiko i geiko uczestniczyła w przyjęciach ozashiki, ale jej zadaniem było stanie z boku i przyswajanie wiedzy. Po kilku miesiącach i zdaniu kolejnego egzaminu z tańca zostawała początkującą maiko. W świat przyjęć w ekskluzywnych herbaciarniach ocha-ya każdą maiko wprowadzała wybrana przez nią starsza siostra – geiko. Im bardziej utalentowana i piękniejsza geiko, tym więcej maiko pragnęło zostać jej młodszymi siostrami. Im sławniejsza gejsza, tym trudniej było zostać jej podopieczną, bo ta wybierała tylko te najbardziej rokujące na przyszłość.

Porozumienie pomiędzy geiko a stającą się maiko uczennicą pieczętowała uroczystość san-san-kudo, ze względu na przesadność całej społeczności świata kwiatów i wierzb urządzana w dzień odczytywany z horoskopu jako szczęśliwy. Nazwa oznaczająca „trzy razy po trzy – dziewięć razy” odnosi się do punktu kulminacyjnego święta – rytualnej wymiany malutkich czarek z sake pomiędzy maiko a jej starszą siostrą. Obie podają sobie trzy naczynka i każda upija po trzy łyki. Podczas szintoistycznej ceremonii zaślubin mąż i żona dokonują identycznej wymiany i tak jak małżonkowie gejsze łączą się ze sobą na całe życie.

Stając się maiko, dziewczęta przyjmują sceniczne imiona, pod którymi są później znane. Tradycja jest wpłatanie w pseudonim jednego znaku (często odpowiadającego polskiej sylabie) zapożyczonego z imienia starszej siostry. Geiko wprowadzają swoje podopieczne w tajniki zawodu, przedstawiają je swoim stałym klientom i nadzorują ich szkolenie. Co istotne – gejsze stale się doskonaliły – uczęszczały do szkół ikebany, ceremonii herbacianej, tańca i gry na instrumentach przez całą swoją karierę.

Od dobrych stosunków ze starszą siostrą mogła zależeć kariera maiko. Koneksi mentorki zawsze były szansą pójścia w jej ślady lub nawet jej prześcignięcia. Zysk zawsze był obopólny, bo każda podopieczna była zobligowana do dzielenia się dochodami z opiekunką. Zdarzały się jednak sytuacje, gdy stosunki pomiędzy siostrami z powodu zawiści, zazdrości o urodę młodszej czy zwyczajnej różnicy charakterów na tyle się zaogniły, że maiko musiała, jeżeli było to możliwe, zmienić mentorkę. Częściej jednak adeptka przestawała być maiko, stając się służącą, prostytutką lub martwą. Wszelako takie przypadki należały raczej do rzadkości i po ok. pięciu latach praktyki maiko, stając się geiko, awansowały po raz ostatni.



Geiko grająca na shamisenie

SZATA ZDOBI CZŁOWIEKA

W japońskim świecie niemal wszystko ma swoją symbolikę i swój porządek. Nic nie dzieje się bez przyczyny, a każdy szczegół ma określone znaczenie. Zasady filozoficzne wywodzące się z buddyzmu stawiają na piedestale m.in. harmonię i dążenie do uporządkowania. Strój gejsz, będących esencją wyspiarskiej kultury wysokiej, jest pełen odniesień przede wszystkim do pór roku, a także symboli – dzielnic miasta, przynależności do rodziny czy oki-ya lub konkretnej okazji. Większość, również Japończyków, nie jest w stanie zrozumieć tej subtelnej symboliki, ale koneserzy i stali bywalcy dzielnic kwiatów wybierają bukiety najlepszych win.

Podstawą szaty każdej gejszy jest kimono, do niego są dobrane wszystkie dodatki, tak by uzyskać spójny, dostosowany do okoliczności przekaz, a zarazem ośniewać strojem. Kimono potrafi być też nie lada ciężarem – szyte z najlepszych gatunków jedwabi, ręcznie malowane przez artystów, z których większość, a pozostało już tylko kilku, nosi dumne miano żywego skarbu narodowego, jest niepowtarzalnym dziełem sztuki, które kosztuje stosownie do jakości. Za najpiękniejsze szaty płacono ponad 7 mln jenów, co odpowiada cenie luksusowego auta prosto z salonu. Sumy te najczęściej obciążały budżety oki-ya, bo na takie wydatki mogły sobie pozwolić jedynie najsłynniejsze z gejsz. Ale myśląc o ciężarze kimona, należy rozumieć je również dosłownie.

Wszystkie kimona są szyte w jednym rozmiarze, dopasowuje się je do figury kobiety przez ich odpowiednie składanie. Standardowe kimono wykonane jest z kuponu materiału o nazwie tan o długości 10 m i szerokości 33 cm. Stroje dla gejsz wymagają podwójnej ilości materii, a zimowe kimona artystek potrójnej! Kompletny ubiór gejszy – kimono, cieńsze kimono wkładane pod spód, bluzko-halka, pas obi, szarfa na pas, kłamra wraz z innymi dodatkami – waży ok. 20 kg, niemal połowę wagi maiko! Jednym z ważniejszych elementów szkolenia artystek jest nauka swobodnego poruszania się w tych strojach.

Najczytelniejszą informacją wysyłaną za pomocą kimona jest pozycja noszącej je kobiety w świecie kwiatów i wierzb. Stroje maiko są znacznie bardziej kolorowe i wzorzyste, opasujące je pasy obi zdecydowanie dłuższe, z końcówkami zwisającymi niemal do samej ziemi. Sprawą honoru jest, by węzeł pasa gejszy zawsze był zawiązany na jej plecach przez pomocnika, najlepiej wyspecjalizowanego garderobianego. Historycznie ten szczegół na pierwszy rzut oka odróżniał je od prostytutek, które węzły miały zawsze z przodu – co ułatwiało ich samodzielne i szybkie zawiązywanie oraz rozwiązywanie w zależności od potrzeby chwili.

Twarze maiko zawsze są pokryte białym pudrem, a ich szyje okala czerwony kołnierz, przszyty do spodniego kimona i uformowany tak, by odsłaniać dwa lub trzy pasy nieupudrowanego ciała na karku. Dla Japończyków są one odpowiednikiem dekoltu.

Geiko noszą kimona w bardziej stonowanej kolorystyce, okolone białymi kołnierzami, a puder na twarze

z reguły nakładają do trzydziestki. Wysokie drewniaki okobo zamieniają na sandały zori albo chodaki geta, a końcówka pasa obi jest formowana w kwadratowe „pudełko” i już nie zwisa luźno niczym ogon. Ponadto w odróżnieniu od pełnoprawnych gejsz praktykantki szminkują jedynie dolną wargę i mają mniejszy repertuar fryzur. Z kolei geiko zamiast układać włosy, raczej korzystają z usług rzemieślników dostarczających im peruki na różne okazje.

WYSZUKANY LUKSUS

Jedynym zagrożeniem branym na poważnie przez właścicielki oki-ya, nazywanymi okasan (matka), byłogień. Szerokie znajomości z możnymi i wpływowymi, bo tylko tacy mogli sobie pozwolić na korzystanie z usług ich „córek”, praktycznie zawsze umożliwiały rozwiązywanie bardziej przyziemnych problemów. Jednak pożar w luksusowej dzielnicy kwiatów,

Maiko niemal zmiatając chodniki końcówkami pasów obi, przemierzają jedną z uliczek w Kioto



gdzie do dziś wszystkie budynki są budowane z drewna, był prawdziwym kataklizmem. Płomienie pożarły niejedną fortunę ulokowaną w kunsztownych strojach, najczęściej należących do oki-ya i jedynie wypożyczanych mieszkającym w nich gejszom.

Świat kwiatów i wierzb mógł funkcjonować jedynie dzięki jego bywalcom, którzy swoją hojnością bilansowali ogromne koszty jego istnienia. Nie wystarczyło być niezmiernie bogatym, by zostać wpuszczonym do tego zamkniętego świata. Idealnym klientem był syn znanego już gejszom możnego pana, powoli wprowadzany w restrykcyjne zwyczaje panujące podczas przyjęć ozashiki. Nawet jeżeli dzięki pieniądзом udało się złamać zasadę „żadnych nowych twarzy” i nierekomendowany przez nikogo bogacz uzyskiwał dostęp do pokazów gejsz, to bez odpowiedniej ogłady, wrażliwości na specyficzną estetykę i znajomości wysokiej kultury nie potrafił on docenić tego, czego doświadczał.

Luksus wewnątrz herbaciarni ocha-ya nie przejawiał się w kąpiącym zewsząd złocie, a w doborze najwyższych jakości materiałów, dopasowaniu kunsztownych kaligrafii mistrzów do kompozycji kwiatowych w zdobiącej pomieszczenie wnęce tokonoma. Samo przebywanie w towarzystwie gejsz było postrzegane jako niezwykle prestiżowe i świadczyło o statusie społecznym mężczyzny. Bez koniecznej ogłady kulturowej taniec geiko był postrzegany przez nowobogackich jako nieharmonijny, a śpiew drażnił ich nieprzywykłe do niego uszy. Co prawda humor podczas ozashiki nigdy nie należał do wyszukanych i był co najwyżej dwuznaczny, gry towarzyskie w stylu „papier, kamień i nożyce”, a konwersacje niezwykle banalne, ale dzięki hojnie dolewanej przez gejsze ciepłej sake goście nie mieli powodów do narzekania.

Czy taka rozrywka była warta kosmicznych rachunków regulowanych na koniec miesiąca? Jak obecnie polo czy regaty żeglarskie nie są rozrywką dla mas, tak ozashiki też nie odpowiadały wszystkim, którzy mogli sobie na nie pozwolić. Bogaci kupcy odwiedzający ocha-ya w czasach feudalnej Japonii wiedzieli, że panujący szogunat chciwie zerkał na ich rosnące fortuny. Wystarczyłoby jedno słowo władcy, by ich majątki zostały skonfiskowane pod byle pretekstem. Mając to w tyle głowy, woleli przepuszczać znaczną część zysków, dobrze się bawiąc, niż i tak wszystko stracić, nie dostając nic w zamian.

TABU PO JAPOŃSKU

W 1957 r. w Japonii przyjęto ustawę zakazującą prostytucji. Teoretycznie nie powinno mieć to żadnego znaczenia dla świata gejsz, a jednak wiele zmieniło. W Japonii wszystko jest bardziej... To, co my uważamy za obsceniczne, tam może być podstawą teleturnieju, co dla nas brutalne, dla Japończyków bywa normalne. To, co byśmy nazwali prostytutką, w dzielnicach kwiatów było rytuałem mizuage.

Wiele gejsz, szczególnie najpiękniejszych, było obejmowanych patronatem przez bogatych mężczyzn. Danna, bo taki tytuł im przysługiwał, opłacali większość wydatków artystek i obsypywali je prezentami, zyskując w zamian pierwszeństwo wśród ich klientów. Nadal musieli opłacać spędzany z nimi czas, a także dostęp, bez możliwości przymusu, do innego rodzaju usług świadczonych przez młode kobiety.

Danna miał też prawo do przeprowadzenia rytuału mizuage ze swoją podopieczną, czyli do jej defloracji, gdy ta osiągała wiek minimum 13 lat. Jeżeli maiko jeszcze nie miała swojego danna, organizowano aukcje, których zwycięzca zostawał mizuage danna – patronem na jedną noc.

Po 1957 r. praktyka ta została formalnie zakazana i od tej pory życie seksualne gejsz zależało wyłącznie od nich samych.

Po przegranej II wojnie światowej Japonia znalazła się pod okupacją Stanów Zjednoczonych. Szalejące bezrobocie zmusiło tysiące młodych Japonek do prostytucji. Korzystającym z ich usług Amerykanom najczęściej przedstawiały się jako gejsze, a dla ich klientów nie miało to żadnego znaczenia, bo o japońskiej kulturze nie wiedzieli nic. Ale opuszczając Kraj Kwitnącej Wiśni, rozpowszechniali bajki o gejszach, które podobno zdobyły.



SKANDALICZNY KONIEC HISTORII

Gejsze nieubłagane przechodzą do historii, a wraz z nimi cała ich otoczką. Dawniej w Kioto prężnie działało i konkurowało ze sobą pięć hanamachi – dzielnic kwiatów. Dziś pozostała jedna, dotowana przez państwo jako element dziedzictwa narodowego – najsłynniejsza Gion.

Coraz mniej dziewcząt postanawia zostać maiko. Obecnie rozpoczęcie szkolenia jest możliwe po ukończeniu szkoły podstawowej, ale lata nauki zawodu gejszy nie przekładają się na uznawane przez państwo wykształcenie. Z tego powodu większość kobiet po zakończeniu etapu fascynacji byciem maiko wybiera ścieżkę prowadzącą ku studiom i nie zostaje geiko. Ponadto współcześni Japończycy nie szukają tak wyrafinowanych rozrywek – ocha-ya świecą pustkami.

Najsłynniejsza gejsza, urodzona w 1949 r. Iwasaki Mineko, zakończyła karierę u jej szczytu w wieku 29 lat. Jej wspomnienia spisał i opublikował pod tytułem „Wyznania gejszy” amerykański pisarz Arthur Golden. Książka rozsławiła ją na cały świat, ale też wywołała skandal. Autor nie dotrzymał słowa i nie opisał historii w sposób niepozwalający na identyfikację geiko, która opowiedziała mu swoją historię, a ponadto publicznie ujawnił kwotę, jaka miała być zapłacona za jej mizuage – 850 tys. dol. Iwasaki wszystkiemu zaprzeczyła i oskarżyła go o zniesławienie. Sprawa zakończyła się zawarciem ugody sądowej w 2003 r.

Iwasaki dała odpór książce Goldena, publikując „Gejszę z Gion” – własną wersję wspomnień. Lektura obu pozycji umożliwia głębokie wejście w świat kwiatów i wierzb, widziany z dwóch różnych punktów widzenia.



Gdańskie dzwony wracają do domu



Dzwony odlane przez ludwisarzy nad Motławą w 1733 i 1758 r. wrócą do kościoła pw. Bożego Ciała w Gdańsku. W czasie wojny, zgodnie z rozporządzeniem Hermanna Göringa z 15 marca 1940 r., trafiły do Niemiec. Przed przetopieniem na potrzeby armii uratowała je wysoka wartość historyczna

W tej historii jest wszystko. Skomplikowane polsko-niemieckie relacje. Arcytrudne do zrozumienia poczucie lokalnej, historycznej tożsamości. Są też przygnębiające losy zabytków sakralnych, które w wielu miejscach na świecie straciły swój religijny charakter.

Jest i pasja, która napędza do działania w obronie starego świata, by choć trochę go jeszcze ochronić. Dla nas i dla tych, którzy przyjdą później. Jest też, a jakże, miłość. Do domu. Do miejsca, w którym się wzrastało. Jest duma z dziedzictwa. Niełatwego i dalekiego od czarno-białych klisz.

ŁUDZIE, MIASTO, HISTORIA

Dzwony są czymś niezwykle istotnym dla każdej świątyni. Dawniej ostrzegały przed wrogią armią. Alarmowały, że w mieście rozprzestrzenił się pożar i trzeba szukać schronienia. Przede wszystkim jednak wzywały do modlitwy. Stanowiły i wciąż stanowią wezwa-

nie dla wiernych. Są zarówno „głosem Boga”, jak i symbolem uwielbienia, wszak dzwonią na jego cześć.

Także ta ostatnia funkcja zdecydowała o tym, że dzwony po ponad 80 latach wrócą do świątyni w Gdańsku. Tu wciąż jest ktoś, kto chce się modlić. Wrócą do miejsca, dla którego zostały zaprojektowane. Ich los zasługuje na chwilę uwagi. Przynajmniej te jego fragmenty, które znamy i możemy opowiedzieć.

„Proszę napisać, że one powstały wówczas, kiedy Gdańsk należał jeszcze do Korony. Do Rzeczypospolitej. To ważne” – mówi zdecydowanym głosem prof. Janusz Jaśkiewicz, prezes Stowarzyszenia Pielęgnowania Tradycji Dworu Artusa.

To jeden z głównych bohaterów tej historii. Na co dzień bardzo zapracowany człowiek. Słynny, nie tylko na Pomorzu, chirurg onkolog. 14 lat temu pisały o nim niemal wszystkie media w kraju. Dokonał przełomowej operacji, pobierając komórki macierzyste z fałd tłuszczu pacjentki, po czym



ARTUR CEYROWSKI

poddał je obróbce w specjalnym aparacie i wszczepił w miejsce po usuniętej piersi.

WCIAŻ AKTYWNY ZAWODOWO

Zastaję go w podróży. Grzecznie tłumaczy, że niestety nie ma czasu i nie może rozmawiać. Później, kiedy delikatnie udaje się musnąć jego wielką historyczną pasję, zaczyna opowiadać. Szczęśliwie zapomina o tym, że się spieszy. Mówi o Gdańsku, rozbiorach, Prusach i historii swojego miasta. Wyczuwam delikatną irytację w jego głosie, gdy wspomina o przekłamaniach i nieścisłościach w tekstach innych dziennikarzy, którzy podjęli ten temat. Zależy mu na tym, żeby mówić uczciwie, zgodnie z faktami.

Kiedy snuje swoją opowieść, brzmi tak, jakby na co dzień siedział nad średniowiecznymi starodrukami na wydziale historii Uniwersytetu Gdańskiego, a nie operował skalpelem w pomorskich klinikach.

„Te dzwony powstały w czasie, gdy Gdańsk był absolutnie zrośnięty z Polską. Był związany z Koroną. Z Rzeczpospolitą. To są dzwony, które gdańscy ludwisarze odlali jeszcze przed rozbiorami. Nikt nie może powiedzieć, że tamten Gdańsk był niemiecki. Współpracował z Koroną. Nie było wówczas mowy o żadnym niemieckim czy pruskim mieście, bo to było miejsce połączone z Polską. To jest jedna z najważniejszych rzeczy, którą chciałbym powiedzieć” – zaznacza.

Zacząłem tę historię od niego, bo to właśnie prof. Jaśkiewicz z Gdańska i prof. Jörg Linowitzki z Lubeki zainicjowali wspólny projekt, którego szczęśliwy finał nastąpi w maju br. Obaj panowie po wizycie w Kościele Bożego Ciała w Gdańsku uznali, że te „dzwony muszą bić tam, gdzie były od wieków”.

Prof. Linowitzki na co dzień pracuje w „Domu Hanzeatyckiego Miasta Gdańska” w Lubece. Nie ma tu przypadku, bo to właśnie od tego miasta uciekła ogromna liczba niemieckojęzycznych mieszkańców Gdańska po 1945 r. Dziś wciąż pielęgnuje się tu pamięć o przeszłości miasta, które w swojej historii było pograniczem trzech

kultur, polskiej, pomorskiej i pruskiej.

O grodzie nad Motławą i o jego historii profesor opowiada tak, że nikt nie może mieć wątpliwości, jak ważne to dla niego miejsce.

„Jestem bardzo szczęśliwy, bo to naprawdę świetny pomysł, aby dać te historyczne dzwony Gdańskowi” – mówi podekscytowany.

Jest i trzeci bohater tej historii. To ks. Rafał Michalak, proboszcz parafii Kościoła pw. Bożego Ciała, który stoi u stóp gdańskiej Góry Gradowej. Opowiada o niecodziennym prezencie z Niemiec z wielkim przejęciem. Planuje już remont wieży, na którą wrócą dzwony.

– Trzeba sprawdzić, czy wytrzyma tak duże obciążenie. Ponad 80 lat stała pusta, tam jest trochę takich elementów, które mnie niepokoją. Jest zbudowana z drewna i jedynie obłożona ceglami. Zanim umieścimy dzwon z powrotem na dzwonnicy, będziemy musieli przeprowadzić dokładne badania, aby mieć pewność, że nie uszkodzimy jej konstrukcji” – opisuje.

Ks. Michalak odpowiada mi pokrótce o tym, jak trafił do Gdańska. Odnoszę wrażenie, że jego niełatwy życiorys pomógł mu lepiej zrozumieć miasto, w którym polskie i niemieckie dziedzictwo jest ważną częścią lokalnej tożsamości.

U STÓP GÓRY GRADOWEJ

Świątynia, w której ks. Michalak jest proboszczem, ma niezwykle bogatą i ciekawą historię. Oryginalnie była częścią zespołu szpitalnego, w którym mieścił się zakład dla trędowatych, później był tu przytułek dla ludzi odrzuconych przez społeczeństwo. To tu trafiali wszyscy ci, którzy nie mieli nikogo i nie mieli się gdzie podziać. Starzy. Schorowani. Samotni.

Większość historyków zgadza się, że kościół powstał w 1350 r., a pierwszy opis szpitala i kaplicy pochodzi z 1395 r.

Na początku swojego istnienia parafia pw. Bożego Ciała była kościołem filialnym położonej niedaleko parafii Mariackiej. Gotycką kaplicę szpitalną rozbudowano pod koniec XV w. i od tego czasu funkcjonuje ona jako prezbiterium. Pierwszym źródłem pisa-

nym, które wspomina o tej świątyni, są akta beatyfikacyjne Doroty Schwartz, stygmatyczki i błogosławionej Kościoła katolickiego, którą w Niemczech uznaje się za świętą.

Ona była pierwowzorem postaci Aldony, którą Mickiewicz opisał w „Konradzie Wallenrodzie”, a do legendy – według historyków niezgodnej z prawdą – przeszła jako ta, która kazała się zamurować w pustelni. Pewne jest natomiast to, że to właśnie tu Dorota Schwartz przychodziła na adorację Najświętszego Sakramentu.

Świątynia była wówczas kaplicą przyszpitalną. Powstała jako kościół rzymskokatolicki, a później do 1945 r. służyła gdańskim ewangelikom. Dziś jest świątynią parafialną Kościoła polskokatolickiego.

Opisując tę parafię, „Dziennik Bałtycki” przypomina, że kościół pw. Bożego Ciała to jedna z dwóch świątyń w Gdańsku, które miały niezwykle szczęście i nie zostały zniszczone podczas wojny (druga taka parafia to kościół pw. Świętego Mikołaja). W czasie wojennej zawieruchy nie udało się uratować jedynie witraży.

Dzwony z tej świątyni, podobnie jak tysiące innych z całej Polski, w latach 1940–1941 trafiły do Niemiec. Mały dzwon z 1733 r. i średni dzwon z 1758 r., odlane w Gdańsku, od 2008 r. stoją na dziedzińcu muzeum w Lubece, wraz z dużym dzwonem odlanym 20 maja 1733 r. również w Gdańsku. Ten ostatni pochodził z zabytkowego kościoła ewangelickiego w Wocławach (do XVI w. rzymskokatolickiego), który został zniszczony w 1945 r.

Wkrótce wszystkie trzy po ponad 80 latach wrócą do Polski. Umowę podsumowującą akt darowizny podpisali 5 marca 2024 r. bp Bosse-Huber, ks. dr Michalak i abp dr Wojda. Dokument przewiduje, że gdańskie dzwony wrócą do domu 15 maja 2024 r.

Wrócą, bo są częścią tego miejsca i tu ich głos wciąż stanowi *sacrum*. Dla wielu religijnych wspólnot wciąż jest wezwaniem do tego, aby pamiętać o tym, że jest coś ponad nami.

Wszak „Wykuwała nas z brązu wieczność. / Twarde dźwięki słodkie dla ucha, / Ale ranią Bogiem i miażdżą. / Każdego kto się zaslucha”.

Zofia, matka królów

Pamiętamy ją jako opozycjonistkę Michelle w serialu „Stulecie Winnych”, kojarzymy z Ewą z „Leśniczówki”. W „Koronie królów. Jagiellonach” zagrała postać, bez której nie byłoby najsłynniejszej polskiej dynastii. Oto Sonka, która stała się Zofią, matką królów

*Z aktorką **Marią Pawłowską** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Michelle, Ewa, Zofia? Do której z tych ekranowych postaci dziś pani najbliższej?

Maria Pawłowska: Zdecydowanie do Zofii. Królowej Zofii. To moje najświeższe i zarazem najmocniejsze aktorskie doświadczenie. Chociaż bardzo lubię Sonkę Holszańską, czyli młodzieńczą wersję Zofii [takie imię przyjęła podczas chrztu poprzedzającego jej ślub z Władysławem Jagiełłą w 1422 r. – przyp. red.], to od wielu miesięcy bliżej mi do bogatszej o życiowe doświadczenia czwartej żony polskiego władcy. Matki królów Władysława III Warneńczyka i Kazimierza IV Jagiellończyka.

Jak na kobietę w tamtych czasach, Zofia przeżyła wiele lat (urodzona ok. 1405 r., koronowana w 1424 r., zmarła w 1461 r.). Najwięcej spośród żon Władysława Jagiełły. Rola rozpisana na prawie cztery dekady to dla aktorki zapewne spore wyzwanie?

I wielka zawodowa radość oraz satysfakcja. Niezwykle pomocne przy tej produkcji okazały się doświadczenia zdobyte na planie czwartego sezonu serialu „Stulecie Winnych”. Zagrałam w nim Michelle, dziewczynę urodzoną i wychowaną we Francji, która przyjeżdża do Polski, kraju swojego ojca, w czasie politycznego przełomu. Rozgrywane się tu wydarzenia w dramatyczny sposób wpływają także na jej życie.

Co łączy Michelle i Zofię?

Przy „Stuleciu Winnych” nowością było dla mnie, że bohaterka na końcu sezonu jest starsza o dekadę od postaci z pierwszego odcinka. W emitowanym właśnie sezonie „Korony królów. Jagiellonów” akcja obejmuje ok. 20 lat. I to było wyzwanie – zróżnicować przebieg życia bohaterki. Zupełnie innej, gdy ma 16 lat, czyli jest prawie o połowę młodsza ode mnie prywatnie, i w późniejszym czasie, gdy dojrzała jako kobieta i kiedy los bardzo ją doświadcza. Dodatkowo przy 125 odcinkach i tempie realizacji z przepływem czasu bywa różnie. Niekiedy akcja kilku części rozgrywa się w podobnym

momencie, a potem następuje przeskok czasowy. Trzeba się do tego przyzwyczaić.

W takim rytmie pewnie trudniej buduje się rolę?

W „Koronie królów...” wszystko dzieje się bardzo szybko. Pracujemy nad wieloma odcinkami jednocześnie. Pod koniec zdjęć zdarzało się, że jednego dnia gralam Zofię np. z 30 odcinka i po kilku godzinach np. z 100. Gdy realizując jedno zdjęcie, już się przygotowujemy do kolejnych, czytamy scenariusze i uczymy następnych kwestii, niekiedy bardzo od siebie oddległych, nielato wejść w postać. Na szczęście na planie aktor nie jest sam. Są reżyserzy czuwający nad całością i koledzy aktorzy, którzy w opowiadanej historii i pokazywanych realiach są znacznie dłużej.

Skoro o realiach mowa. Jak – przyjeżdżając na plan ze współczesnego świata, grając równolegle w serialu „Leśniczówka” – budowała pani postać Zofii?

Przed rozpoczęciem zdjęć miałam trochę przestrzeni, by poznać bohaterkę i jej otoczenie, m.in. dzięki lekturze książek autorstwa konsultantki historycznej naszego serialu i badaczki życia Zofii Holszańskiej. Poza tym każdy dzień zdjęciowy zaczyna się od charakteryzacji, która trwa minimum godzinę. To jest czas, by się mentalnie przestawić. A kiedy dochodzi jeszcze historyczny strój, w ciele pojawiają się pewne odruchy. Nie bez powodu mówi się o wejściu w buty postaci, chociaż akurat w tym serialu buty pod suknią miałam dosyć współczesne. Takie, które dodawały mi trochę wzrostu.

Czy przy okazji tej roli nauczyła się pani czegoś szczególnego?

Dzięki Sonce poznałam sztukę... rzucania nożami. Musiałam też poćwiczyć historyczną jazdę konną. Z wódzami trzymanymi tylko lewą ręką i bez angielzowania w klusie. Trzeba się było bardzo pilnować, by uniknąć unoszenia w siodle. Jeździłam konno w gimnazjum, miałam też zajęcia w ramach studiów w warszawskiej Akademii Teatralnej, ale upłynęło od nich trochę czasu.

Oczywiście konie, które z nami pracowały, były specjalnie szkolone i wręcz genialne. Jak słyszały komendę: „Kamera! Akcja!”, same ruszały. Trudno jednak pozbyć się dawnych odruchów, w tym „jeżdżenia na dwie ręce”, które wydaje się zdecydowanie bezpieczniejsze. Na planie „Korony królów...” też po raz pierwszy w życiu galopowałam. Okazało się, że historyczny strój bardzo w tym pomaga. Mocno dociąża i zmienia nieco środek ciężkości, dzięki czemu w czasie galopu nie wyrzuca tak z siodła.

Które sceny, miejsca, najpełniej wprowadzały panią w historyczny klimat, przybliżały do postaci?

Cały początek, młodość Sonki, jeszcze sprzed ślubu. Pozwoliły mi poczuć bohaterkę, zrozumieć, skąd wzięła się jej energia. Dzięki temu nawet wiele odcinków później, gdy pojawiały się zawirowania w życiu Zofii, mogłam się do tamtej bazy odwoływać, czerpać z niej.

Czy któryś z wątków był dla pani szczególnie wymagający, poruszający?

Czas, gdy w życiu królowej Zofii zaczyna się źle dziać – śmierć matki, śmierć małego Kazimierza, później oskarżenia o zdradę... To było kilkanaście mrocznych odcinków. Kiedy gra się takie trudne emocjonalnie sceny, zupełnie inaczej się żyje z postacią. Potem w scenariuszu nadszedł moment śmierci Władysława Jagielly, a po nim czas bezwładcy, kiedy sytuacja królowej diametralnie się zmienia. Zofia musi pokazać swoje całkiem nowe oblicze,



zawalczyć o to, by jej synowie zasiedli na tronie. Te trzy fabularne „filary” pozwoliły mi na aktorską „nawigację” w życiu bohaterki.

Wspomniała pani dramatyczne sytuacje, które przeżywała królowa Zofia.

Takie sceny najmocniej we mnie zapadają. Śmierć małego Kazimierza, pożegnanie dziecka w kaplicy... To sceny graniczne, związane z wielką stratą i bólem. Zostają ze mną na bardzo długo.

Im dalej w historię królowej, tym trudnych doświadczeń będzie więcej. Dużo wyzwań przed panią?

Bardzo na nie liczę, rozpoczynając właśnie zdjęcia do kolejnego sezonu „Korony królów. Jagiellonów”. Królowa Zofia będzie w nich miała znacznie więcej do powiedzenia.

Tymczasem my śledzimy jeszcze wydarzenia obecnie emitowanego sezonu. Spytań więc, jakie to uczucie, w zupełnie innych realiach spotkać... ukochanego dziadka Władka ze „Stulecia Winnych” albo niesforemego Roberta z „Leśniczówki”?

Mocno surrealistyczne. Zwłaszcza w scenach z Przemkiem Stippą, który w „Koronie królów...” gra biskupa, a potem abp. Zbigniewa Oleśnickiego. Pamiętam tydzień w lipcu, kiedy – komasując zdjęcia w rozgrywającej się współcześnie „Leśniczówce” – mieliśmy bardzo dużo wspólnych scen z serialowym Robertem, a następnego dnia jechałam na plan „Korony królów...” i cały dzień grałam z Przemkiem jako bp. Oleśnickim. Było to zarazem dziwne i fantastyczne. Bardzo lubię w aktorstwie ten stan (gdy intensywnie się pracuje) oderwania od rzeczywistości. Zaczyna się przebywać w innej czasoprzestrzeni. Normalne życie płynie gdzieś obok, a mózg jest tak skolowany filmowymi czy serialowymi bodźcami, że ma się trochę poczucie, jakby to był sen. I koniec końców jak przy śnie, kiedyś przychodzi przebudzenie. I zostają tylko wspomnienia.

Na przykład przywoływanego już dziadka Władka.

To trochę inna sytuacja. Z Arkadiuszem Janiczkiem, który w „Stuleciu Winnych” wcielał się w ukochanego dziadka Michelle, nie mamy wspólnych scen w „Leśniczówce” (tu gra prawnika Artura Krawczyka). Poza tym w „Stuleciu Winnych”, podobnie jak w „Koronie królów...” (gdzie wciela się w bp. krakowskiego, a potem abp. gnieźnieńskiego Wojciecha Jastrzębca), jest mocno postarzany. Trudniej mi więc patrzeć na niego, gdy spotykamy się gdzieś prywatnie. Nie wierzę trochę w Arka bez charakterystyki [uśmiech].

We wspomnianym „Stuleciu Winnych” zagrała pani postać bliską z powodów prywatnych.

Mój tata jest naukowcem fizykiem i kiedy dostał kontrakt w instytucie pod Paryżem, przenieśliśmy się tam całą rodziną. Na trzy lata. To było coś wspaniałego. Chodziliśmy tam z bratem do szkoły, dzięki czemu mówię po francusku i akcent Michelle nie był mi obcy. Poza tym spora część dalszej rodziny wyemigrowała do Francji w ub.w. Obserwując ich, łatwiej mogłam zrozumieć Michelle, wychowaną za granicą, ale mówiącą po polsku, związaną z polską tradycją i kulturą.

Rodzice fizycy, jeden z braci studiuje medycynę, drugi kończy informatykę. Co sprawiło, że pani wybrała aktorstwo?

Rzeczywiście nasza rodzina – jeśli chodzi o wykonywane zawody – składa się z umysłów ścisłych albo – jak brat mojego dziadka – dochodzi do tytułu profesora entomologii. Ale jest to też rodzina artystyczna i humanistyczna. Babcia Irena, z wykształcenia geolog, jest wybitną znawczynią francuskiego. Tłumaczyła książki. Dziadek – elektronik – całe dzieciństwo grał na skrzypcach i w pewnym momencie zrobił sobie skrzypce elektryczne. Tata też grał na różnych instrumentach. We Francji uczyliśmy się z bratem gry na pianinie. Moja druga babcia, Barbara, z zawodu ekonomistka, była obdarzona talentem narracyjnym. Opowiadając przeróżne historie, znakomicie je „podgrywała”. Myślę, że dzięki niej zostałam aktorką. Poza tym mam za sobą osiem lat szkoły baletowej. Później odkryłam też inne taneczne style. Kontakty z muzyką i tańcem dały mi bazę, zakres umiejętności i ruchu, które w aktorstwie są podstawą.

A co zaprowadziło panią w 2019 r. na scenę 56. Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu?

Miłość do piosenki. Po dyplomie grałam w kilku spektaklach muzycznych i chciałam do tego wrócić. A do Opola pojechałam z utworem „Peruwianka”, który wcześniej wykonywała Iga Cembrzyńska. Pierwszy raz śpiewałam wtedy z orkiestrą w pełnym składzie. Niesamowite uczucie i świetne doświadczenie. Chętnie bym je powtórzyła.

Na razie, można powiedzieć, żyje pani w kilku medialnych czasoprzestrzeniach. Z jednej strony „Korona królów...”, z drugiej „Leśniczówka”, a także swobodnie porusza się pani w social mediach.

To w dużej mierze zasługa mojego męża (Michała Poznańskiego), który z wykształcenia jest aktorem (razem studiowaliśmy), ale już na czwartym roku zaczął robić filmiki na YouTube, również animowane. Kanał, który wtedy stworzyliśmy, to jego wielka praca – nagrywał mnie, montował materiały, ja nie mam takich umiejętności. To był też czas, kiedy podobne projekty tworzyli nieliczni i produkcje niechętnym okiem patrzyły na propozycje realizacji takich nagrań.

Kiedy to było?

Z 10 lat temu, a różnica w podejściu jest ogromna. Teraz na planie „Korony królów...” znalazło się parę osób chętnych do robienia filmików na TikToka, pokazujących kulisy produkcji. I mamy bardzo dobry odbiór.

Zainteresowanych odsyłamy na TikToka, a ja spytań o nadchodzące święta. Uda się spotkać w rodzinnym gronie?

Bardzo na to liczę. Bo kultywując tradycję, traktujemy święta przede wszystkim jako możliwość pobycia ze sobą.

Jaka potrawa jednoczy rodzinę?

Placek po królewsku babci Ireny. Trzy warstwy ciasta przekładane powidłami i kremem z orzechów włoskich (z drzewa, które rośnie obok domu babci). Bywa też wersja z serem. W obu przypadkach placek jest obłany czekoladą z pokruszonymi orzechami na wierzchu. Wygląda i smakuje, zgodnie z nazwą, po królewsku.

A large, close-up portrait of Ernest Bryll, an older man with a grey beard and mustache, wearing black-rimmed glasses and a dark jacket. He is looking directly at the camera with a serious expression. In the background, a professional microphone on a stand is visible, suggesting a recording studio or radio broadcast setting.

Bryll

nasz, narodowy

Odszedł Ernest Bryll – poeta i twórca teatralny, zawieszony między różnymi tradycjami. Obecny w sporach o kształt narodowej literatury, czasem ironizujący, ale mocno zakorzeniony w polskiej glebie. Przekonany, że aby przetrwać, musimy pozostać sobą

Wielu z nas słyszało historię nie-
szczęśliwej miłości irlandzkiego
barda Turlougha O'Carolana,
wędrownego poety i harfisty z XVIII-wiecz-
nej Irlandii, do panny Margaret Brown, która
na jego nieszczęście w 1702 r. poślubiła Theo-
balda, szóstego wicehrabiego Mayo. To prze-
cież Peggy Brown, która nie chciała słuchać
jego przysięg i trzymała daleko od siebie jed-
nego, który, jak twierdził, potrafił ją naprawdę kochać. Nieco
starsi pamiętają ją z „irlandzkiej” płyty zespołu 2 plus 1, a inni
z przeboju Myslovitz z lat 90. Tekst piosenki przełożył Ernest
Bryll, poeta, pisarz, autor widowisk telewizyjnych, redaktor,
kierownik literacki Teatru Telewizji oraz wielu zespołów fil-
mowych, i w końcu dyplomata, który w latach 1991–1995 pełnił
funkcję polskiego ambasadora w Dublinie. Co symboliczne,
zmarł w wigilię dnia św. Patryka w wieku 89 lat.



MACIEJ WALASZCZYK

Choć część swojego życia poświęcił Zie-
lonej Wyspie, wydając m.in. antologię prze-
kładów poezji z XII–XIX w. pt. „Irlandzki
tancerz”, jego twórczość w maksymalnym
stopniu była przesiąknięta naszą, rodzimą
glebą. Mocno i bardzo autentycznie prze-
żywał polskość, szczególnie w swych licz-
nych śpiewograch, będących rodzajem

musicali, widowisk teatralno-muzycznych,
swojskich, raczej wpisujących się w nurt kultury popular-
nej. Ale trzymających wysoki poziom i dopiero dzisiaj, gdy
przyszło nam żyć w czasach powszechnej imitacji wszyst-
kiego, co z zewnątrz, uświadamiamy sobie, że właściwie
nikt nie chce tworzyć czegoś podobnego, a już na pewno
nie ma ochoty wystawiać. „Tu wierzą wciąż, że sąsiad sza-
nuje sąsiada, / Że chleb jest święty, jeszcze świętsza praca”
 („Pieśń Kronika”) – to fragment piosenki, wykonywanej

potem przez wiele lat przez Marka Grechutę, z widowiska „Zagrajcie nam wszystkie srebrne dzwony”, którego tytułową pieśń zaśpiewali Halina Frąckowiak i Stan Borys. Poza nimi zaśpiewali w nim również Maryla Rodowicz z Danielem Olbrychskim czy Jerzy Grunwald, a autorką muzyki była popularna Katarzyna Gaertner. Utwory wpisujące się w 30-lecie PRL doby Gierka – ktoś może próbować to wyśmiewać – brzmią wspaniale, przypominają najlepsze chyba czasy dla polskiej piosenki.

Ernest Bryll to także autor tych najlepszych tekstów. Pod koniec lat 60. był zaangażowany w powołanie do życia grupy beatowej Drumlersi, w której śpiewała wspomniana już Halina Frąckowiak jako Sonia Sulin. Jego teksty wykonywali także: Halina Kunicka, Czesław Niemen, Jerzy Połomski, Łucja Prus czy Skaldowie.

SAMI NIE WIEMY, W JAKĄ TO POLSKĘ WIERZYĆ

Bryll wielokrotnie eksploatował ludową estetykę, stylizując w ten sposób wiele ze swoich dzieł. Tak było np. z widowiskiem „Na szkle malowane”, transformującym motyw Janosika zbójnika, czy z „Balladą wigilijną”. Ale już w grudniu 1980 r. w zupełnie innych okolicznościach w Teatrze Muzycznym w Gdyni odbyła się premiera „Kolędy Nocki”, wyreżyserowanej przez Krzysztofa Bukowskiego z muzyką Wojciecha Trzcińskiego i librettem Brylla. Widowisko powstawało w pewnego rodzaju napięciu, niejako obok cenzury. „Od początku właściwie nie wiadomo było, czy ostatecznie zostanie wystawione, czy też nie. Czasy były pełne ryzyka” – wspominał Bryll, tym bardziej że zbiegło się ze strajkami na Wybrzeżu i powstaniem Solidarności. Do dziś robi ono kapitalne wrażenie, zarówno jeśli chodzi o piosenki, teksty oraz artystów, którzy je zaśpiewali. Występy Teresy Haremzy i Krystyny Prońko śpiewającej „Kolędę o świcie” czy „Psalm stojących w kolejce” są klasyką samą w sobie. „Psalm...” zawierał w choreografii m.in. czytelną aluzję do śmierci Zbyszka Godlewskiego, zastrzelonego w czasie grudniowej masakry na Wybrzeżu w 1970 r. i upamiętnionego w „Balladzie o Janku Wiśniewskim”. Po opadnięciu kurtyny publiczność stała w milczeniu jak zamurowana, a sama pieśń stała się jednym z ówczesnych hymnów Solidarności.

W 1989 r. w czasie kampanii wyborczej do Sejmu kontraktowego kandydatom Komitetu Obywatelskiego towarzyszył utwór „A te skrzydła połamane”, śpiewany przez Danutę Rinn. Charakterystyczna melodia, wpisująca się w jakiś idiom podniosłej polskiej pieśni narodowej, uderzała w naszą czułą

strunę. I do dziś, mimo pokrętnych skojarzeń, wywołuje odruch wzruszenia. Chyba rzadziej zwracano uwagę na jej tekst odmalowujący współczesnych „husarzy”, steranych życiem i codziennością, „z połamanymi skrzydłami” jak garb skrywany „pod płaszczami”.

Moty w ten pojawiał się też w spektaklu „Doświadczyński, czyli sarmacka śpiewogra o szczęściu Nipuanów” z 1979 r., gdy tytułowy bohater oraz jego kompani Kosmaty i Brzuchaty występowali ubrani w pasy słuckie i karabele „poślubione” z garniturem w prążki oraz teczka i beretem. A jednak, jak śpiewała Rinn, skrzydła jeszcze „mogą unieść nas”.

POETYCKI DIALOG Z ROMANTYZMEM

Ale w latach 50. ub.w. wszystko wyglądało zgoła inaczej. Jeszcze w czasach stalinowskich Bryll zaczynał publikować w tygodniku „Po prostu”. Jego pierwotnym kręgiem literackim było środowisko „Współczesności”, które na scenę polskiej literatury wstąpiło po 1956 r., a do którego należeli m.in. Stanisław Grochowiak jako naczelny

pisma, Roman Śliwonik czy Marek Nowakowski. Jak wspominał, kręgowi temu towarzyszyło do pewnego stopnia myślenie norwidowskie.

Andrzej Dobosz wspominał, że to zachęta Brylla, studenta polonistyki, zaprowadziła go na spotkanie Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich, gdzie przypadkowo przyszło mu zrecenzować twórczość występujących tam młodych poetów.

W latach 60. Bryll wstąpił do partii, ale wystąpił z niej w czasie stanu wojennego. W 1978 r. Adam Michnik w tekście „Poeta epoki paskiewiczowskiej” ostro go zaatakował, nazywając pełnym kompleksów „lokajem”, „dworakiem” „eksplebejzusem”. Z kronikarskiego obowiązku trzeba wspomnieć o tych obelgach z końca lat 70., może nawet zrozumiałych, ale dziś nam wszystkim świetnie znanych, bo

powielanych w zupełnie nowych okolicznościach przez jego i podobne mu dzieci stalinizmu. Ernest Bryll wyszedł bowiem z tego wszystkiego obronną ręką, nigdy nie koloryzując swojej przeszłości.

Urodził się w Warszawie 1 marca 1935 r., szkołę średnią ukończył jednak w Gdyni. Potem studiował filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim. Pracę dyplomową napisał pod kierunkiem prof. Jana Kotta. Jego debiutancki tomik pt. „Wigilie wariata” ukazał się w 1958 r. Potem były kolejne, m.in. „Autoportret z bykiem”, „Twarz nie odsłonięta”, „Mazowsze”, „Fraszka na dzień dobry”. Nawiązywał do tradycyjnej formy wiersza – poetyki staropolskiej, plebejskiej poezji

barokowej, studiowania brzydoty, a w konsekwencji dyskusji na temat kondycji polskości i poszukiwana jej formy, a nawet jej skarlania i niedorastania do ideału.

Bryll uprawiał dialog z tradycją romantyczną, był badaczem polskich mitów, mierzącym się z mizérią polskiego społeczeństwa, co dobitnie wyraził w artykule „Wspólnota”, opublikowanym w 1963 r. Wdawał się w polemikę z twórcami z przeszłości – głównie o patriotyzm. Wyjaśniał, że również jego pokolenie zdaje się być „opętane ojczyzną”, ale wpisując się w toczone wtedy ostre debaty na temat „bohaterszczyzny”, zadawał równocześnie pytanie, czy ci, którzy maszerują, „krzycząc Ojczyzna”, wiedzą jeszcze, „jaka” ma ona być, z naciśkiem na „być”. Postulował więc zajęcie postawy pozytywnej, obywatelskiej, nawiązywania do dbającej o państwo poezji renesansowej, co wpisywało się w polityczną i propagandową wizję małej stabilizacji epoki Gomułki.

Bryll to także jego dorobek prozatorski, choć mniej udany. Zaczynał w latach 60., wydając kolejno powieść z wątkiem kryminalnym pt. „Studium”, a potem powieści oraz zbiory opowiadań. Silniejszą wymowę miały natomiast jego utwory sceniczne, utrzymane w dramaturgicznej i literackiej konwencji odwołującej się do romantyzmu. Jedną z najmocniejszych jest sztuka „Rzecz listopadowa” (1968), która stała się pewnym wydarzeniem. Jej osnową są obserwacje przybysza ze świata, który widzi Warszawę w Dzień Zaduszny, miasto będące jednym wielkim cmentarzyskiem, po którym snują się ludzkie masy. Sam autor porównywał to do mitu z „Wesela” Wyspiańskiego, a poniekąd pastiszu Mickiewiczowskich „Dziadów”, po to, by zastanowić się, jak kult martyrologii, swego rodzaju „chocholego tańca”, wpływa na nasz stosunek do historii i współczesności.

Bryll zwracał uwagę, że od pewnego czasu co drugie pokolenie młodzieży umiera w katastrofach historycznych i konieczne jest wyjście z błędnego koła opętania „weselnego” i wzorem Dmowskiego czy Wyspiańskiego z „Wyzwolenia” stworzenia pozytywnej filozofii narodu. Nie brnął w poetykę narodowego bezsensu i rozpacz, ale domagał się narodowej, z ducha norwidowskiej, pozytywnej samoświadomości, dążenia do prawdy o nas samych, prowadzącego do narodowego katharsis. Do dziś jest to koncepcja niezwykle inspirująca i aktualna. Dramat zamyka wiersz „Gościu, który odwiedzasz to miasto”. „Dalem się w życiu nabrać na wiele głupot. W poezji bywałem mądrzejszy niż w życiu. Ale nigdy nie wyrzekłem się niepokornego ducha Warszawy” – mówił Ernest Bryll.

Problematykę narodowej mitologii podejmuje także w dramacie „Kurdesz”, utrzymanym w podobnej konwencji literackiej i dramaturgicznej, inspirowanym dziełami Słowackiego, Wyspiańskiego i Żeromskiego. Wystawienie sztuki w Teatrze Starym w Krakowie wywołało skandal, zdjęcie jej z afisza przez partyjnych notabli i dymisję Zygmunta Hübnera z funkcji dyrektora.

LORICA NIEZDARNA

W latach 80. niemal co roku ukazywały się nowe tomy poezji Brylla, m.in. „A kto się odda w radość”, „Pusta noc”, „List”, „Boże uchroni nas od nienawiści”, „Adwent”, a jego liryki

nosiły mocniejsze religijne piętno. W czasie stanu wojennego Bryll zaprezentował „Wieczernik”, który, wystawiony w kościele przy ul. Żytniej w Warszawie w reżyserii Andrzeja Wajdy z udziałem znakomitych aktorów scen warszawskich, wywoływał wielkie emocje. Choć akcja rozgrywała się po śmierci Chrystusa, a w Wieczerniku przestraszeni apostołowie oczekiwali represji i aresztowań, to polityczny wydźwięk inscenizacji wraz z dziesiątkami aluzji był aż nadto czytelny. Przedstawienie odbywało się właściwie w ruinach kościoła zburzonego w czasie powstania warszawskiego, tego samego, w którego murach od 1925 r. przebywała młoda Helena Kowalska, która wstąpiła wówczas do Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia. Poeta wielokrotnie wspominał, jak pokrętnymi drogami, od owego kościoła przez Irlandię dotarło do niego głoszone przez nią orędzie miłosierdzia Bożego.

W jednym z wywiadów udzielonych w ostatnich latach opowiadał, że jest stara tradycja, którą poznał dzięki tłumaczeniu poezji irlandzkiej, tzw. lorica, a więc zbroja. „To znaczy, że człowiek, gdy rano wstaje, ubiera zbroję na świat” – wyjaśniał. Oczywiście chodzi o modlitwę. W ostatnich latach zostawił więc i taki wiersz:

*Bądź przy mnie teraz – gdy siebie zbieram
Lewa ręka do prawej. Kulawa do żwawej
Noga
Głowa do myśli ścisłej
Niechaj po nocy serce zaterkoce
(„Lorica niezdarne”)*



**Radio 106.2
Warszawa**
dobrze słuchać

**Transmisje liturgii Triduum
Paschalnego**

Msza Krzyżma świętego
Wielki Czwartek, godz. 10.00

Msza Wieczerzy Pańskiej
Wielki Czwartek, godz. 18.00

Liturgia Męki Pańskiej
Wielki Piątek, godz. 18.00

Wigilia Paschalna
Wielka Sobota, godz. 20.00

Reklama | 34/0224/F

Realność duchowości

P przed nami oczekiwanie Wielkiego Czwartku, smutek Wielkiego Piątku, martwota Wielkiej Soboty i radość Wielkiej Niedzieli. Trwa najważniejszy tydzień w roku. Wielki Tydzień.

Człowiekowi żyjącemu rytmem jedynie materialnego świata trudno zrozumieć tę wyjątkowość. Oczywiście jeśli czas Wielkiego Postu katolik wypełnił ascezą, może dużo łatwiej objąć wielkość przemiany wielkanocnego poranka. Świadomie podjęte wyrzeczenie oczyszcza subtelniejsze od rozumu i woli obszary naszych osobowości, tak aby człowiek potrafił pojąć to, co zmysłami jest nie do ogarnięcia. Ale ascezy, choć stanowi ona część każdej poważnej religii, człowiek Zachodu dziś już nie rozumie. Umyka mu bowiem obiektywny wymiar duchowości.

W pewnym momencie swej publicznej działalności Jezus, rozsyłając swych uczniów, powiedział im: „Kiedy wejdziecie do jakiegoś domu, powiedzcie: pokój wam. Jeśli są godni pokoju, zostanie z nimi, jeśli nie są, pokój powróci do was”. Zawsze gdy czytam lub słyszę te słowa, porusza mnie, że Jezus mówi o pokoju jak o czymś wręcz materialnym, namacalnym. Precyzyjnie mówiąc: obiektywnym. Kromkę chleba też można przyjąć, można ją również odrzucić.

Dla pierwszych chrześcijan, dla ludzi średniowiecza, dla świętych sfera duchowa była czymś bardziej realnym od świata materialnego. Dla człowieka nowożytnego już tylko domeną subiektywnego odczucia, a dla człowieka współczesnego w najlepszym wypadku mglistą metaforą, w najcięższych przypadkach – skandalem.

Jednak duchowość, której reguły przyjmowane są dziś przez katolików poprzez wiarę, jest tą samą duchowością, w której obecności przeżywali swą codzienność pierwsi chrześcijanie. Jezus mówił o rzeczywistości duchowej jako o przestrzeni obiektywnej. Wręcz doty-

kalnej. Tak samo jest z wiarą. Wiara może być przekazywana z osoby na osobę.

Anię przywozła jej przyjaciółka, która przez prawie trzy godziny mojej rozmowy z nią siedziała w sąsiednim pokoju, modląc się na różańcu. Ania była w skrajnej rozpacz. W swej wrażliwości nie była w stanie przyjąć, że człowiek żyje jeden raz. Wynikająca z hipotezy reinkarnacji możliwość kilku prób osiągnięcia zbawienia była dla niej łatwiejsza do przyjęcia. Kiedy jednak znajoma, z którą razem wchodziły w hinduistyczną filozofię, po powrocie z Medziugorie powiedziała jej z niezwykle przekonana-

*Dla pierwszych chrześcijan,
dla ludzi średniowiecza,
dla świętych sfera duchowa
była czymś bardziej
realnym od świata
materialnego. Dla człowieka
nowożytnego już tylko
domeną subiektywnego
odczucia, a dla człowieka
współczesnego w najlepszym
wypadku mglistą
metaforą, w najcięższych
przypadkach – skandalem*

niem, że te reinkarnacje to bzdury, Ania straciła grunt pod nogami. Budowany kilkanaście lat światopogląd rozpadł się w pył. Rozbiło ją to całkowicie. Mówiła mi, że nie wie, czy lubi kolor czerwony czy zielony, czy bardziej smakuje jej pomidorowa czy krupnik. Kiedyś, siedząc w poczekalni u dentysty, wzięła do ręki jakieś kobiece czasopismo. W zamieszczonym tam teście psychologicznym mogła równie dobrze zaznaczyć każdą z kilku odpowiedzi.



ROBERT TEKIELI

Rozmawiałem z całkowicie zniszczonym człowiekiem. Wewnętrznie pustym. Z pozbawioną nadziei na normalne życie 35-latką. Na koniec tej naszej rozmowy powiedziałem jej coś, w co głęboko wierzę: jeśli zaufasz komuś, kto może zmienić twoje życie, ono się zmieni. Jeśli powiesz ustami i w sercu, że obierasz Jezusa jako swojego pana i zbawiciela, to on sprawi, że twoje życie nabierze sensu. Będziesz miała męża i dzieci. Bo Ania tak właśnie widziała swoje szczęście. Kiedy to powiedziałem, zaczęła patrzeć mi w oczy. Po minucie zrozumiałem, że jeśli spuścić wzrok uzna, że nie wierzę w to, co powiedziałem. Więc patrzyłem. Ania nie była osobą atrakcyjną w kategoriach pism „Wysokie Obcasy” czy „Cosmopolitan”. A ja po dwóch minutach zobaczyłem w jej oczach gwiazdy. Zobaczyłem ją oczyma Jezusa. Zobaczyłem, że jeśli Bóg miałby wybierać pomiędzy nią a kosmosem, tymi wszystkimi galaktykami, planetami – wybrałby ją. To były najdłuższe trzy minuty w moim życiu. W pewnym momencie jej oczy się zaszkliły i popłynęły łzy. Ania uwierzyła mi, że wierzę, iż może mieć szczęśliwe życie. Podzieliłem się swoją wiarą z drugą osobą. Jak chlebem. Być może była to najważniejsza rzecz, którą w życiu zrobiłem. Dziś Ania ma męża i dzieci. Wiara jak chleb. Jak nadzieja, jak miłość, jak pokój.

Może być Wrażliwy twardziel, najemnik ratujący dziecko – „Tyler Rake 2” to film, którego akcja toczy się w takim tempie, że właściwie wszystko inne przestaje być istotne. Jest jeszcze bardziej, więcej, szybciej niż w jedynce zatytułowanej „Tyler Rake: Ocalenie”. Helikopter, pędzący pociąg, samochody, więzienie, ulica. Wszędzie trwa walka, zabijanie za pomocą każdej dostępnej broni i nie-broni. Chris Hemsworth płonie, skacze, biega, spada, jedna z sekwencji – prawie 20-minutowa ucieczka z więzienia – w pewnym momencie zaczyna przypominać hipnotyczną grę komputerową, jak ktoś napisał: „Kinetyczny balet brutalności”, a strażnicy i więźniowie są zabijani na tyle sposobów, że wyobraźnia się poddaje i liczy się już tylko adrenalina.



„Tyler Rake 2”

Pierwsza część „Tylera Rake” sprzed czterech lat też daje radę. Oczywiście tylko dla miłośników „zabili go i uciekł”. Walka dwóch gangów narkotykowych, pakistańskiego i hinduskiego, porwanie syna jednego z bossów, sprawa „honorowa”, nie interesy. A pod tym drugie i trzecie dno. Biały najemnik wpłany w sprawy świata, którego nie rozumie i najprostsze rozwiązanie – porzucić chłopaka, bo nie będzie za niego pieniędzy. Jakiego dokona wyboru? Proszę obejrzeć, da się, choć film jest tylko sumą klisz i stereotypów.

O półkę niżej stoi francuskie kino akcji, thriller zatytułowany „Alias”. Agent specjalny infiltruje grupę przestępczą, a ponieważ ma gołębie serce, rzecz kończy się na tym, że koncentruje się na ratowaniu dziecka. Film ogląda się względnie nieźle, agent nie tylko strzela, szpieguje i zabija, lecz także musi dokonywać poważnych wyborów moralnych. Fatalny jest jednak wybór aktora grającego głównego bohatera. Wystarczyło, żebym na parę sekund zamknął oczy i zapomniałem jego twarz, a co najdziwniejsze Alban Lenoir wcale nie kładzie tej roli – po prostu jest przezroczysty, lecz to nie zaleta. Uważny widz dostrzeże w roli jednego ze złych chłopców Érica Cantone, piłkarza, który na boisku i poza nim odgrywał rolę czarnego charakteru. Wpasował się w tę produkcję doskonale. Niewymagające kino, co kto woli.

Ewentualnie Serial „Inwazja”: na Ziemi lądują kosmici, niszczą, zabijają, nie sposób nawiązać z nimi kontaktu. Patrzymy na rozpadający się świat z pięciu różnych perspektyw – oddalone od siebie zakątki globu, różni ludzie, nielączące się opowieści. Akcja



„Inwazja”

rozwija się wolno, jednak nie jest to wadą, dopóki kształt zagrożenia nie zaczyna się krystalizować. Niestety twórcy nie mieli żadnego nowego pomysłu na tę historię, którą przecież widzieliśmy już setki razy. Najciekawszy z wątków obciążono ponadto poprawnościową skazą, a homoerotyczna opowieść jest równie sentymentalna, co źle opowiedziana. Najbardziej zafrapowało mnie to, że wykładająca na serial 200 mln dol. platforma Apple TV+ przedłużyła „Inwazję” na drugi sezon, mimo oczywistej klęski pierwszego.

Może być „Najczarniejsza godzina” to rosyjsko-amerykański thriller science fiction bez jakichkolwiek ambicji. Obcy atakują Ziemię, młodzi Amerykanie próbują przetrwać, rzecz dzieje się w Moskwie. Widzieliśmy podobne historie wiele razy, wtórne jest wszystko poza efektami specjalnymi, a fabuła naiwna do granicy śmieszności. Nauka, którą wyciągnąłem z filmu, jest jednak całkiem sensowna: nie rób interesów w Rosji, to inna cywilizacja.



„Najczarniejsza godzina”

Warte Przypomniałem sobie też film „Strzelec” sprzed kilkunastu lat. Kilka najbardziej spektakularnych scen słusznie krąży po sieci w formie wirali. Bo jest co oglądać. Akcja w sumie prosta, okraszona za to niezłymi zwrotami akcji, przewidywalnymi, jednak budującymi emocjonalną zawieruchę. Bardzo dobre aktorstwo, nic dziwnego: Mark Wahlberg i Danny Glover, a na drugim planie Kate Mara i Ned Beatty. Na szczęście reżyser nie skupiał się przesadnie na figurze: skorumpowana amerykańska władza kontra uczciwy patriota-zabijaka, tu wszystko zostało już pokazane, a my dzięki temu mamy świetne kino akcji i przy okazji kolejną historię umacniającą przy władzy współczesny liberalny feudalizm (feudalny liberalizm): maluczki załatwił złych i bogatych. Koziół ofiarny – cyniczny senator – zginął, zwykli ludzie, odreagowawszy, mogą wrócić do pracy.

Robert Tekieli, Polskie Radio



„Strzelec”



Kubrick odczytywany na nowo

Od śmierci Stanleya Kubricka minęło ćwierć wieku. Popkultura, a w szczególności filmy i muzyka, dosyć szybko się starzeją, często wywołując nasze zażenowanie. Jego filmy omija ten los. Są one perfekcyjnie zrealizowane, robione z przekonaniem o plastycznej sile obrazu i spiętej z nim muzyki. Pozostawiają widzowi duże pole do interpretacji. To filozoficzne powiastki, które, nawet jeśli szokowały i trafiały na mur cenzury, dzisiaj, gdy o naszej nowoczesności wiemy więcej, ogląda się z jeszcze większym zaciekawieniem.

„Doktor Strangelove, czyli jak przestałem się martwić i pokochałem bombę” – groteskowa satyra zbudowana wokół sowiecko-amerykańskiego atomowego klinczu doby zimnej wojny, polegającego na gwarancji wzajemnego zniszczenia. Światowy kryzys staje się też okazją do realizacji starego marzenia o wyhodowaniu nowego, lepszego człowieka. W wyobraźni Kubricka, z pochodzenia Żyda, za plecami prawicowego establishmentu Ameryki lat 60. stoi oczywiście „nazista”. Dziś satyrycznie wyostrożony archetyp Dr. Strangelove’a uosabiają prorok „posthumanizmu” i „transhumanizmu” Yuval Noah Harari czy architekt „wielkiego resetu” Klaus Schwab. Nie są oni jednak postaciami z filmu, a o swoich koncepcjach perorują w prawdziwych „war roomach” forum ekonomicznego w Davos. To, że rzeczywistość

dośćcinie filmową wizję Kubricka, zapowiadał już Ronald Reagan, który, wprowadzając się do Białego Domu, pytał m.in., gdzie znajduje się to miejsce.

„2001: Odyseja kosmiczna” – klasyka gatunku, chwilami ziejająca nudą, ale to tylko złudzenie. Monolit wyznacza ludzkości kolejne granice do przekroczenia samej siebie, HAL 9000 jako symbol emancypacji maszyn i techniki na oczach widzów niemalże „umiera”, a okadzany wszędzie świecki humanizm prowadzi do faktycznej dehumanizacji kultury i pogardy dla człowieka. Nad całością dyskretnie zaś czuwa duch Nietzschego, przemawiający m.in. w muzyce Straussa.

„Mechaniczna pomarańcza” – dowód na zacieranie granicy między sztuką a pornografią, obniżanie granic dosłowności w ukazywaniu przemocy, którymi hollywoodzkie kino i jego imitatorzy zalali nas w ciągu ostatnich 40 lat. Anthony Burgess, autor książki, na podstawie której powstał film, nie ukrywał, że nie podobają mu się systemy polityczne mające ambicję modyfikowania natury ludzkiej na mocy utopijnych przekonań. To dowód, że każdy z tych trzech filmów kończy się tam, gdzie zaczyna się kolejny, budując spójną, pesymistyczną całość. Pole do interpretacji jest więc szerokie, kluczy sporo, lecz chyba ten najważniejszy – oto nasza współczesna homerycka odyseja po nowoczesności. ▀



Maciej Walaszczyk

Te madrygały to rodzaj muzycznej Pasji na sześć głosów. Przywołują obrazy udręki Chrystusa, płynących łez i trzęsienia ziemi. W wykonaniu śpiewaków z Graindelavoix robią wielkie wrażenie.

W ostatnich latach swojego burzliwego życia Carlo Gesualdo, jeden z najbardziej pomysłowych kompozytorów późnego renesansu, skomponował 27-częściowy cykl śpiewów polifonicznych. Te naginające zasady harmonii madrygały chyba nigdy nie doczekały się liturgicznego wykonania – odtwarzano je raczej na użytek prywatny. Pierwotnie ich słuchaczem był prawdopodobnie sam kompozytor. Są opracowaniem responsoriów z tzw. ciemnych jutrzni na Wielki Czwartek, Wielki Piątek i Wielką Sobotę, uzupełnionych o niektóre chorałowe Lamentacje Jeremiaszowe, śpiewane na tej płycie także w bizantyjskiej, greckiej konwencji przez Adriana Sîrbu. Jutrznie przed reformami liturgicznymi odprowadzono niegdyś po zachodzie słońca każdego dnia poprzedzającego wydarzenia Triduum Paschalnego. Wtedy w kościele gaszono świece, a świątynia pogrążała się w ciemności. Gdy słuchamy tych nagrań, wszystko brzmi imponująco, szokująco, przejmująco, a nawet nieco awangardowo. Bo takie było założenie opublikowanych

I ciemność okryła ziemię...



w 1611 r. Tenebrae Responsories, przeznaczonych na sześć głosów bez akompaniamentu. Śpiew wykracza poza normalne granice śpiewu kościelnego, jest rzeczywiście rodzajem jakiejś ekstrawaganckiej i wirtuozerskiej stylizacji, ale nie ma w tym nic niewłaściwego. Wrażenie słuchacza potęgują głosy wręcz uderzające bogatymi, szerokimi akordami, czasem dysonansami. Ilustrują wydarzenia rozgrywające się w ciągu tych dramatycznych godzin, przywołując zdradę, proces i ukrzyżowanie Jezusa. Wyczuwamy jego samotność, strach, cierpienie. Choć są one owocem renesansu, to zapowiadają barokową sztukę kontrapunktu i samego Bacha.

Björn Schmelzer, założyciel i dyrygent grupy Graindelavoix, dokonał w tych nagraniach czegoś naprawdę wybitnego. Wielkopiętne „Omnes amici” („Wszyscy moi przyjaciele mnie opuścili”) i kluczowe „Tenebrae factae sunt” („Ciemność okryła ziemię”) kulminują – to dziwnie brzmi – pięknym, słodkim smutkiem, który przebija przez tę muzykę. Z pewnością jest ona pewnego rodzaju ofiarą, którą Gesualdo próbował złożyć Bogu. Bo historia życia księcia Venosy to już temat na zupełnie inną opowieść. ▀

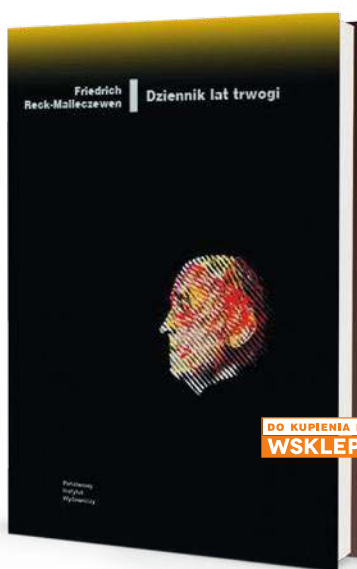
„Gesualdo Tenebrae”, Graindelavoix i Björn Schmelzer, Glossa 2020

Gdy Szatan zerwał się z łańcucha

Komuniści i socjaldemokraci byli dla nazistów jedynie konkurencją. Ich prawdziwy wróg to nieliczna, konserwatywna i katolicka prawica. Friedrich Reck-Malleczewen jest jej wybitnym reprezentantem

Dobrze sytuowany pisarz bajek dla dzieci nawrócił się na katolicyzm po tym, jak naziści przejęli władzę w jego ojczyźnie. Europejczyk, monarchista, sceptyczny wobec „wszystkich wielkich słów epoki”, był zdania, że przyczyny eksplozji nazistowskiego szaleństwa były głębsze niż narodowe upokorzenie I wojną światową. Tkwiły w pospiesznej modernizacji epoki wilhelmińskiej, budowie masowego społeczeństwa, radykalizacji mieszczaństwa i jego pospiesznej sekularyzacji. Zdaniem Hannah Arendt to właśnie z niej, a nie z chrześcijaństwa, zrodził się nowoczesny antysemityzm. Reck-Malleczewen wielokrotnie podkreślał, że z kraju średnio rozwiniętego gospodarczo, rolniczego i zszyciego z różnych prowincji, predestynowanego do tego, by być państwem, a nie cesarstwem, Niemcy weszły na drogę gwałtownej industrializacji i prosperity. To szybko przyniosło przerastający je sukces i ambicje, których nie potrafiły okiełznać. Ich ucieleśnieniem był Adolf Hitler, jak celnie zauważał pisarz, człowiek o „apokaliptycznej próżności”, wręcz opętany ideą nieustannej modernizacji. Również realizowana przez niego idea bezklasowego narodu ujawniła pojawienie się „człowieka masowego”, głównie wśród nowych elit niż przeciętnych ludzi, stanowiąc „konkubinat pruskiej oligarchii z kapitałem przemysłowym”. Reck-Malleczewen oceniał, że decyzja mocarstw o likwidacji cesarstwa austro-węgierskiego likwidowała na kontynencie bezpiecznik, który po latach pozwolił na wywołanie geopolitycznego trzęsienia ziemi.

To polityczne dyletanctwo, słabość charakterów i głupota konserwatywnych elit doprowadziła Niemcy zarówno do katastrofy I wojny światowej, jak i przejęcia władzy przez narodowych socjalistów – „małą, brudną burżuazję z pretensjami do bycia rewolucjonistami”. Wszystko przyszło bez oporu ludzi przyzwyczajonych, porządnym, trzeźwo myślącym, torując drogę polityce „kradzieży z włamaniem”. Reck-Malleczewen krytykował niestabilność demokratycznego porządku Republiki Weimarskiej, hitleryzm uważał za recydywę plebejskich rządów Jana z Lejdy i fanatycznych anabaptystów. Dlatego kryzys, w którym znalaz-



Friedrich Reck-Malleczewen,
„Dziennik lat trwogi. Świadek wewnętrznej
emigracji”, PIW 2024

zły się Niemcy, diagnozował jako spotkanie podobnej do reformacji społecznej gorączki z frustracją, politycznym chaosem i odłożonymi w czasie ideologicznymi konsekwencjami rewolucji francuskiej. A Hitler? Autor zapisów raczy nas genialną w opisie poetyką: wegetariański Tamerlan, Machiavelli dla służących, Napoleon bez kobiet, imitacja Bismarcka, cygański prymas, człowiek o wyglądzie konduktora z tramwaju, poroniony bożek Molocha, Wielki Manitu, wypierdek ulepiony ze śmieci i gnoju, postać z historii o upiorach, błazen, obrzydliwy pomiot, „fantastyczny gość” dla podrzędnych nauczycieli ze szkół ludowych, pretendentów do stołków w urzędach podatkowych, stenotypistek, przypominający „matrymonialnego oszusta, który opowiada, w jaki sposób zamierza wywieźć w pole spragnione miłości kucharki”. Niemcy epoki narodowych socjalistów opisywał jako kraj rządzony przez „horde niebezpiecznych małp”, Monachium – miasto okupowane przez Prusy, a eksces nocy dlu-

gich noży – hamletowską zapowiedź końca tego państwa. Na początku nawet ironizował, że reżim wykończy się raczej przez brak poczucia humoru wodza, jego „trupie zeszytwnienie” i wszechobecną nudę. Gdy wybuchła wojna z Sowietami, nie miał jednak wątpliwości, że nadchodzi nieunikniona katastrofa. Te zapiski są przesycane pewnym pesymizmem i poczuciem nieuchronności. Reck-Melleczewen podzielał np. schyłkowe intuicje Spenglera, zgodnie z którymi „człowiek masowy” bezmyślnie korzysta z wytworów techniki, nie wnosząc już nic do myśli, która je zrodziła. Kapitalne są jego obserwacje z Berlina, stolicy biurokracji, monstrualnego intelektualizowania i impotencji padającej pod ciężarem własnej niemożności, w której racjonalne projekty są obalane w toku niekończących się narad. „Bo dlaczego zrobić coś w sposób prosty, jeśli można w skomplikowany” – zauważał. Tak, tak, drodzy czytelnicy – to jest właśnie dzisiejsza Unia Europejska.

Reck-Melleczewen ukrywał dziennik z prywatnymi notatkami, przekonany, jak w przypadku rodzeństwa Schollów z Białej Róży, o konieczności ofiary za winy swoich rodaków. Ostatecznie w wyniku denuncjacji trafił do Dachau, gdzie zmarł dwa miesiące przed końcem wojny.



Słodki kobierzec

Bajecznie kolorowy mazurek jest symbolem zakończenia postu z przytupem. Piękny jak klejnot, ociekający słodyczą, to nagroda dla podniebienia za wiele dni kulinarnych wyrzeczeń

Kwadratowe kobierczyki, przybrane w lukier, mak kolorowy i agrest smażony – tak zapamiętał je z dzieciństwa etnograf i folklorysta Zygmunt Gloger, autor „Encyklopedii staropolskiej ilustrowanej”.

„Podobne rzymskim mozaikom placki, z najfantastyczniejszymi wzorami, pełne kokietery i smaku” – wspomina Lucjan Siemieński, poeta, pisarz, znawca polskiej i ukraińskiej tradycji.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa, XIX-wieczna guru prowadzenia domu i gotowania, doradza ówczesnym gospodyniom, jak przyrządzić prawie 30 mazurków! Na spodzie kruchym, biszkopecie, marcepanie, piankowe, z białek, na andrutach i oplatkach.

Nikt tak na prawdę nie wie, jakim cudem właśnie to ciasto, pełne daktyli, fig i migdałów, które nigdy u nas nie rosły, stało się niemal narodowym wielkanocnym deserem. Zapewne tak jak baba czy inny hit świątecznego stołu – pascha – dotarło do nas ze Wschodu w XVI czy

XVII w., kiedy dzięki kontaktom z Turkami poznaliśmy orientalne przyprawy, owoce czy kajmak.

U nich baklawy, makagigi, lokum, nugatowe, chałwowe czy bakaliowe smakołyki powstają przez okrągły rok, u nas bajecznie kolorowy mazurek jest symbolem zakończenia postu z przytupem. Piękny jak klejnot, ociekający słodyczą, był nagrodą dla podniebienia za wiele dni kulinarnych wyrzeczeń.

Sama nazwa może świadczyć o tym, że pierwsi zaczęli robić mazurki mieszkańcy Mazowsza, nazywani w dawnych czasach „Mazurami”. Bakalie sprowadzano z zagranicy, a były towarem tak luksusowym, że jeśli kogoś było na nie stać, chętnie się tym chwalił. Wielkanocne śniadania były ku temu dobrą okazją.

Dziś także robimy mazurki raz do roku i podobnie jak w czasach Ćwierczakiewiczowej na wiele sposobów. Nie ma jednego wzorca, bo w każdym domu tradycje są inne. Dawniej receptury były strzeżonymi tajemnicami, które przekazywano

w rodzinach z pokolenia na pokolenie, teraz, w dobie internetu, dochowanie takiej tajemnicy byłoby raczej niemożliwe. Możemy śledzić ruchy wojsk na dowolnym froncie i podglądać planety w odległych galaktykach, więc nie ma się co dziwić. Zresztą świat się zmienił, rządzą blogerzy kulinarni, którzy wprowadzają nowe mody także na mazurki. Sztuką jest zrobić coś tak jak oni i pochwalić się zdjęciem na Instagramie.

NA ANDRUTACH

Jestem tradycjonalistką. Moje najmilsze wspomnienia z dzieciństwa są związane ze świątecznymi przygotowaniami. Mogłam wtedy robić coś z mamą, która na co dzień tyrała do nocy. Jednym z dań, do którego mogłam przyłożyć rękę, był właśnie mazurek. Nie wymagał pieczenia – trzeba było tylko kupić andrutę i przygotować masę kajmakową. Nowoczesna ciotka, żeby nie zapaskudzić całej kuchni, gotowała przez kilka godzin mleko skon-

densowane w puszcze, ale my nie chodiliśmy na skróty. W wielkim garze z grubym dnem bulgotało u nas przez cały Wielki Piątek tłuste mleko z cukrem (proporcje były mniej więcej takie – 1,5 l mleka, 1,5 szklanki cukru i 1 łyżka masła). Musiałam je co kilka minut mieszać i pilnować, żeby się nie przypaliło. Zazwyczaj przy okazji robiłam piśranki. Gdy mleko z cukrem zrobiło się brązowe i gęste, gar się zdejmowało i masa musiała przestygnąć. Smarowanie andrutów było moim ulubionym zajęciem. Środkową warstwę naszego przekładanka często była kwaskowata konfitura z czarnej porzeczki, żeby całkiem się nie zasłodzić. Na koniec nakrywałyśmy mazurek deską i obciążałyśmy grubymi książkami, żeby się ładnie i równo skleił. Następnego dnia roztopiałyśmy gorzką czekoladę z odrobiną mleka i masła, smarowałyśmy nasze dzieło po wierzchu, a potem układałam na nim wzory ze sparzonych wrzaskiem, obranych ze skórkę, przepołowionych migdałów: baze, zajaczki, kurczaczki... Zawsze był tak piękny, że szkoda go było kroić na kawałki.

Robimy ten mazurek do dziś, chociaż ostatnio odkryłam masę kajmakową w słoikach, przygotowaną tylko z dobrych składników, więc można się na nią skusić. Ma różne smaki – jest waniliowa, orzechowa, a nawet z delikatną nutką soli morskiej. Nie trzeba już siedzieć kilka godzin nad garem, chociaż muszę przyznać, że miało to swój urok. Są też w sprzedaży andrutki bezglutenowe, więc moja córka spokojnie może jeść ten wielkanocny specjał.

Bardzo ciekawy smak ma przekładaniec z daktylowym nadzieniem – paczkę suszonych na słońcu owoców trzeba wydrylować (pestki wsadzić do doniczki, powinny wyrosnąć), namoczyć w letniej wodzie, a potem odsączyć i zmiksować z masłem orzechowym. Wody z moczenia dodajemy tyle, żeby krem był gładki i nadawał się do smarowania po andrutach. Wierzchnią warstwę, czekoladową, dekorujemy skórką pomarańczową i orzechami laskowymi. Można też zrobić zielone kropeczki z kremu pistacjowego – gotowego albo domowego (orzeszki, opłukane z soli lub nie – zależy, jaki smak się lubi – miksujemy z delikatnie podgrzaną śmietanką na gładką pastę).



NA KRUCHYM SPODZIE

Mistrzynią od tego typu mazurków była moja teściowa. Jej przepis na kruche ciasto nigdy mnie nie zawodził: 300 g mąki, 200 g tłuszczu (zimnego masła lub margaryny) i 100 g cukru. Do tego jajko (może być całe, może być samo żółtko, żeby mazurek był bardziej kruchy), szczypta proszku do pieczenia i odrobina soli. Zagniecione ciasto wkładamy na dwie godziny do lodówki, a potem wyklejamy nim blaszkę; albo okrągłą, jak do tarty, albo prostokątną. Nakładamy widelcem, układamy na wierzchu papier do pieczenia obciążony ziarnami fasoli, żeby spód nie pofalował się w pieczeniu i wstawiamy do nagrzanego do 180 st. Celsjusza piekarnika na 25–30 minut – mają mieć złoty kolor. Gdy spody przestygną, wylewamy na nie nadzienie.

Bardzo proste i smaczne mazurki robi się z budyniu. Kupujemy jeden czekoladowy, a drugi waniliowy i gotujemy według przepisu na torebce. Gdy przestygną, ucieramy je albo z masłem, albo z serkiem mascarpone – jedno opakowanie 250 g wystarczy na dwa budynie. Do brązowego dodajemy łyżkę kakao, skórkę pomarańczową, posiekane migdały, do białego skórkę cytrynową albo pokrojone suszone morele. Wykładamy oba na spody. Moja teściowa polewała mazurki kakaowy roztopioną gorzką czekoladą, na waniliowym układała plastry pomarańczy i zalewała je cienką warstwą galaretki.

Na takim wytrawnym spodzie można rozsmarować także coś bardziej konkretnego, wtedy jednak mazurek zrobi się mocno kaloryczny. Ja bardzo lubię chałwę, którą miksuję z mascarpone i słodką śmietanką oraz ubijam z cukrem pudrem. Pierwszą warstwę takiego mazurka może być coś kwaskowatego, na przykład domowy dżem cytrynowy. Genialnie smakują także zmiksowane na gładką masę daktyle. Dopiero na górze ładuje masa chałwowa, a na niej różne orzechy. Najsmaczniejsze są pekany albo pistacje.

Niespodzianką dla gości będzie mazurek wytrawny. Na kruchym spodzie można przecież ułożyć masę serową, a na niej wzór z kolorowych warzyw. Trzy opakowania sera Bieluch trzeba zmiksować z kubelkiem gęstej



śmietany, 5 jajkami i 2 łyżkami parmezanu, doprawić solą i pieprzem. Wylewamy masę na spód i układamy na niej wiosenny bukiet z brukselki, plasterów marchewki, zblanszowanych zielonych szparagów, pokrojonej w piórka czerwonej cebuli, oliwek – warto poeksperymentować, żeby obrazek ładnie wyglądał. Zapiekamy tartę przez pół godziny w dobrze nagrzanym piekarniku, a potem studzimy. Podajemy ją do barszczu albo bulionu.

Anna Monicka

*Rzadko się zdarzało w historii,
aby zwycięstwo myśli jednego człowieka tak
dalece wpłynęło na losy Kościoła i Europy*



Opowieść o Fossanovie: na 750-lecie śmierci św. Tomasza z Akwinu



W 2014 r. po raz pierwszy dotarłem do opactwa Fossanova, położonego w Kampanii Rzymskiej, pośród częściowo tylko osuszonych Bagien Pontyjskich. Mijało akurat 740 lat odkąd w tym miejscu umarł i pierwotnie został pochowany Tomasz z Akwinu, doktor Kościoła, święty, a w moim przekonaniu intelektualny patron całego zachodniego chrześcijaństwa.

W CELI ŚW. TOMASZA

Z Rzymu do Fossanovy najlepiej do-
trzeć wybudowaną przez Mussoliniego
szybką szosą SS7, która podąża w stronę



JAN ROKITA

Neapolu śladem sławnej rzymskiej
drogi konsularnej – via Appia. Odbija-
jąc kilka kilometrów na wschód, docie-
ramy do rozległego, średniowiecznego
opactwa, w którym w XIII w. osiedlili się
cystersi, zaś wielki papież Innocenty III
osobiście konsekrował wzniesioną tu
przez nich bazylikę.

Ten kościół jest olśniewająco piękny,
zwłaszcza jeśli wejść doń w słoneczne
popołudnie, kiedy kamienne wnętrza
z jasnego trawertynu, romańska ab-
syda i gotyckie delikatne filary toną
w białło-złotym świetle wpadającym
przez wielką rozetę i wysokie okna. Jak
niemal wszystko we Włoszech, opa-
ctwo zostało splądrowane przez żoł-
daków Napoleona, a zaczęło odradzać
się dopiero po II wojnie światowej, już
za sprawą osiadłych tu franciszkanów.
Jednak warunki życia zakonnego są tu
trudne, wilgoć z odwiecznych bagien
ciągle obecna, a parafia terytorialnie
rozległa, toteż zakonników chętnych
do zamieszkania tu nigdy nie było zbyt

wielu. Gdy pierwszy raz odwiedziłem opactwo, jego gospodarzami byli akurat tak dobrze mi znani ojcowie franciszkanie z krakowskiej prowincji zakonnej.

Ale do Fossanovy zawsze przyciągała mnie fascynująca postać św. Tomasza, którego włoskie ślady tropiłem od Orvieto aż po Neapol. W Orvieto, w bezsensownie wyburzonym na polecenie władz kościele dominikańskim, z którego pozostał tylko transept, jest przechowywana mocno nadżarta przez korniki profesorska katedra, z której Tomasz nauczał filozofii. Bardziej przejmujące ślady można znaleźć w Neapolu, gdzie w tutejszym klasztorze dominikańskim Tomasz mieszkał przez ostatnie dwa lata swojego życia. To tam udało mi się zaprzyjaźnić z bratem zakrystianem, noszącym ze sobą klucze od wszystkich drzwi klasztornych, który pokazał mi kaplicę, w której w dniu św. Mikołaja 1273 r., trzy miesiące przed śmiercią, Tomasz doznał tajemniczego objawienia, po którym przerwał pracę nad trzecią częścią swego dzieła życia – „Sumy teologicznej” i niemal do nikogo nie chciał się potem odzywać.

Był już wieczór, zakrystian miał zamykać kościół, ale widząc moje głębokie poruszenie, zaproponował, abym przyszedł następnego dnia, to mi otworzy rzadko udostępnianą maleńką celę, w której Tomasz pisał „Sumę”. Tam mogłem modlić się przed ikoną Ukrzyżowania, przed którą on się modlił, a także ucałować relikwię jego lewej ręki. Nawiasem mówiąc, Tomasz – jak się zdaje – był mańkutem, choć nie widać tego na jego najwybitniejszych portretach, choćby takich jak ten autorstwa Botticellego (z prywatnych zbiorów szwajcarskich, na którym filozof trzyma pióro w prawej dłoni).

TAJEMNICA 6 GRUDNIA

Ale tak naprawdę moja „tomistyczna” wyobraźnia zawsze zaczyna pracować z rozmachem dopiero po przyjeździe do Fossanovy. Być może dlatego, że tak dobrze znamy (zważywszy na upływ siedmiu i pół wieku) okoliczności śmierci

Tomasza, a to dzięki kilku świadectwom spisany m.in. na użytek procesu kanonizacyjnego.

Za najważniejsze uważa się świadectwo Bartłomieja z Kapui, arystokraty, wybitnego prawnika i doradcy króla Neapolu Karola I Andegaweńskiego. Bartłomiej znał Tomasza osobiście, a relację o jego śmierci zaczerpnął bezpośrednio od przyjaciela, sługi i sekretarza filozofa – brata Reginalda, który

Zarówno ówczesni towarzysze filozofa, jak i współcześni biografowie nie mają wątpliwości co do jednego: tamtego dnia Tomasz przeżył nie tylko załamanie zdrowotne, lecz także miał jakieś wstrząsające przeżycie mistyczne, którego istoty nikomu nie ujawnił

cały czas podróżował ze swoim panem i nie odstępował go aż do samej śmierci. To z ich relacji znamy pracowity i zdrowotnie wyczerpujący tryb codziennego życia Tomasza w Neapolu. O świcie dwie msze, potem wykłady, następnie pisanie „Sumy” w celi, obiad, modlitwy w kaplicy, po czym powrót do pisania i dyktowania tekstów filozoficznych, często aż do jutrzni. Nic dziwnego, że taki tryb życia pewnego dnia doprowadził do załamania zdrowia.

Chociaż tak wiele wiemy o życiu filozofa, to właśnie ten jeden dzień – 6 grudnia 1273 r. – do dziś jest tajemnicą. Współczesne przypuszczenia idą w tym kierunku, że podczas odprawiania mszy wyczerpany fizycznie Tomasz doznał udaru mózgu, po którym miał trudności z mową i poruszaniem się, choć – co nie budzi wątpliwości – nie utracił sił umysłowych. Mimo to niezwykle kategorycznie z dnia na dzień porzucił pracę

nad „Sumą” i do śmierci nie napisał już niczego.

Ta zdumiewająca odmiana człowieka, który do 48. roku życia stworzył przeszło 40 fundamentalnych i opasłych ksiąg, wzbudzała zdziwienie i niepokój jego współbraci. Wiemy tylko tyle, ile milczący ciągle Tomasz któregoś dnia rzekł w końcu niedającemu mu spokoju bratu Reginaldowi: „Wszystko, co napisałem, jest jak słoma wobec tego, co teraz zostało mi objawione”. Zarówno ówczesni towarzysze filozofa, jak i współcześni biografowie nie mają wątpliwości co do jednego: tamtego dnia Tomasz przeżył nie tylko załamanie zdrowotne, lecz także miał jakieś wstrząsające przeżycie mistyczne, którego istoty nikomu nie ujawnił.

Od tamtego dnia Tomasz wyraźnie przygotowywał się do śmierci. W okolicach świąt Bożego Narodzenia prosił, aby go zawieziono do pobliskiego zamku San Severino, należącego do jego siostry. Ale po przyjeździe prawie się do niej odzywał i opuścił zamek po trzech dniach, wracając do Neapolu.

Wszystko wskazuje na to, że to właśnie w swojej celi w neapolitańskim klasztorze pierwotnie „zaplanował” (jeśli można się tak wyrazić) swoją śmierć. Jednak w ostatniej chwili Opatrzność wywróciła jego plany. Oto papież Grzegorz X ogłosił sobór powszechny w Lyonie (tam była tymczasowa siedziba papieska), którego celem miało być przywrócenie jedności zachodniego i wschodniego chrześcijaństwa. Tomasz jako wybitny ekspert oraz autor dzieła „Przeciw błędom Greków” został wezwany do stawiańnictwa w Lyonie. Świadectwo Bartłomieja z Kapui wyraźnie wskazuje na to, iż nie wierzył, że będzie w stanie przemierzyć, na osle czy pieszo, trasę liczącą 1,2 tys. km pomiędzy Neapolem i Lyonem. Kiedy posłuszny papieżowi wyruszał w tę podróż, musiał więc liczyć się z tym, że umrze w drodze.

Biografowie do dziś toczą spór, którą drogą udała się na północ kilkusetosobowa grupa zakonników: czy była to nadmorska via Appia, czy też biegnąca głębiej lądu via Latina. Za tą drugą wersją przemawia fakt, iż idąc Latina, musieliby

minąć rodowe posiadłości książąt Aquino, w tym należący do nich zamek Roccasecca, gdzie 48 lat wcześniej Tomasz przyszedł na świat. W każdym razie podczas drogi, jak opowiada Bartłomiej z Kapui, „Tomasz uderzył przypadkowo głową o pochylone drzewo, tak że na czas jakiś stracił przytomność i nie mógł utrzymać się na nogach”. Kiedy się ocknął, co prawda próbował dalej jechać na osle, lecz wkrótce dalsza podróż okazała się niemożliwa. Zapadła zatem decyzja o zatrzymaniu się na zamku Maenza, którego panią była Francesca – siostrzenica Tomasza. Tam okazało się jednak, że stan Tomasza zaczyna być krytyczny, gdyż nie jest już w stanie niczego jeść. Na poły legendarna opowieść głosi, że pod wpływem ciągłych nalegań, aby jednak coś spożył, Tomasz odrzekł w końcu, iż zjadłby świeżego śledzia. I niemal jak na zawołanie na zamku pojawił się handlarz ryb, dysponujący także rzadkimi o tej porze roku świeżymi śledziami.

ZARZUT HEREZJI

I tu zaczyna się kluczowa opowieść o Fossanovie. Świadom zbliżającej się śmierci Tomasz mówi bowiem Reginaldowi: „Skoro mój Pan przychodzi po mnie, to niech mnie zastanie w klasztorze, a nie na zamku”. To ciekawe, że choć w pobliżu jest też klasztor dominikański, chory prosi, aby zawieziono go do opactwa cysterskiego. Wygląda więc na to, że sam Tomasz z premedytacją wybrał Fossanovę na miejsce swojej śmierci. Dlaczego? Tego nigdy się nie dowiemy. Ale z późniejszych dzieł możemy się domyślać myśli Tomaszowej, że między nim a jego dominikańskimi konfratrami musiał istnieć konflikt o to, o co jeszcze przez wiele lat później będą trwać ostre walki i spory w łonie zachodniego chrześcijaństwa.

Wychowanym na św. Augustynie tradycjonalistom, odrzucającym jako herezję wszelką myśl o autonomii naturalnego rozumu, cała filozofia i teologia Tomaszowa jawiła się bowiem jako jakiś ultranowoczesny wybryk, beczelnie odwołujący się do pogańskiej mądrości Arystotelesa, nawet w interpretacji Pisma Świętego. W każdym razie cystersi z Fossanovy – jak wiemy ze źró-

deł – byli mocno zdziwieni, gdy żaden z dominikańskich przełożonych zakonnych nie pojawił się na pogrzebie swego najwybitniejszego brata ani nawet nie wysłali oni jakiegoś wikariusza, który by ich tam reprezentował.

Kilka lat po śmierci filozofa ta sytuacja się odmieni, gdy dominikanie zorientują się, że mieli w zakonie intelektualnego geniusza, i to absolutnie wiernego Chrystusowi oraz Kościołowi. A wszystkie działa przeciw myśli Tomasza, aż do potępień za herezję, wytoczą wówczas franciszkanie.

Trzy lata po śmierci Tomasza kulminacją tego fundamentalnego dla przyszłej Europy konfliktu stało się zainspirowane przez franciszkańskich tradycjonalistów uroczyste potępienie przez najbardziej autorytatywny w tamtym czasie Uniwersytet Paryski 219 heretyckich tez – co najmniej 16 z nich przypisano Tomaszowi z Akwinu. Jeśli ktoś przyjrzy się bliżej owym tezom, to na pozór może się wydać, iż chodzi o jakiś zawiły spór ówczesnych scholastycznych akademików. Nic bardziej błędnego – stawką tamtego sporu była w istocie cała przyszłość europejskiej kultury, nauki i polityki.

Tak naprawdę szło bowiem o to, czy w ogóle możliwa i dopuszczalna jest nauka oparta o ludzki umysł, prawo stanowione z przyrodzonego rozumu albo państwo mające za swój cel nie tylko powszechne zbawienie, lecz także doczesną szczęśliwość wszystkich członków politycznej wspólnoty. Augustyniści tradycjoniści święcie wierzyli, że dla chrześcijanina jedyną nauką jest wyjaśnianie Objawienia, jedynym prawem – prawo Boże, a jedynym ustrojem politycznym – chrześcijańska teokracja. Tomasz rzucił wyzwanie takiemu stylowi myślenia, argumentując, iż (jak napisał w „Sumie”): „Prawo Boże, które pochodzi z łaski, nie znosi prawa ludzkiego, które pochodzi z rozumu”, zaś „szczęście jest realnością, gdyż znajduje się w zasięgu ludzkiej mocy i natury”. Musiało upłynąć jeszcze trochę czasu, żeby niezwykły już Tomasz wygrał tamten wielki spór o nowoczesność zachodniego chrześcijaństwa. Doprawdy rzadko się zdarzało w historii, aby zwycięstwo myśli jednego człowieka tak dalece wpłynęło na losy Kościoła i Europy.

OSTATNI WYKŁAD

W każdym razie ostatnie dni życia Tomasz spędził w niezbyt wielkim pokoju gościnnym nad klasztorną infirmerią u cystersów w Fossanovie. Wchodząc tam za pierwszym razem, policzyłem, iż prowadzi doń 29 wąskich i stromych schodów, więc wyobraźnia podpowiada, że życzliwi cystersi musieli wnieść na górę wycieńczonego i raczej otyłego pacjenta. Z układu tego pokoju wynika, że łóżko chorego musiało stać w tym miejscu, gdzie teraz jest wmurowany niewielki i ładny, choć zapuszczony, ołtarzyk, z brudnym obrusem i uschniętymi kwiatkami. Wyobraźnia pracuje więc dalej. Jeśli łóżko było ustawione frontem do szerokich drzwi wejściowych, to chory miał po lewej stronie okno z widokiem na dach klasztorny i korony drzew; teraz są to wysokie platan. Ołtarzyk, który dziś jest w tym miejscu, musiał zostać ufundowany przez któregoś z biskupów z rodu Barberinich, co można poznać po licznych wydłubanych w kamieniu pszczołach (to herb tego rodu). Jeden z braci franciszkanów mówi mi, iż te pszczoły podobno były ze złota, które ktoś ukradł, dlatego teraz w jedną z nich ktoś inny włożył cukierkowe złotko wycięte w kształcie pszczoły.

W ołtarzyku znajduje się płaskorzeźba wykonana w warsztacie Berniniego. Przedstawia scenę na krótko przed śmiercią Tomasza, gdy na prośbę mnichów chory resztkami sił miał im objaśniać sens „Pieśni nad Pieśniami”. Na płaskorzeźbie Tomasz trzyma w ręce Pismo Święte i objaśnia jakiś fragment, a jego sekretarz Reginaldo pilnie notuje. Mnich na pierwszym planie odwraca się w stronę widza i ukradkiem wyciera łzy z oczu, dwóch innych się modli, a dwóch dalszych gawędzi. Przez długi czas poszukiwano jakichś śladów owych zapisków Reginalda z ostatniego wykładu teologicznego Tomasza, ale niczego nie znaleziono. W każdym razie nie wiemy, aby filozof zostawił po sobie jakiś komentarz do tej akurat książki Pisma Świętego. O świcie w środę 7 marca 1274 r. Tomasz z Akwinu spokojnie umarł. Od tej chwili minęło właśnie dokładnie 750 lat.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Wyberzmy Polskę

Dlugo wstrzymywałem się przed napisaniem tego felietonu. Zrozważałem wszelkie za i przeciw. Niestety, bilans naszej przynależności do Unii Europejskiej jest w bardzo wielu ważnych sprawach negatywny, a przyszłość Polski rysuje się w czarnych barwach. Więcej, zagraża egzystencji narodu polskiego. Nie wierzę w żadne wyniki badań przekonujących nas, że większość Polaków jest za obecnością w Unii Europejskiej. Nie wierzę też, że czerwcowe wybory do Parlamentu Europejskiego mogą złamać hegemonię europejskiej lewicy pod wodzą niemieckiej Europejskiej Partii Ludowej, przez lata kierowanej przez Donalda Tuska.

Oto główne powody uzasadniające nasze wyjście z UE. Pierwszy to ten, że Polska wstępując do UE w 2004 r., akceptowała kształt tej organizacji diametralnie inny od obecnego. Zatem obecna Unia nie jest tą, do której wstępowaaliśmy. Pamiętamy też alternatywę – UE albo Rosja, którą wtłaczano nam przed referendum akcesyjnym. Dziś trzeba wybrać Polskę.

Po drugie, strajki rolników w wielu krajach UE dowodzą, że prawdziwym celem technokratów z Komisji Europejskiej, wspomaganych przez prawie jednorodny ideowo lewicowo-liberalny PE, jest całkowite wyeliminowanie rodzinnych gospodarstw rolnych w całej Unii. Nie ma racjonalnych argumentów uzasadniających ten katastrofalny w skutkach krok, co dowodzi, że UE realizuje utopijny, wyłącznie ideologiczny projekt, u podstaw którego leżą założenia komunistycznego „Manifestu z Ventotene”. Europejskich rolników ma nie być, a żywność mają dostarczać kraje Ameryki Południowej i Środkowej oraz Ukraina. Dowodem są liczne podpisane umowy handlowe i zobowiązania prawne, które KE zaciągnęła bez społecznych konsultacji.

W Polsce łamana jest zasada sprawiedliwości społecznej (art. 2 konstytucji) oraz podstawowy ustrój rolny państwa polskiego, jakim jest gospodarstwo rodzinne (art. 23 konstytucji). Po trzecie, władza w Polsce znalazła się w rękach elit kompradorskich, czyli pośredników zarządzających krajem w imieniu technokratów z Brukseli. Koalicja 13 grudnia krok po kroku zmierza do likwidacji suwerennego państwa polskiego poprzez odebranie nam narodowej waluty i wprowadzenie euro oraz do pozbawienia Trybunału Konstytucyjnego najwyższej władzy sądowniczej.

Poczwarte, UE realizuje dalekosiężne cele państwa niemieckiego, co jest oczywistym powodem zagrożenia naszego bytu państwowego. Powraca koncepcja obrony Polski przed Rosją na linii Wisły i osłabienie naszej siły obronnej. Obecni namiestnicy kraju hamują aspiracje

Polaków do budowy bogatszej i sprawiedliwszej Polski, likwidują podstawowe zasady praworządności i demokracji za aprobatą i jawną zgodą europejskich pseudoelit. Przykładów nie dałoby się spisać na wołowej skórze. Są oczywiście i dostrzegalne dla każdego racjonalnie myślącego Polaka, mieszkającego między Odrą a Bugiem.

Ogólnym, ale najbardziej oskarżającym powodem do wystąpienia Polski z UE, jest jej antychrześcijański charakter, zamieniający naszą łacińską cywilizację w cywilizację śmierci.

Są dwie równoległe drogi prowadzące do wyjścia Polski z UE. Pierwsza zakłada wywołanie europejskiej debaty na temat funkcjonowania Unii, dzięki zebraniu w co najmniej siedmiu krajach UE 1 mln podpisów. Taką możliwość przewidują traktaty. Debata winna mieć jasny cel – powrót Unii do stanu sprzed 2004 r. albo samorozwiązanie się tej organizacji.

Druga pomocnicza droga wiedzie przez Polskę. Chodzi o zebranie co najmniej 500 tys. podpisów za przeprowadzeniem ogólnokrajowego referendum, gdyż nasza obecność w UE, zgodnie z art. 125 konstytucji RP, ma dziś dla państwa polskiego szczególnie ważne znaczenie.

Obywatele muszą się bezpośrednio wypowiedzieć, czy chcą odrzucić tzw. Zielony Ład oraz pakiet aktów prawnych zebranych w dokumencie pod nazwą „Fit for 55”. Przypomnę, że ten drugi oznacza procentowy stopień redukcji emisji gazów cieplarnianych do 2030 r. Przy okazji referendum można zadać pytanie, czy nie jest konieczne w tej sytuacji pozbawienie immunitetu polskich sędziów i prokuratorów. Sprawa o tyle ważna, że pacyfikacja Polski jako suwerennego państwa odbywa się za pomocą tzw. trzeciej władzy, która w większości wypowiedziała posłuszeństwo państwu polskiemu. Załamał się konstytucyjny, ustrojowy podział oraz równowaga władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej.

Reasumując, UE godzi w nasze podstawowe wolności i prawa obywatelskie. Rząd Donalda Tuska nie wywiązuje się z podstawowego obowiązku władzy publicznej – poszanowania i ochrony naszych praw, zawłaszczając wszystkie instytucje państwa polskiego przy aprobacie UE. Droga, po której kroczy Polska, prowadzi nas do zanegowania innej arcyważnej zasady, którą jest równość wobec prawa. Jawnej dyskryminacji doświadczają dziś polscy rolnicy oraz zwykli obywatele, skazani na brak elementarnego pluralizmu medialnego. Jutro ofiarami szaleństwa Unii będziemy my wszyscy. Historia Polski uczy nas, żeby być mądrym przed szkodą.

www.wojciechreszczyński.pl



Wiadomo, że jak wiosna, to w Warszawie Beethoven

**Pod
mecenatem
ORLENU**

To już tradycja – gdy zbliża się Wielkanoc, cała uwaga artystycznego świata związanego z muzyką klasyczną jest skierowana na Warszawę. Powód tego zainteresowania to oczywiście Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena organizowany nieprzerwanie od 1997 r.



warzburga im. Ludwiga van Beethovena, które odpowiada za organizację wielkiego przedsięwzięcia, jakim jest Festiwal.

Z MUZYKĄ DO KANTA I SCHOPENHAUERA

Program koncertów został zbudowany wokół przewodniego hasła tegorocznej edycji – „Beethoven i filozofowie”. Jednym z powodów właśnie takiego wyboru tematyki jest obchodzone w br. 300-lecie urodzin Immanuela Kanta, filozofa bodaj najbardziej cenionego przez Beethovena. Jest to też dobra okazja oraz inspiracja do prześledzenia wpływów myśli filozoficznej na muzykę. Z tego powodu w programach koncertów ujęto m.in. dzieła Ryszarda Wagnera, Ryszarda Straussa, Karola Szymanowskiego, a podczas występu 21 marca w Sali Kameralnej Filharmonii Narodowej orkiestry Wiener Kammer-symphonie zaprezentowano teksty Arthura Schopenhauera o muzyce. Recytowane przez Franza Tschernego towarzyszyły kompozycjom mistrza z Bonn.

Festiwal tradycyjnie pozwala obcować polskiej publiczności z międzynarodową plejadą wybitnych wykonawców,

ale w tym roku wyjątkowo licznie są reprezentowane także polskie orkiestry specjalizujące się w koncertach symfonicznych. Mowa tu o takich zespołach, jak Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia prowadzona przez maestro Leopolda Hagera, Polska Orkiestra Sinfonia Iuventus im. Je-

Tegoroczna 28. edycja festiwalu odbywa się pod hasłem „Beethoven i filozofowie”, bo jak zawsze idea festiwalu jest ukazanie muzyki mistrza z Bonn i innych wielkich kompozytorów w szerszym kontekście kulturowym. Festiwal, który jest współfinansowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy, objął honorowym patronatem Prezydent RP Andrzej Duda. Mecenasek wydarzenia jest ORLEN.

28. Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena rozpoczął się 17 marca w Sali Koncertowej Filharmonii Narodowej koncertem Orkiestry Sinfonia Varsovia pod batutą Jacka Kaspszyka z udziałem światowej sławy skrzypaczki Arabelli Steinbacher. Klamrą spinającą to wydarzenie będzie koncert finałowy Orkiestry i Chóru

Filharmonii Narodowej pod dyрекcją Andrzeja Boreyki na scenie Teatru Wielkiego Opery Narodowej. W programie koncertu znajdują się „Requiem” Gabriela Faurégo, „Stabat Mater” Francisca Poulencai, „Stabat Mater” Krzysztofa Pendereckiego. Dobór repertuaru wiąże się oczywiście z przypadającym tego dnia Wielkim Piątkiem.

Ogółem w trakcie 13 festiwalowych dni wysłuchamy 11 koncertów symfonicznych, dwóch recitali fortepianowych i dwóch koncertów kameralnych, podczas których wystąpi wielu znakomitych solistów, dyrygentów i zespołów, zaproszonych przez Elżbietę Penderecką, dyrektora generalnego Festiwalu oraz prezesa Zarządu Sto-



Co przed nami

25 marca, godz. 19.30

Filharmonia Narodowa – Sala Koncertowa
ul. Sienkiewicza 10

Wykonawcy:

Christian Danowicz – skrzypce
Alexander Sitkovetsky – skrzypce
NFM Orkiestra Leopoldinum
Alexander Sitkovetsky – dyrygent

Utwory:

Wolfgang Amadeus Mozart, Divertimento
D-dur KV 251
Andrzej Panufnik, Koncert skrzypcowy
Alfred Schnittke, Moz-Art à la Haydn
na dwoje skrzypiec i smyczki
Joseph Haydn, Symfonia Es-dur
„Filozof” Hob. I:22

26 marca, godz. 19.30

Filharmonia Narodowa – Sala Koncertowa
ul. Sienkiewicza 10

Wykonawcy:

Yamen Saadi – skrzypce
Bergen Philharmonic Youth Orchestra
Lawrence Foster – dyrygent

Utwory:

Ludwig van Beethoven / Paul Hindemith,
Geschwindmarsch z Symfonii Serena
Krzysztof Penderecki,
I Koncert skrzypcowy Johannes Brahms,
I Symfonia c-moll op. 68

27 marca, godz. 19.30

Filharmonia Narodowa – Sala Koncertowa
ul. Sienkiewicza 10

Wykonawcy:

Barry Douglas – fortepian
Orkiestra Polskiego Radia w Warszawie
Michał Klauza – dyrygent

Utwory:

Richard Wagner, Wstęp do dramatu
muzycznego Tristan i Izolda

Johannes Brahms, I Koncert fortepianowy
d-moll op. 15

Ludwig van Beethoven, III Symfonia Es-dur
„Eroica” op. 55

28 marca, godz. 19.30

Filharmonia Narodowa – Sala Koncertowa
ul. Sienkiewicza 10
Koncert pamięci Borisa Pergamenschikowa
w 20. rocznicę śmierci artysty

Wykonawcy:

Claudio Bohórquez – wiolonczela
Stathis Karapanos – flet
Rafał Bartmiński – tenor
Chór Filharmonii im. Karola Szymanowskiego
w Krakowie
Piotr Piwko – kierownik chóru
Polska Orkiestra Sinfonia Iuventus
im. Jerzego Semkowa
Jurek Dybał – dyrygent
Piotr Artur Wolanin – asystent dyrygenta

Utwory:

Krzysztof Penderecki, Koncert na altówkę
i orkiestrę (wersja na wiolonczelę),
Koncert fletowy
Karol Szymanowski, III Symfonia
„Pieśń o nocy” op. 27

29 marca, godz. 19.30

Teatr Wielki Opera Narodowa – Sala
Moniuszki, Plac Teatralny 1
Finał Festiwalu (patronat Finału – ORLEN)

Wykonawcy:

Iwona Sobotka – sopran
Adam Kutny – baryton
Chór Filharmonii Narodowej
Bartosz Michałowski – dyrektor chóru
Orkiestra Filharmonii Narodowej
Andrzej Boreyko – dyrygent

Utwory:

Gabriel Fauré, Requiem d-moll op. 48
Krzysztof Penderecki, Stabat Mater
Francis Poulenc, Stabat Mater

pianistów – Louise’a Lortiego i jego prezentacji cykli wariacji skomponowanych przez Beethovena, Mendelssohna, Faurégo i Thomasa Adésa. Dużym zainteresowaniem cieszył się także wyczekiwany recital litewsko-francuskiej pianistki Mūzy Rubackytė z utworami Ferencza Liszta i Beethovena. Twórczość patrona festiwalu na skład instrumentalny tria fortepianowego wypełnił koncert cennego zespołu Guarneri Trio Prague.

NIEZNANE OPERY DARIUSA MILHAUDA

W kontynuacji cyklu Nieznane opery Łukasz Borowicz zaproponował dwa dzieła sceniczne Dariusza Milhauda w wersji koncertowej: „Balet śpiewany” Salade (1924) i operę „Biedny marynarz” (1927). Wykonawcami partii solowych było doborowe grono polskich śpiewaków młodego pokolenia: Natalia Rubiś, Magdalena Lucjan, Mateusz Zajdel, Krystian Krzyszowiak i Adrian Janus, wspierani przez doświadczonych artystów – Wojciecha Gierlacha i Roberta Gierlacha. Operowy wymiar miał także koncert zespołu I Virtuosi della Scala pod batutą Massimiliano Caldiego, który wypełniła muzyka Giacomo Pucciniego, przypominając o przypadającej w tym roku 100. rocznicy śmierci operowego mistrza. Z kolei w koncercie adresowanym do dziecięcej widowni usłyszeliśmy baśń Marii Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi” z muzyką Krzysztofa Pendereckiego w wykonaniu muzyków Orkiestry Akademii Beethovenowskiej i pianisty Krzysztofa Książka pod kierownictwem Macieja Tworka.

Zgodnie z tradycją główny nurt koncertowy uzupełniają cykliczne wydarzenia towarzyszące: Wystawa Manuskryptów Muzycznych w Bibliotece Jagiellońskiej i Międzynarodowe Sympozjum Naukowe. 28. edycję wielkanocnego Festiwalu anonsuje plakat autorstwa Danuty Dąbrowskiej-Siemaszkiewicz. ➤

PARTNER DODATKU



rzego Semkowa pod batutą Jurka Dybała z wiolonczelistą Claudio Bohórquezem i flecistą Stathisem Karapanosem, NFM Orkiestra Leopoldinum pod kierownictwem artystycznym skrzypka Alexandra Sitkovetsky’ego, Orkiestra Polskiego Radia w Warszawie kierowana przez Michała Klauzę z pianistą Barry Douglasem.

Na Festiwalu po raz pierwszy zaprezentowała się Orkiestra Filharmonii Luksemburskiej, prowadzona przez wschodzącą gwiazdę dyrygentury – Gustava Gimeno. Solistką była włoska pianistka Beatrice

Rana, która wykonała mało znany Koncert fortepianowy a-moll op. 7 Clary Schumann, zarejestrowany przez artystkę na płycie wydanej w 2023 r. Debiutem będzie również występ Młodzieżowej Orkiestry Filharmonii w Bergen pod dyрекcją maestro Lawrence’a Fostera oraz solisty – młodego skrzypka izraelskiego pochodzenia Yamena Saadi’ego. To wydarzenie już jutro (26 marca) o godz. 19.30 w Sali Koncertowej Filharmonii Narodowej.

Gorąco oczekiwano także recitalu jednego z największych współczesnych

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Przedsionek klęski

Zabiegi, które stosuje Donald Tusk, są tyleż proste, co w pewnych aspektach niewidoczne albo słabo widoczne. Jednak da się je wpisać w pewną całość, swoistą mapę i wówczas można zauważyć, że tutaj nie ma przypadków – niemal wszystko jest starannie zaplanowane i konsekwentnie, a wręcz systemowo wdrażane. Policyjne pały, deklaracja proaborcyjna, utylizacja niezależnej prokuratury, inwazja na media – to wszystko elementy tego samego systemu opartego na manipulacji i prowokacji.

Tusk długo zabiegał, aby po powrocie z brukselskich saksów znów liczyć się w polskiej polityce. Miał do wyboru kilka dróg, które dzisiaj nazwalibyśmy cywilizowanymi. Ale to długie drogi, wymagające kompromisów i realizacji obietnic. Wybrał więc drogę na skróty. Zamiast konkretnych, których nie myśli wszak realizować, bo „są tylko metaforą”, wybrał przemoc, argument agresywnej siły. Przy takim obrocie spraw tracą znaczenie konstytucja, porządek ustrojowy, porządek prawny i logika. Temu wszystkiemu towarzyszy hasło „prawo tak jak my je rozumiemy”. I koniec. A zatem nie ma żadnego uniwersalnego brzmienia prawa, a jedynie subiektywne, który „służy nam”. Ale i ten wymiar nie ma znaczenia, bo chodziło o to, aby przekazać komunikat, że żadne prawo nie będzie przestrzegane. Tusk nie zamierza się nikomu z niczego tłumaczyć. Ten etap ma już za sobą. Chyba że Bruksela pogrozi palcem, co, jak wiemy, jest niemożliwe. Pałowanie rolników było tylko ostrzeżeniem, że w kraju bezprawia każdy może oberwać. To działanie na emocjach, a ściślej na poczucie strachu. Przy następnej okazji będą masowe zatrzymania, błyskawiczne procesy i drakońskie grzywny. Tusk pewnie nikogo nie zamknie, ale wielu do szczytu ograbi.

Szczytem manipulacji jest podwyżka cen energii, dla wielu domów zabójcza, i żywności. Idzie tutaj o to, aby rzesze Polaków zepchnąć do nędzy, by popadając w ubóstwo, nie interesowały się polityką i postępującą tyranią. Niech się martwią tym, co i za ile włożyć do garnka, a nie jakimś Zielonym Łądem.

Wrogiem Tuska jest wolne słowo. Bo wolne słowo oznacza wolnego obywatela, a ten z kolei jest dzisiaj niemiły widziany. Trzeba zabrać obywatelom media i uczynić je brzmiającymi unisono. Czy da się to zrobić? Ależ oczywiście! Od tego będą sądy. Nie bez przyczyny Tusk wywołał problem klauzuli sumienia lekarzy i szpitali odmawiających aborcji.



**Aleksander
Nalaskowski**

*Jeszcze nikt tak naszego kraju nie
sprywatyzował, jak zrobił to Tusk.
Wszyscy Polacy mają pracować
na jego pozycję w Brukseli*

Groźba sankcji prokuratorskiej, widmo odebrania finansowania z Narodowego Funduszu Zdrowia to bardzo poważne pogrożki. Ale tutaj zadziała prosta zasada: mniejsze świństwo zginie w cieniu większego świństwa. Gdy już rozgorzeje dyskusja o aborcji i karaniu lekarzy, gdy dyskusja o prawie do dzieciobójstwa zostanie podgrzana do temperatury ognia, będzie można chyłkiem wprowadzić zapis o tzw. mowie nienawiści. Bo nie przebieje on tego dużego świństwa medycznego. A wtedy voilà! Wrota będą otwarte. Sądy będą skazywać za nieprawomysłne wypowiedzi, transparenty, artykuły, audycje, teksty piosenek. Będą zasądzone ogromne grzywny, co resztki mediów wolnego słowa doprowadzi do bankructwa.

Tak można zniszczyć każde medium, każdego dziennikarza, każdego demonstranta, zneutralizować każdy autorytet.

Realizując politykę Niemiec, które są europejskim hegemonem, Tusk prędkiej czy później doprowadzi do czegoś w rodzaju kolejnego resetu z Rosją. Pomału widać, jak staje się łącznikiem między Berli-

nem a Moskwą, jak sabotuje nasze najważniejsze inwestycje mające nas uniezależnić od obcych wpływów. Wszyscy Polacy mają pracować na jego pozycję w Brukseli. Jeszcze nikt tak naszego kraju nie sprywatyzował, jak zrobił to Tusk.

Nie cofnie się przed niczym, bo nie ma się gdzie cofnąć. Zadbaj też o to, by wykonawcy jego podłych rojeń też nie mogli zrobić kroku w tył. Swoich najwierniejszych akolitów i siebie opatrzy latem w brukselski immunitet, a Polskę przestanie się przejmować.

Do końca roku dostaniemy z powrotem Polskę bez Tuska, Kierwińskiego, Sienkiewicza, Bodnara, Siekierskiego, Holowni i innych żołnierzy tego komanda. Ale to nie znaczy, że będzie lepiej. Dostaniemy Polskę zdemolowaną, dostaniemy gruzowisko, „polskość jako nienormalność”, kraj zrujnowany i zdemoralizowany. Wrócą stare upiory, z którymi łatwo sobie nie poradzimy. Jeśli w ogóle sobie poradzimy.

Z zazdrością słucham prawicowych komentatorów, którzy nie kryją nadziei, że w końcu wygramy, podniesiemy się, będziemy mocarstwem i jakoś to wszystko poukładamy. Nie poukładamy, bo nie będziemy mieli z czego ułożyć! Jeszcze jakoś żyjemy, jeszcze w miarę dostatnio, jeszcze jest kilka wolnych mediów, ale to naprawdę już ostatnia prosta tego dobrobytu. Za wirajem czeka nas gospodarcza i polityczna apokalipsa, a może i wojna.

Michał Korsun prezentuje: „**Produkowanie energii z prądu**” wg minister Hennig-Kloski



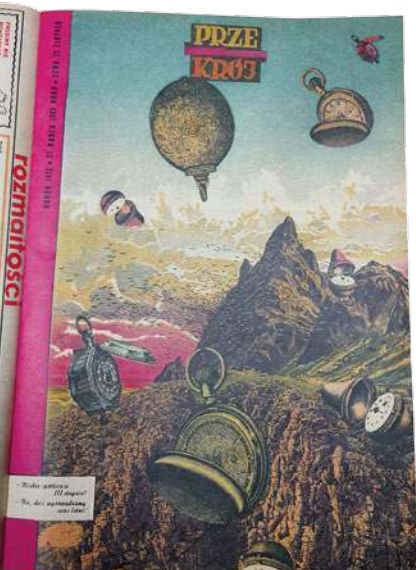
Wycinki z przeszłości

W marcu 1983 r. „Przekrój” pochylał się nad historią chrzanu. „Za jego ojczyznę uważa się zachodnią Azję i południowo-wschodnie obszary Europy. Znany był w starożytności jako przyprawa (np. u Rzymian) i w całej Europie od wczesnego średniowiecza, także w Polsce. Poczul się tu na tyle dobrze, że rośnie w stanie dzikim i przysparza rolnikom sporo kłopotów jako chwast uciążliwy do wyplenienia (b. głęboki korzeń). W naszej dawnej kuchni był ulubioną przyprawą nawet wówczas, gdy stały się modne

(XVII wiek) przyprawy wschodnie. Do dzisiaj wielu tradycyjnych dań nie wyobrażamy sobie bez chrzanu, zwłaszcza w święta. W wigilię Bożego Narodzenia do ryby, a na Wielkanoc – do wędlin i mięs”.

To prawda: chrzan mocno zrósł się z polską kuchnią. Nie rezygnujmy z niego i korzystajmy nie tylko od święta – chrzan po czosnku i cebuli zawiera najwięcej fitoncydów, czyli związków bakteriobójczych.

(mk)



Głosy wielkanocne



Leszek **Długość**

*Ścichły organy i ludzkie pienia
Zamarła cisza
– Ziemi i Nieba milczenie...*

*I moment – głos ten o świtanu
Zew – Gloria Dnia Trzeciego
Dzwony napełniające serca ludzi...
Ziemię i Niebo*

*Gwiazdko zarwilca przybyła w lesie
Na świat w to rano
– Widokiem świata oniemiała
Eskadro tarniny ponad parowem
– Dołączajcie
Do radości tej – Alleluja popołu
Bez granic i poza granicami*

*Bo wiem jak jest powiedziane
Ten który jest Zmartwychwstający
Z martwych wstał i dla nas
Dziś oto rano
Dnia Trzeciego
– Jak jest powiedziane* **///**

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przewoju w stopce redakcyjnej

*ORLEN Rally Team gotowy
do wyjątkowego sezonu 2024*

„Kajto” i „Miko” wyjeżdżają na rajdowe trasy



Polskie załogi rajdowe ORLEN Team rozpoczynają tegoroczny sezon. Już 28 marca na szutrowych odcinkach specjalnych Rajdu Safari w Kenii zobaczymy naszego mistrza świata w kategorii WRC2 Challenger Kajetana Kajetanowicza wraz z pilotem Maciejem Szczepaniakiem. Od szutrów zacznie sezon także nasza największa nadzieja na przyszłe sukcesy w świecie rajdów, a więc załoga Mikołaj Marczyk i Szymon Gospodarczyk, która zainauguruje swój sezon 12 kwietnia Rajdem Węgier

Przed nami z pewnością wyjątkowy sezon rajdowy, i to z kilku powodów. Przede wszystkim „Kajto” Kajetanowicz zamierza podjąć rywalizację w pełnym cyklu klasyfikacji WRC2, co oznacza start w maksymalnej możliwej liczbie – siedmiu – eliminacji mistrzostw świata. W tym sezonie najbardziej utytułowany polski kierowca rajdowy w historii znów zasiądzie za kierownicą Škody Fabii RS Rally2, przygotowywanej przez hiszpańskiego tunera RaceSeven, z którym polski kierowca współpracuje już od lat.

„Załoga ORLEN Rally Team ostatnie pięć lat z rzędu stawała na podium WRC2, sezon 2023 kończąc na jego najwyższym stopniu i sięgając tym samym po tytuł Rajdowych Mistrzów Świata WRC2 Challenger. Kajetanowicz dopełnił nim imponującą kolekcję składającą się z trzech tytułów mistrza Europy i czterech mistrza Polski. Zdobywając



mistrzostwo świata wśród załóg niefabrycznych, Kajto przypieczętował miano najbardziej utytułowanego polskiego kierowcy rajdowego. Po niezwykle udanym sezonie, w którym sześć z siedmiu startów Kajetanowicz i Szczepaniak ukończyli na podium WRC2 Challenger, przyszła pora na nowe wyzwania. Polska załoga rozpocznie od rajdu, który zasłużył na miano jednego z najtrudniejszych na świecie” – czytamy w zapowiedzi sezonu kierowcy.

IM WIĘCEJ SUKCESÓW, TYM WIĘCEJ TRENUJE

„Zaczynamy sezon od Rajdu Safari, gdzie wygraliśmy przez ostatnie dwa lata. Wracam jednak do Afryki z wielką pokorą, bo to nie spacer po lesie, lecz szalenie nieprzewidywalny rajd. Planuję starty w łącznie siedmiu rundach. W ubiegłym sezonie mieliśmy tyle samo szans, które dobrze wykorzystaliśmy, zdobywając tytuł mistrza świata WRC2 Challenger. Choć zapewniałem, że ten sukces mnie nie zmieni, to z perspektywy czasu myślę, iż stało się inaczej – mam zdwojoną motywację do walki. Nigdy nie trenowałem tak wiele, bo mam świadomość, że bez tego nie zbuduję kolejnego mostu pomiędzy marzeniami a rzeczywistością. W utrzymywaniu wysokiego poziomu pomagają mi partnerzy, którzy będą wspierać moje starty w tym sezonie: partner tytularny

ORLEN, partner techniczny Delphi, Pirelli, ORLEN Oil, ATC CARGO S.A. oraz SJS S.A. Bardzo doceniam to, że moje współprace są długoletnie i trwałe, oparte na wzajemnym zrozumieniu potrzeb i wyzwań związanych z uprawianiem dyscypliny motorsportu, jaką są rajdy samochodowe. Zaufanie w biznesie jest bardzo ważne, a w rajdach kluczowe. Wiem też, że ogromna siła mojego zespołu pochodzi z serca ludzi, którzy w nim pracują. Razem przystępujemy do walki w nowym sezonie rajdowych mistrzostw świata 2024. To wyzwanie traktuję jako możliwość dalszego rozwoju. Mam nadzieję, że »pojedziecie« z nami” – mówi Kajetanowicz.

To z pewnością wielka przyjemność móc kibicować tak utytułowanemu kierowcy, problem w tym, że wciąż nie wiadomo, gdzie poza Rajdem Safari wystąpi załoga Kajetanowicz–Szczepaniak. Oczywiście polscy kibice nie wyobrażają sobie, by wśród pozostałych sześciu startów w WRC2 „Kajto” nie pojawił się na odcinkach specjalnych 80. ORLEN Rajdu Polski, który w tym sezonie powrócił do kalendarza mistrzostw świata i będzie jednym z najważniejszych wydarzeń sportowych w kraju tego roku. Impreza, która jest drugim po Monte Carlo najstarszym rajdem na świecie, wróciła do kalendarza WRC po siedmiu latach. Właśnie z tego powodu tegoroczny sezon znów jest dla nas tak wyjątkowy i ekscytujący. Wiadomo już, że odbywający się w 27–30 czerwca rajd będzie się składać z 19 odcinków specjalnych. Trasy zostaną zlokalizowane wokół Mikołajek oraz we wschodniej części Mazur, w powiatach oleckim i gołdapskim. Do tej pory Kajetan Kajetanowicz trzykrotnie wygrywał Rajd Polski, ostatni raz w 2013 r., zdobywając jednocześnie czwarty tytuł mistrza Polski i otwierając sobie drogę do międzynarodowych sukcesów.



MARCYK KILKA RAZY ZAPREZENTUJE SIĘ POLSKIM KIBICOM

Choć „Kajto” trzyma jeszcze polskich kibiców w niepewności, to karty dotyczące swoich planów startowych odkrył już „Miko” Marczyk. Napiszmy od razu, że najmłodszy w historii rajdowy mistrz Polski (swoją pierwszy tytuł mistrza kraju zdobył w 2019 r. jako 24-latek) zaprezentuje się polskim kibicom w ORLEN Rajdzie Polski, który do tej pory wygrał raz – w 2022 r. – i pojedzie także w Rajdzie Śląska i Rajdzie Barbórki, czyli m.in. w słynnym grudniowym kryterium na ul. Karowej w Warszawie. Dodatkowo polscy kibice będą mieli okazję wspierać „Miko” na „oesach” Rajdu Europy Centralnej, a więc imprezie rozgrywanej blisko naszych granic. W sumie w sezonie 2024 załogę Marczyk–Gospodarczyk będzie można zobaczyć na trasach aż 11 rajdów, co wynika z ambitnych planów kierowcy ORLEN Teamu.

„W 2024 r. wystartujemy w pełnym sezonie Rajdowych Mistrzostw Europy ERC oraz w wybranych rundach Rajdowych Mistrzostw Świata WRC 2. Zmagania rozpoczniemy od pierwszej rundy ERC, czyli od Rajdu Węgier, który przenosi się do Veszpremu i odbędzie się już w 12–14 kwietnia. Następnie czeka na nas asfaltowy Rajd Wysp Kanaryjskich oraz podsumowanie szutrowej części mistrzostw z Rajdem Skandynawii oraz Rajdem Estonii, który znamy z mistrzostw świata. Później nadejdzie pora na dobrze nam znany Rajd Rzymu oraz jedną z moich ulubionych imprez, czyli Rajd Barum. Na zakończenie sezonu nowość, czyli asfaltowy Rali Ceredigion w Wielkiej

Brytanii oraz Rajd Śląska, który dobrze znam i świetnie wspominam z przeszłości. W międzyczasie pojawimy się w mistrzostwach świata. Wystartujemy w ORLEN Rajdzie Polski w czerwcu oraz w Rajdzie Europy Centralnej. Wisienką na torcie będzie Rajd Barbórki w centrum Warszawy. Jestem przekonany o tym, że wykorzystamy swoje doświadczenia z przeszłości i w każdym rajdzie będziemy walczyć o czołowe pozycje. Czuję się dobrze przygotowany zarówno mentalnie, jak i fizycznie, więc wierzę w to, że osiągniemy swoje cele. Zachęcam was do tego, abyście nam kibicowali w tym sezonie” – mówi Mikołaj Marczyk.

Zujawnionych zarówno przez Kajetanowicza, jak i Marczyka planów startowych jasno wynika, że obaj kierowcy mierzą wysoko i w sezonie 2024 chcą walczyć o czołowe miejsca w swoich klasach. Obydwaj zmienili malowanie swoich rajdówek. Doświadczony „Kajto” znów postawił na minimalizm i rzadko spotykane na rajdowych trasach barwy. Jego Fabia RS ORLEN Rally Team została oklejona na brązowo-czarno-biało i z pewnością będzie wyróżniać się w stawce.

Inaczej do kwestii kolorów podszedł Marczyk. Jego Fabia RS Rally2 jest utrzymana w tonacji czerwieni i granatu, a całość wygląda bardzo zadziornie.

PARTNER DODATKU





OD A DO ZYBERTOWICZ

AI niczym „Obcy”

AI nie jest „zapraszana” na łono cywilizacji pewnej siebie. Nie przychodzi do ludzkiej cywilizacji będącej w świetnej kondycji. Przeciwnie

Pięćdziesiąt lat temu Leszek Kołakowski w artykule „Od wet *sacrum* w kulturze świeckiej” (1973) pisze: „Być absolutnie wolnym względem sensu, względem wszelkiego nacisku tradycji, to usytuować się w próżni, a więc rozpaść się. Sens zaś pochodzi tylko z *sacrum*, ponieważ nie wytwarza go żadne badanie empiryczne. Utopia doskonałej autonomii człowieka i nadzieja na jego doskonalenie się nieskończone są, być może, najbardziej skutecznymi narzędziami samobójstwa, jakie kultura nasza wynalazła”.

W świetle tego nieskończone przekształcanie się człowieka poprzez rozwój technologiczny niechybnie prowadzi ku przepaści. Mrzonka osiągnięcia przez człowieka doskonałej autonomii skutkuje zagubieniem duszy. Zatrącone dusze niebezpiecznie odwracają się od zbawienia. Na pierwszy rzut oka pierwsze zdanie: „Być absolutnie wolnym względem sensu, względem wszelkiego nacisku tradycji, to usytuować się w próżni, a więc rozpaść się”, wygląda niczym wskazówka ambitniejszego scenariusza filmu SF. Ale tak nie jest. Zachodnia cywilizacja znalazła się

na ścieżce samobójczej, którą jest nieokielznany rozwój technologiczny, prowadzący do zaawansowanej sztucznej inteligencji, która ma być niczym zbawienie.

Jednak w istocie AI jest jak „Obcy” z filmów SF. Człowiek przez wieki był zanurzony w religie, mitologii, magię, obyczajach, przesady (wszystkie, choć w innych proporcjach niż ongiś, istnieją do dziś), czy szerzej – w kulturę. Z nich czerpał interpretacje i wskazówki zachowań. Dziś nauka i technologia, demontując kolejne warstwy tradycji, owego „nacisku” na człowieka, przybliżają nas do dekompresji kultury i tym samym destrukcji człowieka.

Liczne ludzkie wynalazki wymykają się nam spod kontroli. Kto dziś rozumie, choćby z grubsza, ogólne działanie smartfona? Ileż wynalazków się tu mieści. Albo samochody – stają się paradoksalnie coraz bardziej skomplikowane w obsłudze z powodu naszpikowania elektroniką, czujnikami, kamerkami, które teoretycznie mają nam pomagać. Właściwie większość nowych sprzętów elektronicznych staje się coraz mniej przyjazna, coraz gorzej skrojona na ludzką miarę. Oprogramowanie komputerów z każdą kolejną wersją zamiast ułatwiać pracę, wprowadza zamęt, niepotrzebne funkcje, niekomunikatywne menu.

Wreszcie najnowsze obiekty ekscytacji – chatboty. Nie wiadomo, czym staną się dla ludzi. O tym, że ChatGPT wykazuje cechy emergentne, tzn. takie, które nie zostały mu przypisane przez inżynierów projektantów, wiadomo już chyba od ponad roku. Okazało się, że system zaskoczył samych jego twórców, a w do-

datku pod pewnymi względami działa czarnoskrzynkowo. Oznacza to, iż pewne zadania, które ten system AI wykonuje poprawnie, realizuje w sposób, który jest niezrozumiały dla jego twórców. Czym nas jeszcze zaskoczy ten „gość”?

Ale nie o samo skomplikowanie ludzkich wynalazków chodzi. Niepokojem powinno napawać nas wszystkich uświadomienie sobie innej sytuacji. AI nie jest „zapraszana” na łono cywilizacji pewnej siebie. Nie przychodzi do ludzkiej cywilizacji będącej w świetnej kondycji. Przeciwnie: z AI, czyli Obcym, „wita się” cywilizacja w stanie chorobowym, pełna oznak chorób kulturowych, głęboko spolaryzowana, z nadwężoną równowagą geopolityczną, pękającą globalizacją, z potężnym deficytem sensu. AI jest wbudowywana w cywilizację, której „naturalne”, działające przez wieki mechanizmy immunologiczne zostały osłabione, czy wręcz przetrzebione – i to od wewnątrz, przez media społecznościowe jako główny mechanizm napędowy ostatniej fazy rewolucji cyfrowej.

W ostatnim numerze „Pressji”, pisma wydawanego przez Klub Jagielloński, Piotr Kaszczyszyn w tekście poświęconym niebezpiecznemu zjawisku indywidualizacji wiary pisze: „Tak jak do wychowania dziecka potrzeba całej wioski, tak do zbawienia ludzkiej duszy potrzeba całej cywilizacji”. I dodaje, że boi się „Kościoła miliona Jezusów perfekcyjnie skrojonych na miarę indywidualnych potrzeb [...], personalizacji wydarzenia zbawczego, w którym Jezus stanie się wypadkową sumy algorytmów duchowych przeżyć”.

Katarzyna Zybortowicz



**Książka o wrogach Chrystusa
i życiu w czasach pierwszych chrześcijan:**

- Kto odpowiadał za oskarżenie i śmierć Jezusa?
- Jaka była prawdziwa historia Judasza?
- Co o Piłacie mówią historyczne źródła?
- Dlaczego Neron mordował chrześcijan?

**WAŻNA LEKTURA NA WIELKI POST
| 300 LAT HISTORII | 296 STR.**

**100
książek
w prezencie**

Książkę „Znak, któremu sprzeciwiać się będą”
otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę
tygodnika **SIECI** za **349 zł**.

Zamów już dziś na:

www.sieciprawdy.pl/prenumerata



Fot. Shutterstock

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

W CENTRUM WYDARZEŃ

LIVE!

CODZIENNIE OD 8:00

» Informacje » Komentarze » Analizy



OGLĄDAJ NAS 

NA POZYCJI
polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat **196**

NA POZYCJI
N E T I A **192**

NA POZYCJI
 **32**

NA POZYCJI
 **vectra** **825**

NA POZYCJACH
 **339** dekoder
dawniej UPC Mediabox

121 dekodery
KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl e9690c11c9